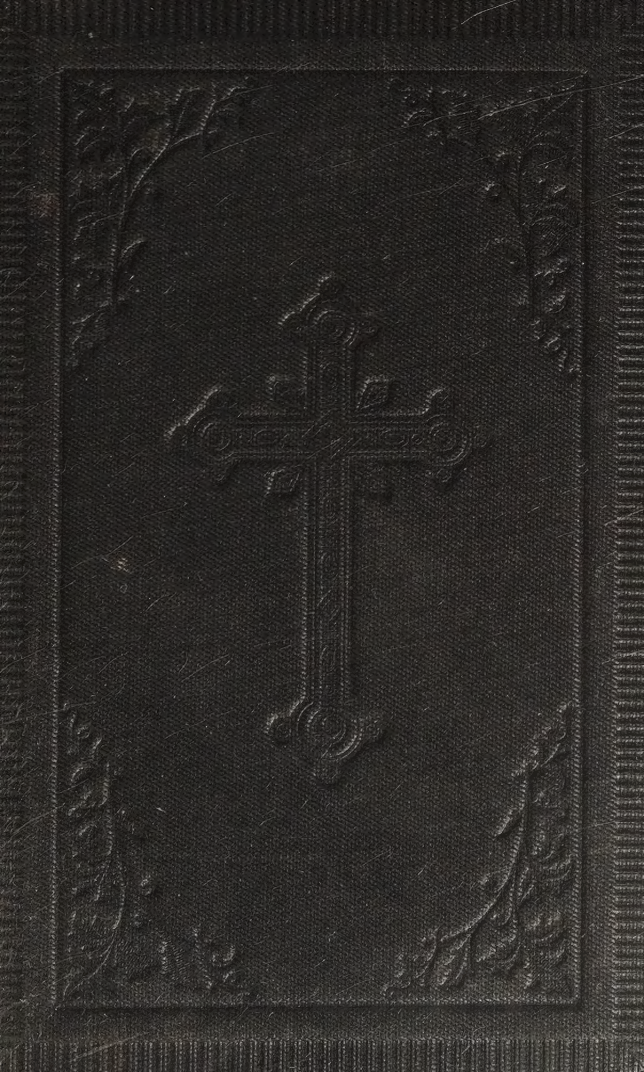

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/naukawiaryiobycz0000wprz

Rev. John Kaplinski, O. M. C.

KSIĄŻEK POBOŻNYCH
dla wiernych każdego stanu
Tom XXXV.

NAUKA
WIARY I OBYCZAJÓW
W PRZYKŁADACH
zebrana z różnych autorów

przez

X. Kazimierza Riedla T. J.

Wierz, a zrozumiesz. (Św. Aug.)

Rev. John Kapliński, O. M. C.
Rector.

TOM TRZECI.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU" FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1890.

Nr. 578.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

W zastępstwie:

X. Gawroński.

Kraków dnia 10 Lutego 1890 r.

Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

O przykazaniach Boskich.

Młodzieniec ewangieliczny.

„A oto jeden przystąpiwszy, rzekł mu: Nauczycielu dobry, co dobrego mam czynić, abym miał żywot wieczny? Który mu rzekł: Co mię pytasz o dobrym? Jedenci jest dobry, Bóg. A jeśli chcesz wnijść do żywota, chowaj przykazania. Rzekł mu: które? A Jezus rzekł: Nie będziesz mężobójstwa czynił, nie będziesz cudzołożył, nie będziesz czynił kradzieży, nie będziesz fałszywego świadectwa mówił: czcij ojca twego i matkę twoją, a będziesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie. Rzekł mu młodzieniec: Wszystkiegom tego strzegł od młodości mojej. A Jezus wejrzawszy nań, umiłował go.“ (Św. Mat. 19. Św. Marek 10).

Co stanowi prawdziwą wartość człowieka?

Pewien pobożny ojciec siedział raz z dziećmi swojemi pod cieniem lipy, stojącej obok domu i spożywał wśród pobożnych rozmów wieczerzę. Mówił z niemi o rozmaitych życzeniach ludzi nierozsądnych, szukających

wielkości i szczęścia tam, gdzie go znaleść niepodobna.

— A jakież wy, kochane dziatki, macie życzenia? zapytał ojciec.

— Ja, kochany ojcze, odpowiedziała najmłodsza córka Zosia, pragnęłabym być piękną, piękność bowiem każdemu się podoba i piękni ludzie wszędzie są gośćmi pożądanymi.

— Głupstwo z twoją pięknością, przerwał jej mowę Józio, parę lat od niej starszy. Czy pamiętasz, jak pięknym był Kazio, syn naszego sąsiada, jeszcze przed czterema miesiącami, zanim go ospa tak strasznie zeszpeciła? Cóż ma teraz z swej piękności? Ja nie myślę się wcale troszczyć o piękność, ale pragnąłbym raczej być bogatym — bo pieniądze rządzą światem, a bogactwa dostarczą nam wszystkiego, czego tylko zapragniemy.

— Kochany bracie, rzekł teraz Stanisław, najstarszy syn — i ty nie wybrałeś rzeczy najlepszej. Patrz, bogactwa mogą tak prędko przeminąć, jak piękność; a chociażbyś siedział w pośrodku skarbów a przytem był nieukiem, nikt cię szanować nie będzie. Ja pragnąłbym raczej wielki posiadać rozum, rozum bowiem przetrwa piękność i bogactwa i jedna nam znaczenie i miłość u wszystkich ludzi rozumnych.

Spojrzał z pewną dumą Stanisław na ojca, jak gdyby wybór uczynił najlepszy i rzekł:

— Nieprawdaż ojcze, życzenie moje najlepsze?

Ojciec milczał, patrzał na ziemię i pisał coś laską w piasku; były to zera.

— Co znaczą te zera, co chcesz przez to mój ojcze wyrazić? pytał niecierpliwie Stanisław.

— Jest to odpowiedź na twoje pytanie, odrzekł ojciec; bo patrzcie, kochane dziatki, piękność, bogactwa, rozum i wszystkie inne dobra ziemskie, są niczem w oczach człowieka mądrego; równają się one zerom.... Wszystkie te zera bez jedynki, żadnego nie mają znaczenia; ale jeżeli dodam jedynkę, natenczas te, nic nie znaczące cyfry, wielkiej nabierają wartości — a to jedno, bez którego wszystkie dobra niczem są, jest wykonywanie woli Bożej, wskazanej nam w przykazaniach Boskich; to bowiem stałe wykonywanie woli Bożej, czyni człowieka prawdziwie pięknym i bogatym, mądrym i szczęśliwym.

Czy to rzecz trudna lub niepodobna zachować przykazania?

Święty Augustyn chcąc się szczerze do Boga nawrócić, zostać gorliwym chrześcijaninem, zachowującym wszystkie przykazania

Boskie, wielkich doświadczał pokus. Z jednej strony stawały przed nim wszystkie jego namiętności, pociechy i rozkosze i wołały: czy więc nas zupełnie chcesz porzucić a porzucić na zawsze? Czy odtąd nigdy nie będzie ci to lub owo dozwolone? Czy będziesz w stanie prowadzić odtąd życie tak umartwione i pełne zaparcia? Z drugiej zaś strony ujrzał święty Augustyn cnotę, nader skromnej postawy niewiastę, z obliczem wypogodzonem, w towarzystwie niezliczonej liczby dzieci, panien, młodzieńców, dojrzałych mężów i starców; wyciągała z uśmiechem i dobrocią doń ramiona, mówiąc: czy ty nie możesz uczynić tego, co tylu innych wykonało? Mogli ci, i te, dlaczegoż ty nie możesz Augustynie?

— Mój Boże! — zawołał więc odważnie Święty; rozkaż mi wszystko, co Ci się podoba, ale udziel mi łaski do wykonania tego, co rozkazujesz.

I odtąd zupełnie inaczej myśli i mówi nawrócony mąż Boży.

— Przypatrzcie się, woła on do wszystkich chrześcijan, ptakom; mają pióra i skrzydła — azaliż są one dla nich ciężarem? Owszem, służą im do lotu, do wzbijania się w powietrze. Podobnie rzecz się ma z tymi, którzy zakon Jezusowy doskonale wypełniają. Przykazania są dla nich skrzydłami, na których tem łatwiej do Boga wzlatują.

Przypatrzcie się myśliwym: o świcie, gdy inni śpią najsmaczniej, wstają; zimą znoszą najostrzejsze mrozy, latem nieznośne upały; przeskakują rowy, strumienie, na tysiączne narażają się niebezpieczeństwa. A dlaczego? aby ułowić nędznego zwierza, zajączka, ptaszka. A czy się skarżą na te trudności? Owszem, cieszą się, i za rozrywkę to poczytują. Ażalić to nie hańba, wszelkie trudy dla pochwycenia marnego stworzenia, za rzecz słodką uważać — a gdy o zachowanie przykazań Boskich idzie, przez które raj i Boga samego otrzymać możecie, tem się wymawiać, że te rzeczy trudne, ciężkie, niepodobne? (*Sermo 10. de verb. Dom.*).

A na innem miejscu naucza św. Doktor, że człowiek uważający przykazania za niemożebne, do wykonania niepodobne, przypisuje najprzód Bogu szaleństwo: bo daje rozkazy ludziom, pozbawionym wolności i możności wykonania przykazań. Przypisuje następnie Bogu niewiadomość, jak gdyby nie wiedział Stwórca najwyższy, jak daleko sięgają siły człowieka. Przypisuje nareszcie Bogu niesprawiedliwość a nawet okrucieństwo — kiedy grozi i karze piekłem za to, co nie jest w naszej mocy, co od naszej woli nie zawisło. Czy nie są to istne bluźnierstwa?

Przygotowania do przyjęcia przykazań.

Trzy dni przed ogłoszeniem przykazań, otrzymał lud Izraelski rozkaz, aby oczyścił suknie swoje, ćwiczył się w cnocie, wstrzemięźliwości, i tak czystem i przygotowanem sercem przyjął słowo Boże u podnóża góry Sinai, gdzie już przedtem ukazał się był Pan Mojżeszowi, pasącemu owce Jetra i powiedział mu: „rozzuj buty z nóg twoich, miejsce bowiem, na którem stoisz, ziemia święta jest.“

Mieli wprawdzie wszyscy zgromadzić się u podnóża góry, jednak wstępywać na nią, nie było im wolno, ani nawet ręką się dotknąć, i to pod karą śmierci; dopiero gdy usłyszą odgłos trąby, mogli się zbliżyć. Oto, jak te przygotowania Izraelitów do przyjęcia Boskiego prawa, opisuje Pismo święte:

„Rzekł mu (Mojżeszowi) Pan: Już teraz przyjdę do ciebie we mgle obłoku, aby mię słyszał lud mówiącego do ciebie, a wierzył ci na wieki.... Idź do ludu a poświęć je dzisiaj i jutro i niech wypiorą szaty swoje. A niech będą gotowi na dzień trzeci, trzeciego dnia bowiem znijdzie Pan przed wszystkim ludem na górę Sinai. I zamierzysz granicę ludowi w około i powiesz im: Strzeżcie się, abyście nie wstępowali na górę, ani się dotykali granic jej: wszelki, ktoby się dotknął góry, śmiercią umrze. Ręka się go nie

tknie, ale kamieńmi zabit będzie, albo strzałami ustrzelan, bądź bydle będzie, bądź człowiek, nie będzie żył. Gdy trąba brzmieć poczne, tedy niech wstąpią na górę.... I już był przyszedł trzeci dzień, a zaranie zaświtło: alić oto poczęły być słyszane gromy i łyskać się błyskawice, a obłok bardzo gęsty okrywać góry; a brzmienie trąby im dalej, tem więcej się rozlegało — i zląkł się lud, który był w obozie. A gdy je wywiódł Mojżesz na zabieżenie Bogu z miejsca obozu, stanęli pod samą górą. A wszystka góra Sinai kurzyła się: przeto iż był Pan zstąpił na nią w ogniu i występował dym z niej jako z pieca: a wszystka góra była straszliwa. A głos trąby zlekka się bardziej rozlegał i dłużej się rozwłóczył: Mojżesz mówił a Bóg mu odpowiadał. I zstąpił Pan na górę Sinai na sam wierzch góry i wezwał Mojżesza na wierzch jej“ (Ks. wyjś. R. 19).

Tak wielkie wrażenie i przestrach wzbudziły te znaki, że Izraelici wołali do Mojżesza: „Mów ty do nas i słuchać będziemy: niech Pan do nas nie mówi, byśmy snadź nie pomarli“ (Ks. wyjścia 20. 19).

Ale dlatego P. Bóg zdziałał te znaki, aby lud przejęty uszanowaniem dla prawa Bożego, tem więcej się o jego boskości przekonał; a nie poprzestając na tem najwyższy Prawodawca, podał prócz tego Mojżeszowi jawnie ogłoszone przykazania na dwóch ka-

miennych tablicach wyryte, które miały być przechowane w arce przymierza i tym sposobem zawsze pozostać w pamięci.

Obietnice i groźby Boga dla zachowujących i przekraczających przykazania Jego.

I jak gdyby to wszystko dla okazania świętości i boskości dziesięciorga przykazań nie było wystarczającem, chciał jeszcze Pan Bóg nadać sankcyę jak najsilniejszą, oświadczając przez Mojżesza ludowi: „A jeśli będziesz słuchał głosu Pana Boga twego, abyś czynił i zachował wszystkie przykazania Jego, uczyni cię Pan Bóg twój wyższym nad wszystkie narody, które są na ziemi. I przyjdą na cię te wszystkie błogosławieństwa: Błogosławionyś ty w mieście i błogosławiony na polu.... Spuści Pan błogosławieństwo na śpiżarnie twoje i na wszystkie dzieła rąk twoich i będzieć błogosławił w ziemi, którą weźmiesz. Wystawi cię Pan sobie za lud święty, jakoć przysiągł, jeśli będziesz strzegł przykazania Pana Boga twego i chodził drogami Jego.... Ale jeśli nie będziesz chciał słuchać głosu Pana Boga twego, abyś strzegł i czynił wszystko rozkazanie jego i ceremonie, które ja dziś przykazuję tobie, przyjdą na cię te wszystkie przeklęctwa i chwycą się ciebie: Przeklęty będziesz w mie-

ście, przeklęty na polu.... Przeklęty będziesz wchodząc i przeklęty wychodząc. Przepuści Pan na cię głód i łaknienie i przeklęctwo na wszystkie sprawy, które będziesz czynił. Niechaj będzie niebo, które nad tobą jest, miedziane — a ziemia, którą depcesz, żelazna.... I przyjdą na cię wszystkie te przeklęctwa i goniąc, pojmają cię aż zginiesz, żeś nie słuchał głosu Pana Boga twego, aniś chował przykazania Jego“ (Deuteron. Rozdział 28).

Jeden rzut oka na historyę Izraela od Mojżesza aż do niewoli Babilońskiej, a potem aż do zburzenia Jerozolimy wystarczy, aby się przekonać o spełnieniu tej przepowiedni.

Najpiękniejszy przykład w przestrzeganiu przykazań.

Ten najpiękniejszy przykład zostawił nam sam Boski Zbawiciel, wszystkie przykazania zachował jak najdokładniej: spełnia przykazanie 1-sze, bo będąc co do bóstwa równy Ojcu, jednak co do ludzkiej natury oświadcza, że Ojciec jest większym, pokorne Mu składa hołdy uwielbienia i wszędzie Jego szuka chwały. Zachowuje przykazanie 2-gie: usty także uwielbia Boga, a chociaż sam jest prawdą, to tylko głosi, co słyszał od Ojca mówiąc: „Oznajmiłem imię Twe ludziom....

Jam wsławił Ciebie na ziemi“ (Jan 17). Zachowuje przykazanie 3-cie: idzie w sobotę do synagogi i w przepisanych czasach odwiedza świątynię Jerozolimską. Jakże dokładnie wykonuje przykazanie 4-te: jaką cześć oddaje Matce i Opiekunowi, poddając się zupełnie pod ich rozkazy; jakże posłuszny i świeckiej nawet władzy, płacąc pilnie czynsz i domagając się tego posłuszeństwa dla władzy od innych: „*oddajcie tedy co jest cesarskiego, cesarzowi*“ (Sw. Mat. 22). Zachowuje przykazanie 5-te: nietylko nikogo życia nie pozbawia, lecz jako dobry Pasterz, daje życie za swoje owieczki, aby żywot miały i obficiej miały. Jest Pan Jezus dalej wzorem czystości; z najczystszej rodzi się Dziewicy, szczególniejszym sposobem umiłował czystość, a przestawanie z niewinnymi jest najmilszem Jego zajęciem. Po 7-me: chociaż świat cały jest Jego własnością, przecież nie ma, gdzieby skłonił głowę swoją; nikomu nie odbiera jego własności, przeciwnie: wszędzie hojną ręką rozdziela łaski i dobrodziejstwa — wszyscy chorzy, ubodzy i uciśnieni znajdują w Nim pomoc. Nie daje fałszywego świadectwa, ale dlatego przychodzi na ten świat, aby złożył świadectwo prawdzie; każde Jego słowo tak jawne i niewątpliwe, że przed wrogami śmiało wyznaje: „*jam jawnie mówił światu, a w skrytości nicem nie mówił*“ (Św. Jan 18). Nareszcie

P. Jezus nie pragnie cudzego dobra, owszem Serce Jego przepełnione jest największą życzliwością i najczystszą miłością ku wszystkim ludziom; nawet na swych nieprzyjaciół nie gniewa się, ale wstawia się za nimi: „*Ojcze! odpuść im, bo nie wiedzą co czynią.*“

Najpiękniejsza modlitwa o zachowanie dziesięciorga przykazań Boskich.

To modlitwa Pańska; jej prośby z dziesięciorgiem przykazań, są bardzo, iż tak powiem, spokrewnione. Pierwsze przykazanie Boskie żąda od nas wiary w jednego Boga, co stworzył niebo i ziemię; a pierwsze słowa modlitwy Pańskiej: „*Ojcze nasz, któryś jest w niebie,*“ bardzo nam tę wiarę przypominają. Drugie przykazanie zakazuje nadużywania Imienia Boskiego; a Boski Zbawiciel chce, abyśmy to imię Boskie chwalili i uwielbiali: „*Święć się imię Twoje.*“ Trzecie przykazanie nakazuje święcenie szabatu, wstrzymanie się od pracy służebnej i podniesienie serca w modlitwie ku niebu; Pan Jezus podobną daje naukę, każąc się nam modlić: „*Przyjdź królestwo Twoje.*“ Czwarte przykazanie nakazuje posłuszeństwo dla rodziców i wszelkiej władzy; tego się domaga i Boski Zbawiciel i każe nam się modlić: „*Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na*

ziemi.“ 5-te, 6-te i 7-me przykazanie, zabrania wszelkiego uszkodzenia bliźnich, odnośnie do ich życia, ciała i własności; Pan nietylko chce, abyśmy nikomu nie szkodzili, lecz żąda także, abyśmy każdemu rzeczy potrzebnych życzyli i w tym celu za siebie i drugich zasyłali modlitwę: „*Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.*“ Ósme przykazanie zabrania fałszywego świadectwa, kłamstwa i wzgardy bliźniego; a Pan żąda, abyśmy nietylko podobnych krzywd nikomu nie wyrządzali, ale owszem nam wyrządzone, chętnie przebaczali: „*Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.*“ Ostatnie dwa przykazania nietylko zabraniają złych czynności, ale i złych żądz i pragnień. Pan znając naszą słabość i ułomność, jak łatwo w sercu złe uczucia i myśli powstają, chce, abyśmy i te pragnienia oddalali — i dla tego każe nam prosić Ojca: „*Nie wodź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.*“

Gorliwy obrońca zakonu Bożego.

„W one dni, tak opowiada Pismo święte, powstał Matatyasz, syn Jana, syna Symeonowego i osadził się na górze Modyn. I rzekł Matatyasz: Biada mnie, przeczem się narodził, abym widział skruszenie ludu mego i skruszenie miasta świętego.... I rozdarł

odzienie swoje i synowie jego, a oblekli się w włosiennicę i bardzo płakali. I przyszli tam ci, którzy byli posłani od króla Antyocha, żeby przymusili ofiarować i palić kadzidło i odstąpić od zakonu Bożego. I mnodzy z ludu Izraelskiego zezwoliwszy, przystali ku nim: ale Matatyasz i synowie jego statecznie stali. I odpowiadając, którzy byli posłani od Antyocha, rzekli Matatyaszowi: Przedniejszy i najsławniejszy i wielki jesteś w tem mieście, i ozdobiony synami i bracią. A tak przystąp naprzód a uczyń rozkazanie królewskie, a będziesz ty i synowie twoi między przyjacioły królewskimi, a będziesz ubogacon złotem i srebrem i mnogimi upominkami. I odpowiedział Matatyasz i rzekł głosem wielkim: Choć wszyscy narodowie króla Antyocha słuchają, aby odstąpił każdy od nabożeństwa zakonu ojców swoich a zezwolił na rozkazanie jego: Ja i synowie moi i bracia moi, będziem posłuszni zakonowi ojców naszych. Niech nam Bóg będzie miłościw: nie jest nam pożyteczno odstąpić zakonu i sprawiedliwości Bożej. Nie usłuchamy słów króla Antyocha, ani będziem ofiarować, przestępując przykazania zakonu naszego, abyśmy mieli inną drogą chodzić.... I zawołał Matatyasz głosem wielkim w mieście mówiąc: Każdy, który uprzejmie miłuje zakon, zachowując przymierze, niech wynijdzie za mną.... I przybliżyły się dni Mata-

tyaszowi, żeby umarł i rzekł synom swoim: Bądźcie miłośnicy zakonu a dajcie dusze wasze za przymierze ojców waszych. A pomnijcie na sprawy ojcowskie, które czynili w rodzajach swoich a otrzymacie sławę wielką i imię wieczne. Azaż Abraham nie był nalezion wiernym w pokuszeniu i poczytano mu ku sprawiedliwości? Józef czasu ucisku swego, zachował rozkazanie i stał się panem Egiptu.... Dawid w miłosierdziu swem dostąpił stolicy królewskiej na wieki. Eliasz gdy się zapalił zapaleniem o zakon, wzięty jest do nieba. Ananiasz i Azariasz i Mizael wierząc, z płomienia są wybawieni. Daniel w swej prostocie, wybawion jest z paszczęki lwów. I tak rozmyślajcie przez naród i naród, że wszyscy, którzy w Nim nadzieję pokładają, nie słabieją. A nie bójcie się słów człowieka grzesznego, bo chwała jego gnój i robactwo jest. Dziś się wywyższa a jutro się nie najdzie, iż się obrócił w ziemię swą a myśl jego zginęła. A przetoż wy synowie, wzmocnijcie się a czyńcie mężnie w zakonie, bo w nim sławni będziecie." (Księgi Machabejskie, rozdz. 2.).

Wierni wykonawcy przykazań Boskich w Starym Testamencie.

Posłuchajmy, co nam Pismo święte opowiada o wierności sędziwego starca Eleazara

w przestrzeganiu przykazań Boskich, w czasie prześladowania okrutnego Antyocha, zmuszającego żydów do odstępstwa od wiary i praw ojczystych. (Ks. 2. Machab. rozdz. 6.): „Eleazar tedy, jeden z przedniejszych doktorów, mąż w leciech podeszły i nadobnej twarzy, był przymuszony jeść świnie mięso. Ale on śmierć najchwalebniejszą raczej, niż żywot omierzły obierając, dobrowolnie uprzedzał na śmierć. A ci, którzy przy nim stali, niedobrą litością wzruszeni, dla starej przyjaźni z mężem, odwiódłszy go osobno, prosili, aby przyniesiono mięsa, którego mu się używać godziło, aby zmyślono, że jadł jako król był rozkazał, z mięsa ofiarowanego, żeby to uczyniwszy, uszedł śmierci. Ale on prędko odpowiedział: Na nasze lata zmyślać nie przystoi, żeby wiele młodzieńców mniemając, iż Eleazar będąc w dziewiącidziesiąt lat, przeniósł się do życia cudzoziemców, i oni dla mego zmyślania i dla trochy skazitelnego żywota, byli w błąd zawiedzeni, a przeto bym zmazy i przeklęctwa starości mojej nabył. Bo choćbym na ten czas uszedł mąk ludzkich, wszakże ręki Wszechmocnego ani żywy, ani umarły nie ujdę; a tak statecznie z żywota schodząc, okażę się być starości godnym, a młodzieńcom mężny przykład zostawię, jeśli ochotnem sercem a mężnie, za najpoważniejsze i najświętsze pra-

wa, poczciwą śmierć poniosę. To gdy wymówił, zaraz go na mękę pociągniono.“

Rodzina prawdziwie bohaterska.

Jestto rodzina Mahabejczyków. Tyran Antyoch użył gróźb, obietnic i wszelkich środków, aby ich skłonić do odstępstwa od wiary i przekroczenia praw Bożych, ale wszystko było daremne. „Gotowiśmy raczej umrzeć — odpowiada pierwszy syn, niżli zakon Boży ojczysty przestąpić... Ale nad miarę, opowiada Pismo święte, matka dziwna, która na ginące siedm synów jednego dnia patrząc, dobrem sercem znosiła dla nadziei, którą w Bogu miała. Każdego z nich ojczystym głosem mężnie napominała, będąc pełna mądrości, do nich mówiła: nie jam ducha i duszę wam darowała i żywot, ale Stworzyciel świata, który sprawił człowiecze narodzenie. Lecz Antyoch mniemając, żeby nim gardzono, gdy jeszcze najmłodszy pozostał, nietylko go słowy upominał, ale i pod przysięgą obiecował, że go bogatym i szczęśliwym uczynić miał, i jeśliby odstąpił od praw ojczystych, że go miał mieć za przyjaciela. Ale gdy się młodzieniec żadną miarą nie skłaniał, na to zawołał król matki i radził jej, aby młodzieńcowi radziła ku zdrowiu. A gdy ją długiemi słowy napominał, obiecała. A tak schyliwszy się do niego, mówiła

głosem ojczystym: Synu mój, zmiłuj się nademną, któram cię... do tych lat przywiodła. Proszę synu, abyś pojrzał na niebo i na ziemię i zrozumiał, iż to Bóg z niczego uczynił i rodzaj ludzki. Tak się stanie, że się nie będziesz bał tego kata, ale stawszy się godnym braci twej uczestnikiem, podejmij śmierć. To gdy ona jeszcze mówiła, rzekł młodzieniec: Kogoż czekacie? nie słucham rozkazania królewskiego, ale rozkazania zakonu, który nam jest dan przez Mojżesza. Ale ty, któryś się stał wynalazcą wszelkiej złości na Hebrejczyki, nie ujdziesz ręki Bożej. Bo my to dla grzechów naszych cierpimy. A ty złośliwy, a ze wszech ludzi najgorszy, nie wynoś się próżno daremnemi nadziejami, rozpaliwszy się na sługi jego. Albowiem jeszcześ nie uszedł sądu Wszechmocnego, a wszystko widzącego Boga. Lecz ja, jako i bracia moi, duszę i ciało moje, dawam za prawa ojczyste, wzywając Boga, aby co rychle, narodowi naszemu miłościwym był, a ty żebyś w mękach i karaniu wyznał, że On sam jest Bogiem" (Machab. Ks. 2. rozdz. 7).

Wszystkie przykazania zachować należy.

Sławny kaznodzieja Hunolt, okazuje nam tę prawdę w następnych porównaniach. „Ludzie, mówi on, co jedno tylko, lub drugie

zachowują przykazanie, podobni są do chorego, który te tylko przyjmuje lekarstwa, które smakowi jego schlebiają, a inne od lekarza przepisane i do przywrócenia mu zdrowia koniecznie potrzebne, odrzuca. Czy można o takim chorym powiedzieć, że na seryo, stanowczo chce zdrowie stracone odzyskać? Podobnym sposobem nie wielu ludzi znajdziesz, zamierzających rzeczywiście wszystkie przekroczyć przykazania; każdy ma jeszcze odrazę do jednego lub drugiego występku; każdy niemal coś dobrego jeszcze wykonywa — chodzi do kościoła, albo daje niekiedy jałmużnę, albo pości. Ale czy dlatego dostaną się do nieba? Bynajmniej, bo według własnego widzimisię, niektórych tylko przestrzegają przykazań, schlebiających ich skłonnościom, a inne odrzucają. Nie wystarcza zachować jedno tylko, lub drugie przykazanie. Cóż ci to pomoże w podróży, jeżeliby nawet trzy koła u wozu były dobre, a jedno tylko w kawałki roztrzaskane, tak, żebyś dalej jechać nie mógł? Cóż to twemu zdrowiu pomoże, żeś wolny od gwałtownej gorączki, jeżeli suchoty do łoża cię przykuwają? Czy się to przyczyni do życia twego, jeśli nie przeszyje cię wprawdzie sztyletem, twój nieprzyjaciel, ale kulą zabije? Również, co ci to pomoże do zbawienia, stać wprawdzie jedną nogą na drodze, prowadzącej do nieba, ale drugą nogą dążyć do piekła?

„Nie jestem złodziejem! mówisz i niesprawiedliwym.“ Dobrze, dla kradzieży więc i niesprawiedliwości, nie będziesz potępiony; aleś dumny z twego szczęścia i gardzisz wszystkimi, a ta pycha cię potępi. Nie jesteś cudzołożnikiem, ale myśli twoje i pragnienia są niegodziwe, albo przez nieskromne rozmowy i zgorszenia, drugich do grzechów prowadzisz — ten zatem występek cię potępi. Jesteś łagodnym, miłosiernym; piękne to cnoty! Lecz przyczyną twego potępienia będzie może zaniedbanie obowiązków lub nałogowe pijaństwo. Nie jesteś oszczercą, ale przez twoją zemstę i nienawiść się gubisz. Nie jesteś publicznym grzesznikiem, aleś oddany grzechom i nałogom, za które cię Bóg odrzuci. Spowiadałeś się z twoich grzechów, ale jeden zataiłeś; ten jeden grzech zatajony, wtrąci cię w przepaść piekielną. Tak postępując, dzielisz twe serce między Bogiem a szatanem, jesteś tylko połowiczym chrześcijaninem; a jak mówi Jakób święty w rozdz. 2.: *„Ktobykolwiek zachował wszystek zakon a w jednymby upadł, stał się winien wszystkiego. Bo który rzekł: nie cudzołóż, rzekł ci też: nie zabijaj. A jeślibyś nie cudzołożył, alebyś zabijał, stałeś się przestępcą zakonu.“*

I^sze Przykazanie.

„Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną.“

Pierwsze przykazanie czego zakazuje? a) **Bałwochwalstwa.**

Młody chrześcijanin.

Młody chrześcijanin, bardzo pobożny, żył w sąsiedztwie z bałwochwalcą, któremu powtarzał codzień: „Jeden tylko jest Bóg żyjący, Stworzyciel nieba i ziemi; Jego potęga rozlewa strumienie światła i spuszcza rosę dobroczynną. Zna On wszystkie uczynki nasze i modlitwy nasze; o tyle są skuteczne, o ile wznoszą się ku Niemu. On jeden mocen jest karać ludzi i wynagradzać, otwierać dla nich bramy niebieskie, lub strącać ich do piekieł. Bałwany, przed którymi czołem bijesz, nie mogą ani widzieć, ani słyszeć. Błędem więc jest bać się ich, lub modlić się do nich.“

Pomimo tak rozsądnej mowy, bałwochwalca trwał w swojem zaślepieniu. Pewnego dnia udał się on na wieś odwiedzić przyjaciela. Podczas jego nieobecności, młody chrześcijanin idąc za natchnieniem Boskiem, potłukł wszystkie bałwany, prócz największego, któremu włożył gruby kij w rękę; poczem odszedł. Poganin wróciwszy do domu, wpadł w wielki gniew i zawołał:

— Kto się dopuścił tak wielkiej zbrodni?

— Jakto, odpowiedział mu młody chrześcijanin, czy nie zgadniesz, że twój wielki bałwan, daleko potężniejszy od innych, z łatwością je podruzgotał?

— Nie, odrzekł bałwochwalca, oszukujesz mnie; od tylu lat, jak znajduje się u mnie ten bałwan, nie poruszył się ani razu. Ty przez złość, potłukłeś moich bogów, kij pomści się za twoją zuchwałość!

— Pocóż ten gniew, mówił dalej młody chrześcijanin, nie zmięszawszy się wcale. Jeżeli twemu glinianemu bałwanowi przyznajesz mniejszą moc, niżeli mnie, jakżeby mógł być istotą najwyższą?

Zdziwiony poganin zamilkł. Po chwili namysłu, sam obaliwszy bałwana, który stał jeszcze, upadł na kolana i po raz pierwszy oddał cześć Bogu chrześcijan.“ (Guillois).

Pierwsze przykazanie zakazuje: b) **zabobonów.**

Uwaga. Zabobon na tem polega, gdy się jakim rzeczom przypisuje własności i skuteczności, jakiej nie mają ani z natury swojej, ani skutkiem poświęcenia kościelnego, ani z rozporządzenia Boskiego. Tych zabobonów nawet między ludem chrześcijańskim, niezliczona liczba do dziś dnia istnieje; jedne z nich śmieszne, niedorzeczne — drugie haniebne i bezbożne. Należy tu: wróżenie (cyganki, żydówki) z gwiazd, z lotu ptaków, z ręki, z twarzy, z przypadku, snów, kart, loteryi itd. Należy tu: czarownictwo (czary, czarownice, stoliki pukające, spirytyzm). Należy tu: zabobonność i próżne obserwacye w modlitwach, gdy się pewnym modlitwom, albo pewnej ich liczbie, albo pewnemu sposobowi odprawiania, moc nadzwyczajną przypisuje. Dalej: zażegnywania, upiory, zmory, uroki, postrzały itd.

Ochozyasz.

Ochozyasz, król Izraela, spadł przez kratę górnego piętra na dół i zachorował. Zamiast położyć ufność w Bogu prawdziwym, wyprawił posły do Beelzebuba, fałszywego Boga Akkaron, aby się go poradzili, czy wyjdzie z tej niemocy? Prorok Eliasz zaszedł drogę posłom i rzekł im z rozkazu Bożego: „idźcie a wróćcie się do króla, który was posłał a powiecie mu: To mówi Pan: Izaliże nie było Boga w Izraelu, posyłasz radzić się

Beelzebuba boga Akkaron? Przeto z łóżka, na któreś wstąpił, nie zstąpisz, ale śmiercią umrzesz.“ Ochozyasz w rzeczy samej umarł za karę zabobonu, jak to mu Prorok zapowiedział. (Ks. IV. Król. I.).

Kukułka.

Pewna wdowa w podeszłym już wieku, jak opowiada ks. Lohner: (bibliotheca III, 559) ciężko zachorowała. Chrześcijanka, córka jej, upraszała matkę, aby się zaopatrzyła w ostatnie Sakramenta. Lecz chora oświadczyła, że to nie jest jeszcze potrzebne. Córka wezwała sąsiada, aby chorą namówił do przyjęcia św. Sakramentów. Ale wdowa i jemu odpowiedziała z uśmiechem:

— Nie frasujcie się, jeszcze nie umieram. Kukułka przepowiedziała mi, że żyć będę jeszcze lat 12.

Zabobonni liczą bowiem, że tyle lat jeszcze żyć będą, ile razy usłyszą jedno po drugiem kukanie tego ptaka. Ponieważ zaś stan wdowy ciągle się pogarszał, córka posłała po księdza; lecz gdy ten przyszedł, chora była całkiem prawie bez przytomności, i tylko naśladując kukułkę, krzyczała: kuku, kuku! Tak zakończyła życie nieszczęśliwa bez Sakramentów świętych.

Sposób odkrywania skarbów.

W Provins, we Francyi (tak opowiada Guillois, explication du catech. II. 125) żył r. 1804 słynny wyszukiwacz skarbów, nazwiskiem Lemoine, i wspólnie z przebiegłą żoną swoją wielu ludzi oszukiwał. Przyrzekał nauczyć odkrywania skarbu za pomocą pewnych obrzędów. Uczeń musiał zaraz z początku zapłacić mu 20 franków, potem pościć i dać na Mszę o Duchu Świętym. Następnie trzeba było zabić kozę, skórą jej obciągnąć miejsce, gdzie skarb ma się znajdować, mięso spalić, popiół zaś rano z wiatrem rozrzucić. Potem z dwóch gałązek pewnego drzewa, przygotowuje się rózga wieszczbiarska, czyli laska wróżąca. Teraz dopiero można ducha, strzegącego skarbu, wywołać. On ma przygotowaną umyślnie na ten cel księgę podpisać i oznajmić, gdzie i jak skarb może być wynalezionym. Prostaczek, nazwiskiem Suseau, wydał 113 franków na różne potrzebne przygotowania. Po tygodniowym poście, z próżnym żołądkiem, a głową pełną nadziei, wyszedł na wskazane miejsce. Czekał i czekał na przybycie wróżbity, ale nikt się nie pokazywał. Wtedy domyślać się zaczął, że go oszukano; udał się więc do mieszkania szalbierza, ale już go tu nie było. Zaniósł przeto skargę do

sądu, który po zbadaniu sprawy, skazał oboje małżonków na dwuletnie zamknięcie w więzieniu i zwrot wyłudzonych pieniędzy.

Historya Lemoina i Suseau, jest historyą wszystkich wieszczbiarzy i uciekających się do ich pomocy; tak powtarzam, każdy wieszczbiarz jest oszustem, a ten kto się go radzi, jest nietylko bardzo niemądrym, ale grzeszy przeciw Bogu.

Lekarstwo na czary.

Przyszła raz zabobonna wieśniaczka do swego Proboszcza i uskarżała się przed nim, że krowy jej rano zgoła mleka nie dają; muszą być zaczarowane — prosiła więc o udzielenie jakiego środka, poświęconego przeciw czarom. Proboszcz chcąc ją gruntownie wyleczyć, obiecał przygotować po południu taki środek. Otrzymała papier zapieczętowany z przestrogą, aby późno wieczorem o godzinie 10-tej szła do obory i każde drzwi, tudzież każdy kąt, tym papierem otarła, bez złamania wszakże pieczęci.

Włościanka ściśle wypełniła daną przestrogę. Pierwszego dnia wyszedłszy do obory, znalazła drzwi otwarte; pomyślała więc, że dziewka przypadkiem zapomniała zamknąć i sama zamknęła. Ciekawa skutku użytego środka, nazajutrz rano poszła sama

w czasie dojenia, i oto, krowy dały obficie mleka.

Następnego wieczora drzwi znowu były niezamknięte, a dziewka za swe niedbalstwo odebrała surowe upomnienie. Krowy dały mleka jak zwykle. Gdy trzeciego wieczora wieśniaczka z tak doskonale skutecznym papierem obchodziła oborę, znalazła wprawdzie drzwi zamknięte, ale zbliżając się z czarnoksięskim środkiem do odległego kąta obory, spostrzegła ze strachem ukrytego mężczyznę — a w nim poznała brata swojej służącej, wielkiego złodzieja.

Teraz wreszcie przekonała się włościanka, że jej służąca umyślnie nie zamykała drzwi obory, a brat w porozumieniu ze siostrą, kradł mleko wydojone. Nazajutrz czemprędzej, chciała tę dziewkę oddalić ze służby, lecz ona widząc wykryte swe postępowanie, nie czekała poranku, ale zabrawszy swe odzienie, w nocy uciekła.

Zawstydzona wieśniaczka udała się do Proboszcza i opowiedziała całą przygodę. Proboszcz rozpieczętował w jej oczach papier, na którym te słowa były napisane: „Czuwaj dłużej, doglądaj pilniej, a czary ustaną.“ (Ks. J. Schmid, Katech. histor.).

Kosztowny klejnot.

Znakomitej księżnej w Niderlandach skradziono raz bardzo kosztowny klejnot. Ponieważ panowało jeszcze naówczas mniemanie, że są tacy ludzie, co skradzione rzeczy czarodziejskiemi środkami napowrót odzyskać mogą, księżna kazała ogłosić, że ten czarownik znaczną odbierze nagrodę, kto jej zgubiony klejnot odzyskać potrafi. Stawił się wkrótce przed księżną młodzieniec, nazwiskiem Ratz, i obiecał zgubiony sygnet wyszukać, byleby tylko przez trzy dni był hojnie częstowanym — co mu też zapewniono.

Pierwszego dnia wstawszy od stołu, Ratz zebrał wszystkich służących, między którymi domyślał się złodzieja; a przypatrując się bystro i badawczo każdemu, rzekł głośno:

— Oto już pierwszy!

Rozumiał przez to w myśli pierwszy dzień szczęśliwy, w którym tak wspaniałego doznał przyjęcia. Ale trzej słudzy, którzy wspólnie dopuścili się kradzieży, zastósowali te słowa do siebie, mniemając, że pierwszy z nich jest już wiadomy czarnoksiężnikowi.

Następnego dnia, po sutym obiedzie, odbywszy dokładny przegląd służby, rzekł znowu:

— Oto już i drugi!

Winowajcom, którzy równie jak wczoraj,

słowa te do siebie zastósowali, serce dziś mocniej jeszcze bić zaczęło.

Trzeciego dnia po uczcie książęcej, zawołał on jakby tryumfująco:

— Już i trzeci mój — a teraz jestem już gotów!

Poszedł potem do swego pokoju, ażeby, jeśli winowajcy, których niespokojność bardzo dobrze widział, sami się nie wyjawią, wymknąć się cichaczem w nocy i uniknąć kary za zmyślone czarnoksięstwo. Ale o północy jeden ze służących wśliznął się ukradkiem, wręczył czarnoksiężnikowi skradziony klejnot i w dodatku 100 talarów, błagając, aby ich nie zdradził.

Czarnoksiężnik nazajutrz rano udał się do księżnej, z dumną miną położył jako dowód swojej sztuki, klejnot na stół, otrzymał obiecaną nagrodę a poleciwszy grzecznie na dalszy przypadek swoją umiejętność, wielce uradowany wyszedł z tego dworu. (Schreger, Zeitanwendung pag 261).

Czarnoksięzkie słowa.

Zabobonna niewiasta, chorując na oczy, prosiła pewnego studenta, aby napisał na kartce łacińskie, czarnoksięskie słowa, któreby jej cierpieniom oczu zaradzić mogły. Student przystał chętnie na tę prośbę i za-

raz napisał kilka słów. Pełna ufności kobieta, zawiesiła kartkę na szyi i rzeczywiście po niejakim czasie, choroba znikła. Uradowana, pokazała kartkę miejscowemu Proboszczowi, który często powstawał przeciw jej zabobonom, i opowiedziała pomyślny skutek wypisanych na niej wyrazów, prosząc przytem, aby jej objaśnił ich znaczenie. Proboszcz wytłumaczył te słowa. Brzmiały one tak: „Czart wydrze ci oboje oczy i jamy ich gnojem napełni.“ Zabobonna niewiasta odeszła zawstydzona. (Faber conc. 3 in Epiph)

Zabobonna gospodyni.

W małej mieścinie była gosposia dobroduszna i zgodę miłująca, ale z drugiej strony tak zabobonna, iż z najmniejszej rzeczy wróżyć umiała szczęście, lub nieszczęście. Jeśli n. p. idąc do kościoła, ujrzała zająca przez drogę przebiegającego, uważała to za znak bliskiego nieszczęścia. Widząc trzynaście osób przy jednym stole siedzących, w widoczny wpadała strach, bo wierzyła, że jeden z nich wkrótce umrzeć musi. Gdy się jej śniło, iż jej ząb z prawej strony wypadł, mówiła: „Ach! wkrótce umrze przyjaciel bliski!“ Gdy psy wyły, lub świerszcz albo sowa dały się słyszeć, zasmucała się biedna, rozumiejąc, że to coś złego wróży, że ktoś w najbliższym czasie umrzeć musi z sąsiedztwa. Nader ba-

cną zwracała na to uwagę, gdy albo sama, albo ktoś inny musiał kichnąć; nad ranem zapowiadało to nieszczęście, w południe miało zaś być dobrą przepowiednią. Gdy jej w lewem uchu dzwoniło, było to znakiem, że ktoś źle o niej mówi; dzwonienie zaś w prawem było wróżbą, że ludzie dobrze o niej mówią.

I jakież było następstwo tego *zabobonnego wieszczbiarstwa?* Oto, że biedna kobieta żyła w ustawicznej bojaźni i trosce, że fałszywie podejrzywała niewinnych i siebie samą dręczyła; gdyż dokądkolwiek została zaproszoną do stołu, odmawiała zaproszeniu z bojaźni, aby przypadkiem nie zasiadło do stołu trzynaście osób; — gdy dzwoniło jej w uszach, zadawała sobie pytanie: „kto też to może teraz o mnie źle mówić?“ takie i tym podobne strachy, snuły się po jej głowie. Taka to jest nagroda zabobonności — człowiek zabobonny, nabiera wstrętu do ludzi, życie staje się mu ciężkiem i gorzkiem, spokój wewnętrzny zatruty — a co najgorsza, zabobonność naraża duszę człowieka na zgubę.

Iszе Przykazanie.

(Ciąg dalszy).

„Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną.“

Pierwsze przykazanie zakazuje jeszcze: c) **świętokradztwa tj. znieważania:**

1. *Rzeczy Bogu poświęconych.* Są to Sakramenta święte, obrazy i relikwie Świętych, ceremonie do czci Bożej przeznaczone, naczynia i suknie święte, dobra kościelne, zostające pod władzą i posiadaniem Kościoła itd. Można więc zgrzeszyć przeciwko czci należnej, rzeczom Bogu poświęconym: przez niegodne sprawowanie lub przyjęcie jakiego Sakramentu św., przez zbezczeszczenie naczyń świętych, obrazów, relikwii św. itp.

2. *Osób Bogu poświęconych.* Do tych należą: duchowni, zakonnicy i zakonnice. Grzeszy więc, kto te osoby Bogu poświęcone, znieważa; naprzykład, bije, kaleczy itp.

3. *Miejsc Bogu poświęconych.* Są to: kościoły, kaplice publiczne, ku czci Bożej przeznaczone, cmentarze. Grzeszy, kto się na tych miejscach dopuszcza rzeczy sprośnych, bójki rozpoczyna, zwłaszcza z krwi rozlewem, kradnie rzeczy, należące do czci Bożej lub Kościoła itp.

Pod bukiem poświęconym Maryi.

Rękodzielnik wiejski Rupert, był wprawdzie nader biegłym w swem rzemiośle — ale przytem melancholicznego, tetrycznego usposobienia. Unikał ludzi, lubo od nich bardzo poszukiwany dla swych zdolności; a co gorsza, unikał Kościoła, modlitwy. Jeśli go zachęcała Regina, jego pobożna małżonka, do lepszego wykonywania swych obowiązków religijnych, choćby tylko dla usunięcia zgorszenia, jakie daje 10-letniemu synowi Adamowi, odprawiał ją rozgniewany temi słowy: „Nigdy nie występuję przeciw Bogu, Kościołowi lub księżom; nikogo nie ganię, jestem niemniej trzeźwym, oszczędnym i pilnym, jak wielu z tych, co do Kościoła uczęszczają.“

Pewnego dnia przerwać musiał zamówioną robotę Rupert, zawezwany nagle do domu. Bardzo się przestraszył ojciec, widząc swego syna jedynaka leżącego w łóżku. Z płaczem opowiadała mu Regina, że Adama znaleziono w pobliskim lesie, pod bukiem Maryi poświęconym, leżącego we krwi, zkąd od tamtejszych mieszkańców przyniesionym został.

— Pod drzewem Maryi, powtarzał Rupert przerażony — a bladość śmiertelna pokryła oblicze jego.

— Nie gniewaj się ojczulku, rzekł słabym głosem Adam — mama posłała mię na wieś

L.; kiedym przez las powracał, poczęli mnie gonić: Henryk i Aleksander. Obydwaj chłopcy starsi odemnie i mocniejsi, byli zawsze na mnie zagniewani. Przelękniony, uciekałem jak mogłem najprędzej, a potknąwszy się o wystający korzeń buka Maryi, upadłem.

— Pod bukiem Maryi, powtórzył znowu ojciec — a dziwny dreszcz wstrząsnął całą jego postawą.

Nadszedł lekarz, a zbadawszy chłopca, oświadczył, że rany nie są niebezpieczne, ani choroba długo trwać nie będzie — i przepisał potrzebne lekarstwa. Kiedy doktor odszedł, skinął ręką na swoją żonę Rupert — a schroniwszy się do przyległego pokoju, rzekł gwałtownie wzruszony:

— Z dalekich stron przybyłaś do naszej wioski; czy znane ci zdarzenie, które przed wielu laty przy tym właśnie buku miało miejsce?

— Tak jest, odpowiedziała Regina; głęboko wrośnięty w to drzewo, znajduje się tam obraz Najśw. Panny, z Boskiem Dzieciątkiem Jezus. Ten obraz miał być uszkodzony rzutem kamienia, a nawet nożem przebity.

— Tym zbrodniarzem, który ten czyn świękradzką ręką wykonał, byłem ja! — zawołał Rupert rozpaczliwym głosem; byłem natenczas młodym, zuchwałym chłopakiem. Ziemska sprawiedliwość nie dosięgła mnie;

ale tem boleśniej dotknęła mię ręka Boska. Lat 20 najstraszniejszych wyrzutów sumienia upłynęło. Około tego buka przejść nie mogę. Unikam kościołów i wszelkiego nabożeństwa. Obrazy święte i mowa pobożna, ranią me oczy i uszy; myśl sama o spowiedzi i Komunii św., jest sztyletem dla mego chorego serca. Teraz zabija Marya dziecię moje, bom w świętokradzkim zamiarze, Ją i Jej Dziecię znieważył. Do takiej to przepaści doprowadza życie rozpustne i niemoralne!...

— Najśw. Królowa niebios nie odmawia żadnemu skruszonemu grzesznikowi swego wstawienia się u miłosiernego Boga — odpowiedziała Regina, chcąc męża nieco pocieszyć.

— Dla mnie nie ma miłosierdzia, bo ja nie umiem się modlić — jęknął z rozpaczy Rupert.

Tymczasem stan chorego dziecka pogorszył się znacznie. Ojciec pobiegł po doktora. Wróciwszy do domu, zastał syna w gwałtownej gorączce, a matkę modlącą się u stóp dziecka.

— Adaś, rzekła Regina zapłakana, zgubiony — jeśli Bóg cudownym sposobem nie pomoże.

— Jeśli Bóg nie pomoże, powtórzył Rupert rozrzewniony — przyczem uścisnął rękę małżonki — pójdę w las i błagać będę pod

drzewem Maryi, Najśw. Matkę i Jej Boskie Dzieciątko, które tak ciężko obraziłem, o przebaczenie.

— Rupercie, co robisz? Ciemna noc w około, zawołała Regina.

Nic nie pomogły namowy. Szybko jak strzała, pobiegł do lasu, padł na kolana przed drzewem poświęconem Maryi, łzy trysnęły strumieniem. Bijąc się z serdeczną skruchą w piersi, po raz pierwszy otworzył swe usta do modlitwy: „O Najsłodszy Zbawicielu mój, przebacz mi te zniewagi, które w tym obrazie, Tobie i Matce Twej Najśw. wyrządziłem, oraz wszystkie inne grzechy, jakich się dopuściłem przez moje życie niemoralne, bez wiary. Ślubuję Ci, że odtąd zmienię postępowanie swoje, zostanę gorliwym chrześcijaninem. O Maryo! uproś mi miłosierdzie u Syna Twego, uproś łaski potrzebne, ale zarazem wybłagaj zdrowie dla mego syna.“ Dziwnie wzmocniony na duchu, podniósł się Rupert z ziemi i powrócił do domu.

— Najśw. Królowa niebios żadnemu grzesznikowi nie odmawia swej pomocy, jeśli tylko z żalem i ufnością do Niej się ucieka, rzekł do swej małżonki, przekraczając progi domowe. Marya zleczyła już biedne serce moje; jeśli jeszcze przywróci zdrowie memu synowi, cześć i chwała Jej na wieki. Lecz jeśli Bogu i Maryi podoba się zabrać to

dziecię ze świata za moje grzechy, Pan dał, Pan wziął, niech będzie Imię Pańskie błogosławione!

— Amen! dodała Regina, zwracając swe łzami zwilżone oczy ku niebu.

Tymczasem małego Adasia owionął sen spokojny i głęboki. Skoro nadszedł lekarz, oświadczył, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, a dziecko wkrótce do zdrowia powróci — co też rzeczywiście się ziściło.

Lecz jakież było zdumienie wszystkich mieszkańców wioski, kiedy następnej niedzieli Rupert przyjmował w parafialnym kościele z serdecznem nabożeństwem Najświętszy Sakrament, kiedy odtąd punktualnie uczęszczał na nabożeństwa, nietylko w niedziele i święta, ale i w dni robocze słuchał Mszy świętej, każdego miesiąca do Stołu Pańskiego przystępował — a cały zmieniony, pełen miłości bliźniego, wszystkim jak najpiękniejszym przyświecał przykładem. Jakże się dziwili sąsiedzi, widząc go tak często w lesie modlącego się pod drzewem Maryi. Kiedy go pytali o przyczynę tak nadzwyczajnej zmiany, odpowiadał uprzejmie: „Boskie Dzieciątko i Matka Jego Niepokalana, zachowała mego syna od śmierci doczesnej, a duszę moją od zguby wiecznej. Czyż to nie wystarczająca przyczyna do wdzięczności dozgonnej? — (Eichsfelder Volksblätter Nr. 18, 1882).

Rewolucyonista.

W jednym z kantonów (powiatów) francuskich Saint-Brieux, pewien pan, należący do Rady powiatowej w Langueux, a zarazem gorliwy zwolennik tak zwanych „Czerwonych rewolucyonistów“, chciał swoje pola i lasy zlaizować — to jest, usunąć wszystko, coby przypominało Boga i religią; a to tem więcej, że u swoich współtowarzyszów nie chciał uchodzić za klerykalnego stronnika. W dobrach jego, które przed rokiem dopiero nabył, stał starodawny, drewniany krzyż, pamiątka pobożności dawnych właścicieli.— Krzyż ten był dla niego cierniem w oku. Zaopatrzony w motykę, puszcza się sam radca w pole i zabiera się tutaj do dzieła zniszczenia. Okopał najprzód ziemię około wysokiego krzyża — a gdy go ręką chciał podtrzymać, aby się nie za prędko obalił, ciężki obraz Matki Boskiej, umieszczony w pośrodku przed Zbawicielem, o czem obrazoburca nie myślał, spadł z wysokości na jego twardą czaszkę i roztrzaskał ją w kawałki, tak, że mózg rozprysł się na wszystkie strony. Czy to był przypadek, czy wyrok Boski — nie chcę sądzić; ale to wiem, że Jezus Chrystus, jak mówi św. Mateusz w Rozdziale 21: jest owym kamieniem węgielnym, na który kto padnie, będzie skru-

szon — a na kogoby upadł, zetrze go. — (Eichsfelder Volksblätter Nr. 14, 1884).

Skutki niegodnej Komunii św.

Następujący fakt opowiedział niedawno znakomity misyonarz w dyecezyi Wersalskiej: „W czasie misyi odbytej w miesiącu Maju, dziwnie Bóg błogosławił usiłowaniom naszym; kościół był codziennie przepełniony, a nawrócenia liczne i szczere. Na zakończenie, chciał X. Proboszcz pewnej liczbie dzieci dać pierwszą Komunię świętą. Ośm dni przedtem wskazał mi chłopca 13-letniego, próżniaka, źle wychowanego, nicponia, który ani katechizmu nie umiał, ani się na seryo do tak ważnego dnia nie przygotował. Rodzice jego nie byli lepszymi, nie mieli żadnego udziału w misyi, i w ogóle prawie nigdy do kościoła nie chodzili. Pierwsza Komunia św. uchodziła w ich oczach za czczą tylko formalność, której raz trzeba się poddać, aby w tym względzie nie czynić wyjątku. W dniu ostatniego egzaminu, zadałem chłopcu niektóre pytania; na żadne z nich nie odpowiedział, było więc rzeczą niemożebną przypuścić go do Komunii świętej. Zapłakany i zawstydzony, powrócił do domu. Kiedy matka dowiedziała się o naszem postanowieniu, wybuchła gwałtownym gniewem przeciwko mnie

i księdzu Proboszczowi, przeciw religii i dziecku własnemu.

— Co mnie to obchodzi! wrzasnęła; przecież pójdziesz. Suknie już sprawione — czy oni tam chcą, albo nie chcą, ty pójdziesz!

— Ależ mamo, nie dostanę rozgrzeszenia.

— A cóż to szkodzi, rzekła niegodziwa kobieta — pójdziesz do Komunii bez spowiedzi. To wszystko głupstwo; nie pójdziesz do spowiedzi, ja ci zakazuję. Przywdziejesz piękne suknie i przystąpisz z drugimi do Komunii. Oni tego nie spostrzegą, a przynajmniej uwolnimy się już od nich.

Dziecko zamilkło z bojaźni przed matką i spodziewało się jeszcze przekraść potajemnie do spowiedzi, bo pomimo jego przewrotności, jakaś niewypowiedziana bojaźń przejmowała go na samą myśl niegodnej Komunii świętej. Lecz czujne oko niegodziwej, nieszczęśliwej matki, nie pozwoliło mu wykonać postanowienia. W dniu oznaczonym przywdział chłopiec nowe suknie i wśliznął się w czasie sumy między inne dzieci. Kiedy na niego przyszła kolej, przystąpił do Stołu Pańskiego, przyjął z rąk moich, (opowiada dalej misyonarz) Komunię św., tak, że go nie poznałem, i powrócił na swoje miejsce. Zaledwie kilka chwil upłynęło, padł omdlały na ziemię. Wyniesiono go z kościoła. Dla wielkiego ścisku obecnych i dla znacznej liczby komunikujących się, powstał taki

ruch w kościele, że nie spostrzegłem tego wypadku. Po odprawieniu Mszy świętej, zawezwano mnie natychmiast do chorego.

— Ojcze, wołał posłaniec, jedno z dzieci, które po raz pierwszy komunikowały się, strasznych dostało kurczów i bliskiem jest śmierci.

Udałem się spiesznie do wskazanego mi domu. Przy łóżku zastałem matkę, usiłującą napróżno złagodzić boleści chorego dziecka. Skoro mnie ujrzał nieszczęśliwy chłopczyk, odwrócił się ku ścianie, wołając:

— Precz, precz! nie — ja nie chcę.

Mimo to starałem się go uspokoić kilku łagodnemi słowy; nie wiedziałem dotychczas, co zaszło. Ale matka w okropnej rozpaczy, wkrótce mi tę rzecz wyjaśniła. Z przerażeniem stałem przez chwilkę jak wryty. Nagle ponowne i gwałtowniejsze jeszcze konwulsye, poczęły rzucać chłopcem. Mały świętokradzca podnosi się, wściekłe na matkę rzuca spojrzenie, a chrypliwym, złamanym głosem, następujące, straszne wymawia słowa:

— Matko, tyś mi kazała przyjąć niegodnie Komunię świętą! tyś mnie źle wychowała — teraz idę na potępienie, a to z twojej winy! I wśród strasznych kurczów, wyzionął wkrótce ducha. (Nothburga Nr. 6, 1885 r.).

Samobójczyni.

Święty Cypryan świadczy, że raz pewna pani, zjadłszy wprzód ofiarnego mięsa na cześć bałwanów pogańskich, odważyła się potem przystąpić do Stołu Pańskiego. Lecz zaledwie wzięła w usta Chleb Anielski, wstąpił w nią, jak niegdyś w Judasza, szatan; jak wściekła, przegryzła sobie język, którym niegodnie dotknęła się Najśw. Ciała — a usiłując życie sobie odebrać, w szaleństwie i rozpaczy, ducha wyzionęła. *(S. Cypr. serm de laps.)*.

Tenże sam Święty, następujące opowiada zdarzenie, którego naocznym był świadkiem. Gdy odprawiał Mszę świętą, wśliznęła się niepostrzeżenie pomiędzy zgromadzonych chrześcijan młoda dziewczyna, która w czasie prześladowania, zaparła się była Chrystusa Pana, a nie odpokutowawszy za tę zbrodnię i nie otrzymawszy rozgrzeszenia, przystąpiła do Komunii świętej. Lecz zaledwie wzięła do ust Chleb święty, ten zamienił się dla niej w truciznę; porwała ją nagle gwałtowna febra i padła natychmiast trupem.

B) Co nam **nakazuje** pierwsze przykazanie?

Nakazuje Bogu Najwyższemu należną cześć i pokłon oddawać, bo Pan Bóg godzien tego, dla nieskończonej wielkości i dobroci swojej. Cześć ta jest dwojaka: wewnętrzna i zewnętrzna. Wewnętrznie czcimy Boga przez: 1) wiarę, nadzieję i miłość. — Czcimy przez *wiarę* Boga, albowiem Go uznawamy za Prawdę wiekuistą, i rozum nasz Jemu w służbę i poddaństwo oddajemy. *Nadzieją* oddajemy cześć P. Bogu, bo uznawamy nieskończoną moc, wierność i dobroć Jego i na Nim, jako na niewzruszonej kotwicy, opieramy się. Przez *miłość* czcimy Boga, albowiem stawiamy Go wyżej ponad wszystkie rzeczy stworzone i oddajemy się Mu ze wszystkiem, co posiadamy i czem jesteśmy. 2) Czcimy wewnętrznie Boga przez oddawanie Mu czci Boskiej i uwielbienia, i przez korzenie się przed Nim, uznając Go za Istotę Najwyższą i oddając Majestatowi Jego chwałę i hołd najgłębszy, jaki tylko stworzenie Stwórcy swemu składać może. 3) Przez dziękczynienie za odebrane dobrodziejstwa, wyznając tem samem, że Bóg jest dawcą wszelkich łask i darów.4) Przez posłuszeństwo względem woli Bożej, tj. przez pełnienie woli Bożej i zgadzanie się we wszystkich wypadkach i zdarzeniach z wolą Bożą. To posłuszeństwo jest czcią P. Boga, albowiem przez nie uznajemy wolę Bożą jako prawo najwyższe, i jako dzieci zdajemy się na wolę tego Ojca, który wszystkiem najlepiej rządzi i kieruje.

Czcimy więc Pana Boga najprzód przez **wiarę**:

WIARA

największem jest dobrodziejstwem
i szczęściem człowieka.

Urzędnik przy łożu umierającej swej córki.

Pewien urzędnik, wysokie wprawdzie zajmujący stanowisko w społeczeństwie ludzkiem, ale bardzo niskie co do zapatrywań swoich religijnych, wcale się nie lękał nawet w otoczeniu domowem, czynić wycieczek przeciwko wierze i religii. Rzecz dziwna! Pan Bóg z swej dobroci nieskończonej, dał temu wolnemu myślicielowi za małżonkę nader zacną katoliczkę, wzór prawdziwej cnoty i pobożności. Lecz mimo prawości swego charakteru, nie mogła wpłynąć na zmianę zasad swego męża. Nagle zachorowało jedyne dziecko, którem ich Bóg obdarzył, panienka w kwiecie młodości, licząca około lat 18. Z chrześcijańską troskliwością uczyła ją pobożna matka nietylko religii, ale przedewszystkiem cnoty. Jednak i bezbożne za-

sady odartego z wiary ojca, znalazły przystęp do młodocianego serca, i byłyby bezwątpienia wzięły górę nad lepszem usposobieniem religijnem, które jej cnotliwa wszczepiła matka, gdyby Ogrodnik niebieski nie był spojrzał na ten kwiatek jeszcze przed jego zupełnem zwiędnięciem. Z dniem każdym wzmagała się choroba — a wszystkie środki ludzkie wydawały się bezskuteczne. Siedział pewnego wieczora kochający szczerze swe dziecko ojciec, obok łoża córki; łzy błyszczały w jego oczach — ocierał właśnie pot z bladego, zimnego czoła chorej, gdy ta nagle ostatka dobywając sił, podniosła się na posłaniu, utkwiła wzrok w oblicze ojca i rzekła tonem poważnym:

— Ojcze! ja sądzę, że mój koniec się zbliża, muszę cię jeszcze o coś zapytać — powiedz mi stanowczo, co mam wierzyć: czy pójść za nauką twoją, czy mojej matki?

Jak grom, uderzyły te słowa w serce niespodzianie zagadniętego ojca; spuścił oczy na dół i rzekł:

— Dziecię moje, wierz nadal i wyznawaj to, czego cię matka uczyła.

Podobnem lekceważeniem i wzgardą religii i wiary, odznaczał się także pewien profesor; a przecież dzieci swe kazał starannie wychowywać w wierze katolickiej. Przyjaciele jego nie pojmując tej sprzeczności z za-

sadami, spytali go ciekawie o przyczynę takiego postępowania. Profesor odpowiedział:

— Życzę dzieciom moim więcej spokoju duszy i pociechy w tem życiu, aniżeli sam doświadczyłem; a osiągną to wtenczas, jeśli żywszą odemnie wiarę mieć będą. — Tak jest, wiara jedynie żywa, nas na tej ziemi uszczęśliwić zdoła.

Doznał tego na sobie pewien gorliwy, katolicki profesor:

— Przeżyłem już lat 50, rzekł do swych kolegów, i skosztowałem różnych pociech życia; ale żadna z nich nie była trwalszą i czystszą od tych radości, które pochodziły z żywej wiary. Przeżyłem lat 50 i niejednę zniosłem boleść; lecz nigdzie nie znalazłem więcej światła w ciemnościach, więcej siły, pociechy i męstwa wśród cierpień, jak w czystem źródle wiary; świadczę się mojem sumieniem. Przeżyłem lat 50 i już nieraz stałem nad bramą śmierci i przekonałem się, że nic tak bojaźni przed śmiercią nie pokonywa i nie uśmierza, jak Boska siła religii; że nic tak strwożonego ducha nie wzmacnia przy wstępie do wieczności, nic tak nie uspokaja sumienia, które nas oskarża, jak wiara w naszego Zbawcę i Odkupiciela. Boga wzywam na świadka prawdziwości słów moich. (Mehlers Beispiele I. Band).

Grzechy przeciwko **wierze.**

Grzeszymy przeciwko wierze: 1) gdy zaprzeczamy artykułom wiary, lub o nich powątpiewamy. 2) Gdy prowadzimy rozmowy przeciwko wierze, albo dobrowolnie im się przysłuchujemy, lub też czytamy i rozszerzamy książki, pisma, gazety itd., treści wierze przeciwnej, narażając tym sposobem siebie i drugich na podkopanie lub zupełną utratę wiary. 3) Gdy się wiary zapieramy, albo okazujemy w niej obojętność, uważając np. wszystkie wyznania religijne za równie dobre, albo nie starając się o nabycie dostatecznych wiadomości religijnych, albo dopuszczając wychowywać dzieci w fałszywej wierze itp.

Odpowiedź młodemu niedowiarkowi.

Wiara, jak wszystkie inne cnoty nadprzyrodzone, jest łaską, darem i dobrodziejstwem Bożem. Młody niedowiarek, błędnie tłómacząc tę zasadę, chciał nią usprawiedliwiać swoje niedowiarstwo:

— Jeżeli nie wierzę w prawdy święte, mawiał często do pobożnych rodziców, głęboko zasmuconych, gdy widzieli syna przesiąkłego zdaniami filozofii Wolterowskiej — jeżeli nie myślę tak jak wy o religii, czyliż moja w tem wina? Nie, oczywiście; lecz dlatego, że mi brak daru wiary i że nie jest w mej mocy wyjednać go sobie.

Czcigodny kapłan słysząc go raz tak mówiącego odpowiedział:

— Ten wykręt pozorny, którego się chwytasz, stanowczo został potępiony przez Bo-

skiego Mistrza, gdy wyrzucał uczniom swoim małą ich wiarę, a żydom uparte niedowiarstwo. Chory nie ma mocy zniszczyć sam śmiertelnej swej choroby; ale od niego zależy zawezwać lekarza i przyjąć lekarstwa, jakie mu dla odzyskania zdrowia przepisze. Proszę podobnym sposobem o łaskę wiary, a ona przyjdzie w pomoc słabości twojej. Bóg nie jest obowiązany dać ci jej, ale obiecuje ją twoim prośbom, twoim staraniom. Nie jest jej winien tobie, ale Sobie Samemu, obietnicom swoim. Nie bierz więc za pozór konieczność łaski, aby się od niej uchylać. Wiara jest zarazem łaską i nagrodą. Bóg daje ją komu chce, i nigdy jej nie odmawia tym, którzy się czynią godnymi tej łaski, pragnąc jej, błagając o nią.

Młodzieniec korzystał z nauki, połączył własne modlitwy, z modłami swej rodziny i niebawem wyrzekł się fałszywych zasad, które go na bezdroża zawiodły. (Guillois, tom II).

Źródła niedowiarstwa.

Święty Paweł mówiąc o pierwszych apostatach, co też powtórzyć można i o apostatach teraźniejszych, powiada: „Z strony wiary rozbili się oni, ponieważ nie słuchali głosu dobrego sumienia i oddawali się nieporządnym skłonnościom serca swego.“

Potwierdza to w uderzający sposób pan

Bougner, znakomity członek akademii francuskiej. Przed śmiercią swoją, która nastąpiła w roku 1758, miewał częstsze, poufne rozmowy z X. de la Berthonie. W jednej z nich następujące uczynił zeznanie, godne uwagi: „Byłem niedowiarkiem dlatego, że byłem zepsuty“ — i zaraz potem dodał: „Weźmy się do rzeczy pilniejszej, mój Ojcze; serce moje więcej, niżeli umysł mój, potrzebuje zleczenia.“

I rzeczywiście, gdy zmysłowość opanuje człowieka, wypala w sercu wszystko, co szlachetne i czyste; rozumowi zaś narzuca zasłonę, by nie widział Boga i Jego prawa — a w końcu wmawia weń, że ciało jest jedynem bóstwem, rozkosz jedyną prawdą. Młodzieniec, który pije chciwie z zatrutego jej puhara, jakby odurzony zapomina o modlitwie, omija kościół, stroni od konfesyonału; potem wyszukuje zarzuty przeciw wierze, by się pozbyć jej natrętnych upomnień — wreszcie natrząsa się z tego, co pierwej czcił i czego się lękał. (Rélation de la conversion de M. Bougner, par le P. de la Berthonie).

Śmierć młodej bogini.

W czasie rewolucyi francuskiej byli bezecni ojcowie, małżonkowie szaleni, którzy gwałtem zmuszali córki i żony swoje, do przyjmowania czci, Bogu należnej. Często

widywano te młode niewiasty, skazane na odegranie roli bóstwa, jak szły przez miasto smutne i ze łzami w oczach i omdlewały na progu kościołów, gdzie niedawno przychodziły modlić się, a teraz królować tam miały. Jedna z nich, córka introligatora, przy ulicy Petit-Pont w Paryżu, licząc zaledwie lat 16, do tej niegodziwości zmuszona przemocą, powróciwszy z takiej bezbożnej uroczystości, położyła się do łóżka, zkąd nie podniosła się więcej — umarła na bóstwo. Nazajutrz przyszli grabarze oznajmić nierozumnemu ojcu, że córka jego była tylko śmiertelną; dzień przedtem wróciła boginią — nazajutrz wyniesiono ją umarłą. Oto, do czego dochodzi rozum, zaślepiony wyuzdaną namiętnością! (Histoire du Journal des Débats, par Nettement).

Młody czytelnik pism bezecnych i anti-religijnych.

Niedawno temu w Paryżu, jak opowiada X. Biskup Ségur — do pewnego studenta, który od czterech lat swego pobytu w tem mieście, najrozpustniejsze wiódł życie, przybył w odwiedziny ziomek jego i kolega, nader bogobojny i czystych obyczajów młodzieniec, aby zasięgnąć nowych wiadomości o swym ojczystym kraju, a zwłaszcza o miejscu urodzenia. Rozmowa ich trwała kilka

minut; oddalił się, pożegnawszy swego ziomka. Wkrótce jednak spostrzegł, że zostawił u niego książkę swoją — wraca więc natychmiast i puka. Nikt nie odpowiada; dzwoni, nikt się nie odzywa. Widząc atoli, że klucz we drzwiach, zapukawszy powtórnie, wchodzi. Znajduje wprawdzie towarzysza — ale był już trupem, rozciągniętym na podłodze. Ani kwadrans czasu nie upłynął, jak wyszedł był z jego pokoju; anewryzm serca, w jednej chwili przeciął nić życia bezwstydnego młodzieńca. W biórku jego znaleziono stosy listów najobrzydliwszej treści, a w bibliotece pełno nagromadzonych książek, przeciwnych moralności i religii. Tak Pan Bóg karze często tych, co się oddają czytaniu książek, pism, gazet bezbożnych, przeciwnych religii.

Jakże inny zupełnie obraz przedstawia się nam w życiu św. Augustyna. W młodości szukał on prawdy, lecz zboczywszy z drogi jedynie pewnej, wszedł na manowce herezyi manichejskiej. Za błędami poszły złe czyny; nad biednym młodzieńcem zapanowała żądza zmysłowa i spętała go mocno. Jęczał on lat kilkanaście w jej niewoli, szamotał się na wszystkie strony, trudno mu było potargać straszne jej więzy. Pewnego dnia, gdy tak walczył z sobą, słyszy następujące słowa: „*tolle, lege*“ (weź, czytaj). W tej chwili chwyta za księgę Pisma świętego — czyta

ustęp z listu św. Pawła, wzywający do poprawy życia, postanawia zerwać z przeszłością, przyjmuje chrzest i staje się nietylko świętym chrześcijaninem, ale jasną pochodnią Kościoła.

Ktokolwiek skuty okowami zmysłowości, błąkasz się w ciemnościach uprzedzeń i błędów, porzuć złe, anti-religijne piśmidła — *tolle, lege*; czytaj książki dobre, radź się mężów światłych, słuchaj słowa Bożego i strzeż się, by wicher namiętności nie zgasił na nowo lampy wiary w twej duszy.

Lekarstwo na wątpliwości przeciw wierze.

Pewien wieśniak w Irlandyi, który zresztą ochoczo, w prostocie swego serca Bogu służył, był raz nagabywany przez dłuższy czas od rozmaitych szkrupułów: powstała w nim wątpliwość, czy może liczyć na słowo Boże i spodziewać się zbawienia wiecznego. Pewien wierny sługa Boży, któremu ten dobry wieśniak wewnętrzne swoje utrapienie wyjawił, starał się go uleczyć i udowodnić mu, że Boskim słowom trzeba wierzyć. W tym celu opowiedział mu następujące zdarzenie: „Cesarz Napoleon odbywał raz przegląd wojska przed swoim pałacem w Paryżu. Kiedy dawał rozkazy, upuścił przypadkiem uzdę swego konia, a ten korzystając z wolności, biegał swobodnie po całem mieście. Jeden

z prostych żołnierzy, człowiek zwinny i odważny, puścił się za nim w pogoń, uchwycił za uzdę i przyprowadził niespokojnego rumaka do cesarza, który rzekł do szeregowca:

— Dziękuję ci kapitanie.

— A przy którym regimencie, Mości Cesarzu? zapytał żołnierz.

— Przy mojej gwardyi, odpowiedział cesarz, odjeżdżając cwałem.

Żołnierz spuszcza się na słowo monarchy, składa na ziemi broń i udaje się w uniformie tylko, do jeneralnego sztabu.

— Co ten człowiek tu chce? zapytał go jeden z jenerałów.

— Ten człowiek — odpowiedział odważnie żołnierz — ten człowiek jest kapitanem przy gwardyi.

— Ty? rzekł jenerał oburzony.

— Tak jest — bo Ten tam tak powiedział, odrzekł żołnierz, wskazując na cesarza.

— Ach! mój panie, przepraszam bardzo, nie wiedziałem o tem — odpowiedział jenerał z grzecznością.“

A przecież szeregowiec nie miał ani postawy na kapitana, ani epoletów, ani szpady oficerskiej. Słowo monarchy, na które się spuścił, znaczyło więcej, niż wszelkie oznaki zewnętrzne; wierzył mocno i bezwarunkowo słowu ziemskiego władcy.

— A ty, nie chciałbyś uwierzyć słowu najwyższego Pana nieba i ziemi?

Wieśniak zrozumiał przez to opowiadanie, co to znaczy wierzyć Bogu na słowo Jego, a wszystkie wątpliwości rozpierzchły się.

Ileż to młodzieńców niby to wykształconych, albo zbyt mądrych filozofek, nie już bez winy doświadcza podobnych wątpliwości w wierze; ale dobrowolnie, z rozmysłem oddają się tymże, nie chcąc się spuścić na słowo Boga, który ani Sam się pomylić, ani drugich w błąd wprowadzić nie może. Stokroć szczęśliwszy, kto swój rozum poddaje pod powagę Mądrości nieskończonej! Dziwna słodycz i spokój ducha, będzie jego udziałem. Lecz przeciwnie, stokroć nieszczęśliwy, kto wpuści do duszy wątpliwość, lub zupełnie utraci wiarę! .Oto, co mówi sam o sobie pewien filozof Jouffroy (czytaj Nicolas L'art de croire L. IV): „Religia chrześcijańska zaspokoiła całkowicie wszystkie potrzeby i obawy mej duszy; dzięki mej wierze, pojmowałem jasno życie obecne, a nawet wzrok niezamglony, zapuszczałem w przyszłość po za grobową. Byłem spokojny co do drogi życia i co do jej kresu; rozumiałem siebie samego — rozumiałem zamiary Boże nademną i kochałem Go; byłem szczęśliwy tem szczęściem, jakie daje żywa i silna wiara w naukę, rozwiązującą wszystkie wielkie zagadnienia, obchodzące człowieka.“

Lecz później począł on wątpić — i wnet według słów jego własnych: światła w duszy pogasły, szczęście z niej uleciało; to życie, wpierw tak wesołe i ruchliwe, stało się ciemnem i martwem jak grób, on sam stał się podobnym do człowieka, który lecąc w przepaść, chwyta się chwastów, i razem z nimi stacza się w dół.

Obojętność w wierze ukarana.

W mieście Hadze, w południowej Holandyi, umarł niedawno dawniejszy minister Modderman, wierzący protestant bez fanatyzmu, mąż nader prawego charakteru. Dla Kościoła katolickiego, rozkwitającego w Holandyi, wskutek pozostawionej mu wolności, miał wielkie poważanie, jak tego następujące zdarzenie dowodzi. Gdy był jeszcze ministrem, przyszedł do niego pewien prawnik i prosił go o umieszczenie w służbie państwowej. Minister Modderman zapytał go, do jakiego wyznania należy.

— Jestem wprawdzie katolikiem, odpowiedział młody kandydat, ale mnie to wcale nie obchodzi.

— Co? zawołał z oburzeniem minister, porwawszy się z krzesła — pan nie umiesz ocenić, co to znaczy urodzić się i być wychowanym w Kościele katolickim? Nie mam

dla pana miejsca; bo kto Bogu swemu nie służy wiernie, ten nie dochowa wierności i królowi swojemu.

Prawnik ów (dodaje autor), dziś jeszcze jest bez posady, chociaż pochodzi z bardzo znakomitej, katolickiej familii w Amsterdamie. (Freiburger Kirchenblatt Nr. 39, 1885).

Partya bardzo ponętna, ale dla wiary niebezpieczna.

Nadeszła pora wydania za mąż młodej panny Frémiot de Chantal. Więcej dla cnót jej, niżeli dla znakomitego imienia, starano się o jej rękę. Młody człowiek, wysokiego urodzenia, bardzo bogaty, prosił o nią. Wszystko przemawiało za nim: zajmował w świecie niepospolite stanowisko, szczycił się dobrą sławą, posiadał wszelkie ujmujące przymioty, słowem: wszystko godnym go czyniło tej, którą zaślubić pragnął. Oba domy porozumiały się z sobą i zajmowały się przygotowaniem do bliskiego związku. Ale młoda Frémiot dowiedziała się, że jej narzeczony jest kalwinem; to dla niej wystarczało — samo imię heretyka, zniweczyło w jej oczach wszystkie piękne przymioty, jakie w nim poznała, a głośno cofając dane słowo, oświadczyła, że nieprzyjaciel Kościoła, nigdy nie będzie jej małżonkiem.

Daremnie cieszono ją nadzieją, że będąc panią serca tego, który ją zaślubić pragnął, nawrócić go potrafi. Nie przestała powtarzać, że nigdy zwolennik Kalwina, nie połączy losu swego, z jej losem — i że sama wyrzecze się raczej tysiąca majątków, niżeli narazi wiarę swą na niebezpieczeństwo.

Później zaślubiła barona de Chantal i umarła świątobliwie. — Tak, kto nie jest obojętnym dla swej wiary, unika wszystkiego, coby ją zachwiać mogło. (Vie de Sainte Chantal).

Los szyderców.

Jak Bóg karze tych, co sobie pozwalają występować przeciwko religii, albo tem bardziej szydzić z wiary, praktyk religijnych, lub kapłanów, następujące okazują zdarzenia:

W roku 1883, dnia 27 Października, pewien starzec 70-letni, murarz z profesyi, i znany szyderca wiary, w jednej wiosce Lotaryngii, siedział na dachu jakiegoś domu, zajęty małą reparacyą nadwątlonego muru. Przechodził właśnie wtenczas ulicą staruszek tego samego wieku, opierając się na dwu kulach i zwracał swe kroki ku kościołowi, aby się przez dobrą Spowiedź, przygotować godnie do obchodzenia uroczystości Wszystkich Świętych.

— Możebyś, mój stary, wziął ze sobą

także moje grzechy i za mnie się wyspowiadał — zawołał z góry murarz.

— Zamiast wyśmiewać się ze mnie, odpowiedział kaleka, zrobiłbyś lepiej, gdybyś więcej uważał na twoją drabinę.

W kwadrans później, spadł stary, niepoprawny szyderca ze swoją drabiną na bruk. Czaszka jego i barki, były zdruzgotane. — W uroczystość Wszystkich Świętych, umarł ten nieszczęśliwy, otrzymawszy jeszcze od Boga tę łaskę, że się mógł wyspowiadać. Wszyscy jednak mieszkańcy tej wioski uważali tę nagłą śmierć starca, za straszną wprawdzie, ale sprawiedliwą karę jego drwinek, z osób pobożnych i szyderstw z religii; Pan Bóg bowiem jest cierpliwym i miłosiernym, ale nie dozwala bezkarnie szydzić z siebie i sług swoich. „*Nie błądźcie*, mówi Apostoł narodów, *nie da się Bóg z siebie naśmiewać.*“ (Galat. 6, 7). — (Eichsfelder Volksblätter Nr. 14, 1884).

To wszystko głupstwo.

Przed kilku tygodniami, w pewnem wielkiem mieście Saksonii, pochowano młodego jeszcze człowieka z katolickiej rodziny, który od Boga tę wielką otrzymał łaskę, że przed śmiercią, wszystkiemi Sakramentami św. zaopatrzony został.

Po pogrzebie, kilku panów z orszaku po-

grzebowego, udało się do pobliskiej restauracyi; katolicy objawiali swą radość, że zmarły tak pięknie swe życie zakończył — „przecież to, mówili, nader wielkie szczęście, i dobrodziejstwo Boskie nieocenione, być zaopatrzonym świętemi Sakramentami“ itp. Wtem jeden z katolików, który podobnie jak drudzy, nieboszczykowi ostatnią wyświadczył usługę, lecz od niepamiętnych lat wiarę swą lekceważąc, praktyki religijne zupełnie zaniedbał — powstaje z krzesła, a wskazując palcem na swe czoło, rzekł:

— Tu, wy głupi, siedzi mój rozum; a ten mi powiada, że to wszystko (tj. przyjmowanie Sakramentów świętych, uczęszczanie do kościoła itp.), jest czystem głupstwem; a ja przy moim zdrowym rozumie, miałbym być tak nierozsądnym i w to jeszcze wierzyć?

Katolicy obecni okazali niedowiarkowi i szydercy, słuszne swoje oburzenie i napiętnowali, jak należało, bezbożne przechwałki jego, wzgardą. I oto patrz! po upływie ośmiu dni, mniej więcej o tej samej godzinie — w chwili, kiedy się jeszcze chełpił z tych wypowiedzianych szyderstw i z niedowiarstwa swego, apopleksyą rażony został. Jeszcze dotychczas, dodaje opowiadacz tego zdarzenia, leży bez przytomności. Gdzie się podział rozum jego? Czy to przypadek, czy palec Boży? (Eichsfelder Volksblätter, Nr. 12, 1884).

Na kolei żelaznej.

Niedawno temu — tak opowiadał dyrektor Braci szkół chrześcijańskich w Belgii, czcigodny starzec, kapłan i zakonnik — jechałem koleją z innym bratem, z Brukselli do Antwerpii. Pociąg był przepełniony, a naprzeciwko mnie siedziało dwóch panów, elegancko ubranych, na których początkowo nie zwracałem uwagi. Ale suknia zakonna, którą noszę, zdawała się razić ich oczy, bo natychmiast zaczęli obydwaj wygadywać i wyszydzać Kościół katolicki w ogóle, a szczególniejszym sposobem księży i zakonników. Rej wodził ten pan, co naprzeciwko mnie siedział, a wśród oklasków podróżujących powtarzał, że „mnisi to próżniaki, darmojady, pasibrzuchy, ludzkości niepożyteczni, że bałamucą lud i ogłupiają“ i tym podobne prawił grzeczności. Ja nie uważałem na to, patrzałem przez okno i według mego zwyczaju, obracałem prawy wielki palec, około lewego, a może i przeciwnie. Milczenie moje gniewało tego jegomościa, bo nagle zwróciwszy się ku mnie rzekł:

— Ojcze, jesteś genialnym mężem, i stanowisz wyjątek wśród innych nosicieli kuty.

— Jakto? zapytałem i po raz pierwszy spojrzałem bystro w oczy szydercy; następnie wzdrygnąłem się mimowolnie, poznawszy tego człowieka.

— Oto przez chwilę przypatrywałem się tobie Ojcze, i spostrzegłem z wielkiem mojem zadziwieniem, że doskonale umiesz obracać prawy wielki palec, około lewego. Czy to nie jest genialność?

Wszyscy parsknęli ze śmiechu.

— Zapewne, umiem to, odparłem — ale umiem i trochę więcej.

— Tak? a cóż to takiego? Jesteś zaiste cudem uczoności.

— Umiem także lewy palec wielki, obracać około prawego.

— Ej, ej! wstyd mnie ogarnął — cofam więc swoje twierdzenie, że tylko głupie mnichy istnieją.

— W dawniejszych latach, mówiłem spokojnie dalej, umiałem więcej jeszcze — ale dzisiaj tego już nie potrafię.

— A cóż to było? zapytał wśród śmiechu mój przeciwnik.

— Przed trzydziestu laty, rzekłem, powstawszy i utkwiwszy wzrok swój bystro w tym człowieku — w tej okolicyi, przez którą teraz właśnie przejeżdżamy, popełniono nikczemną, podłą zbrodnię przeciw obyczajności. Zbrodniarz, wtenczas młokos jeszcze, schwytanym został, skazany na 10 lat w domu poprawy, i pod pręgierzem stawiony w Antwerpii. Natenczas ja byłem gubernatorem Antwerpii, i piastując ten urząd, podpisałem dekret, naznaczający tę haniebną

karę na zbrodniarza — a tym zbrodniarzem byłeś pan!

Nastąpiło milczenie grobowe; nikt się więcej nie śmiał, a elegancko-ubrany jegomość zbladł jak trup; na najbliższej stacyi znikł cichaczem z tego wagonu.

Tacy to nieraz ludzie, publiczni zbrodniarze, albo przynajmniej moralnie zepsuci, z przeszłością wcale nie chwalebną, pozwalają sobie wycieczek przeciw wierze, Kościołowi, księżom i zakonnikom, co nieraz najwyższych zrzekli się godności, najpiękniejsze porzucili nadzieje, aby wśród murów klasztornych, wieść życie anielskie, wspierać modlitwą, dobrym przykładem, nauką i poświęcaniem się bliźnich swoich, i pomagać im do szczęścia doczesnego i wiecznego. (Erbauungsstunden Nr. 3, 1890).

Pisząca ręka.

W znanem dziełku pod tytułem: „Pisząca ręka“, opowiada X. Alban Stolz, następujące zdarzenie, w którem każdy widzieć może rękę Boską, piszącą straszne wyroki na szyderców wiary i sługi Kościoła.

Pewien niedowiarek, który szczególniejszym sposobem obrał sobie za cel swych dowcipków i żartów księży, nazwiskiem K. z O. w Bawaryi, często różne w tym względzie odbierał już przestrogi od ludzi zacnych,

którzy mu jasno udowadniali kłamstwo i potwarz. K. miał zawsze na to tę odpowiedź: „Jeśli to nie prawda, niech mnie przy pogodnem niebie piorun zabije!“

Raz poszedł w pole wiązać snopki. Była prześliczna pogoda, mały tylko obłoczek ukazał się na niebie. Nagle wypada ztamtąd piorun: pierwszy i ostatni — i tego człowieka kładzie trupem. I znów jasna, prześliczna pogoda.

Zdarzenie to nie potrzebuje komentarza.

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
X. Michał Andrzejczak T. J.

L. 1013.

POZWALAMY DRUKOWAĆ. W zastępstwie:
(L. S.) *X. Gawroński.*
Kraków 13 Marca 1890.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

O czci Świętych.

Czcząc Świętych, nie popełniamy bałwochwalstwa, bo nie czcimy Świętych jakoby jakich bogów, ale jako sługi i przyjacioły Boże, których prosimy, aby się za nami do Boga modlili.

Dzielna odpowiedź.

W czwartym wieku żył pewien heretyk, imieniem Wigilancyusz, który z niesłychaną wściekłością srożył się przeciw czci Świętych, mówiąc, że takowa cześć czyni ujmę czci Bożej. Święty Hieronim, jeden z Ojców Kościoła, wystąpił przeciw niemu i dał mu następującą dzielną odpowiedź:

„O nierozumna głowo! Któż kiedy cześć Boską oddawał męczennikom? Któż kiedy człowieka za Boga uważał? My chwalimy *Boga* w Jego Świętych, a *Świętych* chwalimy w Bogu, tak jak Boga w bliźnim, a bliźniego w Bogu miłujemy. Jako tedy nie czynimy ujmy Bogu winnej miłości, jeśli bliźnich jako dzieci Boże dla Boga miłujemy,

tak też nietylko nie czynimy ujmy czci Bogu należnej, jeśli Świętych jako przyjacioły Boże dla Boga czcimy, ale i owszem, cześć tę przez cześć Świętych potęgujemy — podobnie jak prawdziwa miłość Boża w sercach naszych wzmaga się w miarę, jak bliźniego miłujemy. Komuż się kiedy śniło powiedzieć, że szacunek winny królowi umniejsza się, jeśli prócz niego i jego matkę, i dzieci i przyjacioły i wierne sługi szanujemy?.. Czyż owszem, cześć jego się nie wzmaga, jeśli ich szanujemy tylko dla króla? — a przeciwnie, jeśli ich znieważamy, czyż ta zniewaga nie spada ostatecznie na króla? Dlatego Chrystus mówi: *„Kto was słucha, mnie słucha, a kto wami gardzi, mną gardzi“*; a *„cokolwiekeście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili“* (Mat. 25. 40).

Bóg karze zniewagę Świętych.

Było to w niedzielę, w samą Uroczystość Narodzenia Najśw. Panny Maryi. Pewien protestancki pastor w R., głosząc w zborze niby to czystą Ewangielię, począł w najobelżywszy sposób wyrażać się o Matce Bożej. Jako dowód słuszności swych twierdzeń, dodał w końcu: „Jeśli tak nie jest, jakem wam powiedział, bodajem jeszcze dzisiaj żywcem się spalił. Amen.“

Na tem zakończywszy swoje tak zwane kazanie, poszedł na obiad, a po obiedzie położył się spać. Naraz słyszy okropny krzyk:

— Panie pastorze! prędko, prędko — bo się pali!

— Gdzie? zapytał przerażony; i nie potrzebował odpowiedzi, bo gęste kłęby dymu cisnęły się do otwartego pokoju. Na prędce zabrał to co miał kosztowniejszego i wybiegł z domu. Cała wioska już była w ruchu — chciano ogień ugasić, ale napróżno; szalony żywioł srożył się coraz bardziej i pożerał wszystko. Smutnie pastor spoglądał na swój dom stojący w płomieniach i na garstkę ocalonych rzeczy. Wtem przypomniał sobie jeszcze o szkatułce, w której zwykł był srebro chować — i nie wiele się namyślając, wpadł do palącego się domu, chwycił za szkatułkę i chciał wybiedz. Lecz nagle spadła gorejąca belka na nieszczęsnego pastora. Upadł i więcej się nie pokazał. Ogień, którego dla dla siebie przed południem wzywał, spalił go żywcem. Zdarzenie prawdziwe. (Friburg. Kirchenblatt Nr. 43, 1872).

Cześć Maryi.

Pewien Anglik, nazwiskiem Tuckwell, urodzony z rodziców protestanckich, będąc jeszcze sześcioletniem dzieckiem, słyszał, jak ktoś mówił: *„Zdrowaś Maryo.“* Ciekawością

zdjęty, przysłuchiwał się tej modlitwie, powtarzał ją w duchu i spamiętawszy ją, pobiegł do matki i powtórzył od początku do końca.

Matka oburzona, zganiła go ostro i zakazała najsurowiej, aby tego „zabobonu papistów“ nie ważył się powtarzać.

Chłopiec usłuchał. Pewnego dnia, mając wraz z rodzicami udać się do zboru protestanckiego, wskoczył pierwszy do powozu i spostrzegł tam biblię. Otworzył ją i ujrzał w niej miejsce w Ewangielii św. Łukasza w rozdziale pierwszym, jako Archanioł Gabryel przemawia do Maryi w te słowa: *„Zdrowaś, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami“.* Uradowany chłopczyk, pokazuje matce to miejsce i pyta ją: „Dlaczego mama nazywa to zabobonem papistów, co wyraźnie stoi w Piśmie świętem? Jeśli Archanioł tak pozdrawiał Maryę, dlaczegoż my nie moglibyśmy tak samo czynić? A jednak mama się zawsze na Pismo święte powołuje.“

Matka niewiedząc co odpowiedzieć, zamilkła. Chłopczyk więc choć w skrytości, powtarzał sobie: *„Zdrowaś Marya“.*

Mając lat 13, ujrzał znowu w biblii, u Łukasza świętego w rozdziale pierwszym, pieśń N. Panny: *„Magnificat“,* to jest: *„Wielbi dusza moja Pana.“* Czytał ją z uwagą i dziwił się najbardziej słowom Najśw. Panny:

„Albowiem oto odtąd błogosławioną mnie zwać będą wszystkie narody.“

Gdy więc razu jednego w salonie jego matki kilku protestantów wyśmiewało się ze czci, jaką katolicy oddają Maryi, zawołał chłopczyk:

— Jakże wy się samym sobie sprzeciwiacie! Mówicie, że biblia jest jedyną podstawą i regułą naszej religii; dlaczegoż nie słuchacie tej samej biblii, kiedy wam mówi, tak jak wszystkim narodom, abyście Maryę czcili i błogosławioną zwali?

Na te słowa matka jak oparzona skoczyła z miejsca i zawołała w najwyższem rozdrażnieniu:

— Ten chłopiec jeszcze nam wstydu narobi, bo gotów zostać katolikiem!

I w rzeczy samej, skoro Tuckwell został pełnoletnim, z własnego przekonania wrócił na łono kościoła katolickiego.

Namawiał też siostrę swoją, aby poszła za jego przykładem; lecz ta wskazując mu swe dzieci, rzekła:

— Widzisz moje dzieci? Ty wiesz, jak je kocham; ale wolałabym je poprzebijać sztyletem, jak dozwolić, aby do tej przebrzydłej sekty wstąpiły.

Razu jednego ujrzał Tuckwell swą siostrę łzami zalaną i pogrążoną w okropnym smutku, gdyż oboje dzieci były bliskiemi śmierci.

— Zmów ze mną *„Zdrowaś Maryo“*, rzekł

brat do siostry, a mam pewną nadzieję, że Marya uzdrowi twe dzieci.

Boleścią zwyciężona, rzuciła się matka na kolana i modliła się z bratem: *„Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz...* a oboje dzieci powstały zdrowe.

Tuckwell porzucił natychmiast posadę inspektora cłowego, udał się do biskupa Delannoy i prosił o przyjęcie do seminaryum. Obecnie jest kapłanem i gorliwym czcicielem Najśw. Panny.

Marya i dziki.

Pewien kapłan Towarzystwa Jezusowego, który jako misyonarz bawił w Kwito, mieście stołecznem Ekwadoru w południowej Ameryce, miał właśnie wyjechać, by odwidzić kilka szczepów nowo nawróconych dzikich. Przyprowadzono mu nędznego konia, który ledwie nogi wlókł za sobą, ale nie było innego. Kapłan nie będąc świetnym jeźdźcem rzekł:

— Dla mnie taki najlepszy.

Tak wyjechał na czele swych towarzyszy. Po trzech dniach lichej jazdy, zaczął nagle koń pędzić galopem, tak, że towarzyszy daleko za sobą zostawił, a kapłan zaledwo się mógł w równowadze utrzymać. Uchwycił się grzywy konia, polecił się opiece Boga i Najśw. Panny, ale nie był w stanie ani ko-

nia powstrzymać w biegu, ani mu pewnego nadać kierunku.

Tak pędził przez strumienie i przepaście w szalonym pędzie, jakby spłoszony. Nieraz wznosił misyonarz oczy i serce ku Bogu, mówiąc:

— Panie, otoś mnie z wielkiego ocalił niebezpieczeństwa; mam nadzieję, że mnie i nadal Twoją opieką otaczać będziesz.

A koń jak pędzi, tak pędzi. Misyonarz nie może pojąć, co to ma znaczyć. Naraz znajduje się w gęstym, ciemnym lesie. Kapłana ogarnął jakiś strach niepojęty. Wreszcie stanął koń, jakby chciał wytchnąć, gdyż kilka godzin bez zatrzymania się pędził. I kapłan zsiadł z konia, by nieco odetchnąć i wypocząć. Wtem słyszy w pobliskich krzakach westchnienia — słucha i już nie wątpi, że to głos ludzki doszedł uszu jego. Idzie w ciemności za głosem słyszanym; wchodzi w zrąb i widzi światło — a następnie spostrzega chatkę. Czemprędzej wchodzi i ujrzy człowieka leżącego na słomie. Był blady, wychudły, o siwych jak gołąb włosach.

Starzec ujrzawszy kapłana, natychmiast zawołał:

— Ach, Ojcze N.! Otóż jesteś. Ja już tak dawno czekam na ciebie.

Kapłan N. usłyszawszy swe imię, zdziwił się i spytał:

— A zkądże ty mnie znasz, mój przyjacielu?

— O, ja cię znam bardzo dobrze, mój Ojcze — rzekł starzec.

— A gdzieżeś mnie widział?

— Bądź spokojny, Ojcze, mówił starzec; opowiem ci w krótkości, bo nie mamy dużo czasu do stracenia — muszę bowiem wkrótce umrzeć. Zachowałem przez całe me życie prawo przyrodzone, a jednak zawsze myślałem, że musi być jeszcze inna religia jak nasza, i wyższe przykazania jak te, które my zachowujemy — i wyższy, większy Duch jak ten, co my go uwielbiamy.... i oddawałem cześć Boską temu nieznanemu, wyższemu Duchowi; ale nie znałem drogi, którąbym mógł dojść do poznania prawdy. Wiedziałem tylko, że musi być droga, co prowadzi do zguby i kary; a druga, co prowadzi do szczęścia i zapłaty! Coraz gorliwiej i goręcej błagałem Wielkiego Ducha, aby mi dał poznać prawdę i uniknąć złej drogi. W końcu, ostatniej nocy, ujrzałem moją chatkę całą w świetle i wysoka pani w bieli, objawiła mi się. Suknia jej nie miała żadnego podobieństwa z sukniami naszych kobiet; ale mój Ojcze, gdybyś był widział tę panią! była piękna, o bardzo piękna! Rzekła do mnie:

— Jutro ujrzysz Ojca N.; on cię pouczy i ochrzci, potem pójdziesz do nieba. Ty je-

szcze nie wiesz, co to jest niebo; ale ono jest piękne — a ty będziesz bardzo szczęśliwy!..

Po tych słowach znikła, i zostawiła w mem sercu najsilniejsze pragnienie widzenia ciebie. Teraz wiesz, zkąd cię znam.

Z radości i podziwu, nie mógł się Ojciec N. od łez powstrzymać. Pouczył go o najważniejszych prawdach wiary św. katolickiej i ochrzcił staruszka, który wśród aktów najżywszej wiary, ufności i miłości Bożej, wymawiając za kapłanem słodkie imiona: Jezus, Marya, skonał.

Czyż Marya nie zasługuje na naszą najgorętszą cześć za swą macierzyńską miłość i opiekę, jaką otacza nawet tych, co Jej nie znają i do Niej się nie modlą?

Protestantka nawrócona.

„Oto, pisał z Rzymu w maju 1850 r. pewien oficer, cud, który się w tych dniach zdarzył tutaj, a który przypomina nawrócenie Ratisbonna.

Jeden z moich kolegów M. G., przechadzał się w pobliżu Watykanu wraz z żoną i dwojgiem dzieci, z których jedno miało lat 12, a drugie 10. Było to na kilka dni przed powrotem Ojca św. Pani G. jest protestantką; tylko trzeba przyznać, że przynajmniej dotychczas, wiernie wypełnia obowiązki swego

wyznania. Jakoż istotnie rzekła do swego męża:

— Nie wiem, cobym mogła już więcej czynić, nawet gdybym była katoliczką.

Czy z ciekawości, czy z przeczucia, któremu oprzeć się nie mogła, pani G. wyraziła mężowi życzenie swoje, widzenia pokojów papieskich. Ten chciał jej życzeniu zadość uczynić, i otrzymawszy pozwolenie, wprowadził swą małżonkę do pokojów papieskich. Przyszedłszy do kaplicy prywatnej Papieża, spostrzegła pani G. klęcznik, a domyślając się nie bez słuszności, że tu Pius IX. codzień błaga o błogosławieństwo Boskie dla całego świata, uklękła w przekonaniu, że i ona wyprosi dla siebie i drogich sercu osób, błogosławieństwo. Przez kilka minut modliła się gorąco — i przez pobożne nawyknienie, całkiem sprzeczne z zasadami protestantów, polecała swe dziatki Najśw. Pannie. Podniosłszy załzawione oczy, ujrzała nad ołtarzem cudownej piękności niewiastę, wśród przedziwnej jasności, która trzymała jej dziatki za ręce, a przed ołtarzem Papieża, obróconego ku niej. Uderzona i wzruszona takiem widzeniem, przelękła się i spojrzała na dzieci, chcąc się przekonać, czy rzeczywiście są przy niej. Pan G. widząc przerażenie niezwykłe na twarzy swej małżonki, spytał o przyczynę — lecz ona, nie chcąc wyjawić widzenia, wymówiła się chorobą.

Kilka dni potem, 12 Kwietnia, gdy Ojciec święty powrócił, udała się pani G. z wielu innemi paniami, do bazyliki św. Jana Lateraneńskiego. Zaledwie ujrzała Papieża, poznała natychmiast wszystkie rysy Piusa IX., tak jak je widziała w kaplicy. Już ta okoliczność bardzo ją wzruszyła; lecz skoro spostrzegła ponad Papieżem taką samą niewiastę, wśród przedziwnej jasności unoszącą się, jak to widziała w Watykanie — nie mogła zapanować nad swem wzruszeniem, i sądzono, że zachoruje. Gdy przyszła do siebie, zataiła przyczynę swego wzruszenia i jeszcze sekret zachowała.

W dniu na przyjęcie niewiast naznaczonym, pani G. przybyła z swemi dziatkami w oznaczonym czasie. Wszystkie były ustawione we dwa rzędy, a Ojciec święty szedł środkiem, błogosławiąc na prawo i lewo. Przyszedłszy do pani G., zatrzymał się, tuląc do siebie i pieszcząc jej synów. Zapytał o ich imiona, i każdemu dał koronkę; a chcąc im okazać szczególniejszą miłość, położył na ich główkach swe ręce. Szczęśliwa matka nie posiadała się z radości. Lecz jakiegoż błogiego uczucia musiała doznać, kiedy po raz trzeci ujrzała nad Piusem IX. unoszącą się postać przecudną tej, którą katolicy zowią Matką Bożą?

Już po pierwszem i drugiem widzeniu czuła pani G. wielką chęć porzucenia pro-

testantyzmu — ale się opierała; lecz po trzeciem, już się nie mogła oprzeć. Spędziwszy następną noc bezsennie, wśród łez nieustających, oświadczyła mężowi, że pragnie zostać katoliczką. Ucieszył się tem małżonek, a 17 Maja wyrzekła się pani G. w kaplicy Trójcy św. błędów protestantyzmu; zaś 23 Maja przystąpiła wraz z mężem i synami, do Komunii św.

Kardynał-Wikary sam dawał im Komunię świętą, poczem udzielił nowo nawróconej Sakramentu Bierzmowania.

Gdy Kardynał wraz z asystą miał się oddalić, zdjął pan G. z swych piersi order, mówiąc: „Łaski, jakie dziś otrzymałem ja i moja rodzina, tak są wielkie, że nie wiem, jak się mam za nie wywdzięczyć. Mój order jest to, co mam najdroższego: dlatego składam go na ołtarzu Najśw. Panny, jako dowód mej wdzięczności.“

Wieczorem tego samego dnia rzekł tenże sam pan G. do kilku z nas:

— Czy wiecie, żem ja się dziś rano komunikował i że nigdy nie byłem tak dumny i szczęśliwy? Tak jest — to jedynie daje prawdziwe szczęście. (Rome 1848—50).

Zdrowaś Marya.

Pewien młody rozpustnik, który się wylał na wszelkie występki i zgorszenia, zapadł

w ciężką chorobę, która go postawiła nad grobem. Pomimo życia rozpustnego, miał ten młodzieniec zwyczaj codzień odmawiać *„Zdrowaś Marya“* na cześć Najśw. Panny, i pomimo największych zboczeń, nie opuszczał nigdy tej modlitwy, choć sam nie wiedział, dlaczego ją mówi. Było to raczej ze zwyczaju, jak z pobożności, lub w nadziei wysłuchania.

Skoro się proboszcz dowiedział, że choroba jest niebezpieczną, przyszedł do niego i zachęcał go do spowiedzi; lecz on odpowiedział:

— Jeśli umrę z tej choroby, to chcę umrzeć tak, jak żyłem.

Taką samą odpowiedzią zbywał wszystkich, którzy mu mówili o spowiedzi, i ani proboszcz, ani wikary, ani wielu innych kapłanów i zakonników, ani nikt z rodziny nie mógł z niego innej odpowiedzi wydobyć. Wszyscy byli przygnębieni niewymownie, i nikt się już nie ważył mówić mu o nawróceniu, aby mu nie dawać okazyi do podobnego bluźnierstwa.

Jeden z jego towarzyszy, lecz uczciwszy jak on, który mu nieraz czynił wyrzuty za jego postępki, odwiedził go pewnego poranku; mówił to o tem, to o owem, a wreszcie rzekł:

— Przecież powinienbyś pomyśleć o nawróceniu.

— Mój przyjacielu, odparł chory na to, jestem za wielkim grzesznikiem.

— A więc! rzekł tamten, kiedy jesteś tak wielkim grzesznikiem, udaj się do tej, która jest ucieczką i matką grzeszników.

— Ach, rzekł chory, ja wprawdzie codzień mówię na Jej cześć: *„Zdrowaś Maryja,“* ale czy sądzisz, że mi to może co pomódz?

— Jak to, czy ci to może co pomódz? I owszem, bardzo ci pomoże! Czyżeś jej nie prosił w tej modlitwie, aby się za ciebie modliła w godzinę śmierci?

— To prawda, rzekł chory; ponieważ tak jest, idź, poproś księdza proboszcza, aby mnie przyszedł wyspowiadać.

Mówiąc to, zalał się rzewnemi łzami.

— Czemu płaczesz? zapytał go przyjaciel.

— Ach, odpowiedział chory; czyż mogę dosyć płakać, skorom wiódł życie tak rozpustne i obrażał Boga tak dobrego, który gotów jest zawsze nam przebaczać? Jabym powinien płakać krwawemi łzami — ale krew moja jest zanadto nieczystą, abym ją Bogu mógł ofiarować. Lecz Zbawiciel mój swoją Krew Mu ofiarował za mnie; w Nim całą moją pokładam nadzieję!

Przyjaciel jego słysząc tę mowę i widząc łzy wciąż z oczu chorego płynące, nie mógł i swoich powstrzymać. Obaj rzewnie płakali. Tymczasem proboszcz, chcąc się dowiedzieć o stanie chorego i jeszcze raz popróbować

szczęścia, wszedł w tej chwili i bardzo się zadziwił, widząc obu młodzieńców rzewnie płaczących. Zapytał więc o przyczynę. A chory rzekł:

— To ja płaczę za moje grzechy. Biada mi! Zapóźno zaczynam opłakiwać me grzechy; ale zasługi Zbawiciela mego są nieskończone, a miłosierdzie Jego jest bez granic — w Nim całą moją nadzieję pokładam.

— I któż w tobie tak nagłą sprawił odmianę? zapytał proboszcz.

— Najśw. Panna, odrzekł chory. Ta to moja dobra Matka otworzyła mi oczy, poruszyła serce i nie chce, abym marnie zginął!..

— Więc zapewne chcesz się spowiadać? zapytał proboszcz.

— Tak, księże proboszczu; każ tu przyjść wszystkim, aby moja spowiedź była publiczną, tak jak me zgorszenia były publiczne.

— Tego nie potrzeba — rzekł proboszcz; zgorszenia dane przez ciebie, dostatecznie będą naprawione, kiedy się ludzie dowiedzą, żeś się dobrze wyspowiadał.

— Tymczasem przyjaciel chorego wyszedł i opowiedział całe zajście jego rodzinie — a chory czynił spowiedź, przerywaną łzami i łkaniem.

Następnie przyniósł proboszcz Najświętszy Wiatyk, a wielka liczba ludzi wszelkiego stanu, dowiedziawszy się o tak znacznem

nawróceniu, towarzyszyła mu aż do domu chorego. Proboszcz skorzystawszy z tej sposobności, przemówił do obecnych w tak rzewny sposób o dobroci i potędze N. Panny, że wszystkich do łez pobudził. A gdy chory ze swej strony począł mówić, wyrażając uczucia miłości, wdzięczności i ufności, któremi serce jego było przepełnione, gdy począł prosić o przebaczenie za swe zgorszeniy i błagał o modlitwy, całe zgromadzenie wybuchło głośnym płaczem — i wielu z obecnych szczerze się nawróciło.

Wieczór, gdy chory uczuł, że choroba się wzmaga, prosił o udzielenie mu ostatniego namaszczenia, które przyjął z niemniejszą pobożnością, jak Najśw. Sakrament Ołtarza. O północy począł konać — a w godzinę potem umarł.

Udział ludności w obrzędzie pogrzebowym tak był wielki, że kościół parafialny nie mógł pomieścić przybyłych. Pogrzeb jego nie był obchodem żałobnym — ale raczej tryumfem Najśw. Panny, której potęgę i miłosierdzie każdy wysławiał. (O. Bonawentura).

Cześć obrazów.

Potęga obrazu.

Pewien szlachetny młodzieniec, który już od wielu lat ani o spowiedzi, ani o pokucie nie myślał, poszedł jednak raz niewiem dlaczego, za głosem sumienia i wstąpił do kościoła. Gdy się po ławkach i ścianach rozglądał, obaczył między innemi jakiś nowy, nieznany sobie obraz; zbliżył się więc, aby się mu dokładniej przypatrzyć. Dawid, pobożny pokutnik w klęczącej postawie, łzami pokuty się zalewał, a Anioł Boży stał przy nim i w złotą czarę, którą trzymał w ręku zbierał kosztowne łzy, co po licach Dawida spływały, by je przed tron Boży zanieść. Pod obrazem zaś stały słowa św. Augustyna: *„Dawid tylko raz zgrzeszył, a zawsze płakał: ty zawsze grzeszysz, a nigdy nie płaczesz“*. Przypatrywał się obrazowi — widział jasne łzy spływające, jako je Anioł miłe się uśmiechając, zbierał w złotą czarę; czytał one porywające słowa, co pod obrazem były

napisane, i nagle święty dreszcz przeszedł jego ciało — nie mógł się dłużej utrzymać na nogach, padł na kolana, wglądnął w swe zepsute serce i rzekł sam do siebie:

— Oto, tyle potrzeba tylko do prawdziwej pokuty! a ty tak jesteś suchy, i ani iskierki żalu nie czujesz. Dawid był tak wielkim królem, a nie wstydził się swych łez pokutnych; a ty tak nędznem jesteś stworzeniem — a łezki jednej nie uronisz!"

I niedługo trzeba było czekać, a już łza jak perła, zabłysła w oku tego niegdyś oziębłego i zimnego grzesznika. Czyż nie wejrzenie na obraz sprawiło tak szczęśliwą odmianę w sercu tego młodzieńca? Któż może zaprzeczyć potędze i korzyści obrazów? — (Mehler, Beispiele).

Opat Stefan.

Pobożny ten opat jasno jak na dłoni dowiódł cesarzowi Konstantynowi Kopronimowi, obrazoburcy, jak rozumną jest cześć obrazów.

Cesarz ten zwołał nieprawe zborzyszcze biskupów sobie przychylnych, aby na niem cześć obrazów potępić, i starał się postanowienia tego zborzyszcza w najhaniebniejszy i najokrutniejszy sposób przeprowadzić. Ponieważ Stefan wśród mnichów i pustelników wielkiej sławy mądrości i świątobliwości zażywał, starał się cesarz i jego na swą stro-

nę przyciągnąć. Posłał tedy doń męża zaufanego, by go skłonić do przyjęcia uchwał zborzyszcza, a na znak uszanowania i przyjaźni, kazał mu podać daktyle i figi. Lecz Stefan otwarcie rzekł;

— Ja nie mogę uchwał nieprawego soboru podpisać, gdyż nie chcę na siebie ściągnąć przekleństwa Proroka i słodkiem nazwać tego, co jest gorzkie. Gdybym miał w całem ciele tylko garść krwi, to i tę w obronie czci obrazów przelać pragnę.

Rozgniewany cesarz, napastwiwszy się nad świętym starcem do woli, skazał go na wygnanie. Po dwu latach wygnania, kazał go znowu, okutego w ciężkie kajdany, przed siebie przyprowadzić i zapytał go oburzony:

— Czyż Jezusa nogami depcemy, depcąc Jego obrazy?

Miasto odpowiedzi, wziął Stefan pieniądz i zapytał obecnych:

— Czyj to obraz i napis?

— Cesarski, odrzekł dworzanin.

— Na co zasługuje ten, coby obraz cesarski podeptał nogami? zapytał Stefan.

— Na najsurowszą karę za zniewagę majestatu — zawołali.

Wtedy rzucił Stefan pieniądz na podłogę, i depcąc go nogami, rzekł:

— Jeśli ja dlatego karygodnym jestem, że znieważam obraz ziemskiego cesarza, o ileż bardziej karygodnym jest ten, który gardzi

obrazem Króla niebieskiego, bluźni go i niszczy?

Choć na te słowa wszyscy umilkli, bo nie mieli co odpowiedzieć, jednak cesarz postanowił zgładzić go ze świata. Jakoż mąż święty wkrótce w obronie obrazów poniósł śmierć męczeńską.

Zniewaga krzyża św.

Casamicciola obok Neapolu, jest to miejsce kąpielowe i lecznicze. W naszych czasach są podobne miejsca zwyczajnie miejscami zepsucia i rozpusty. Za rozpustą idzie krok w krok bezbożność. W czasie ostatnich zapust bawiła się Casamicciola wybornie. Walano się w błocie najwyuzdańszych zbrodni. Lecz i to nie było jeszcze dosyć dla pewnej części mieszkańców. Chcieli rzeczy najczystsze i najświętsze znieważyć. Niektóre spodlone kobiety poprzebierały się za księży i zakonników i poniewierały w ten sposób publicznie suknie, które dla szyderstwa przywdziewały. Nie dość na tem. Poszły w procesyi do proboszcza i żądały od niego, aby im pożyczył krzyża kościelnego, „by i on miał zapusty.“ Proboszcz do głębi zasmucony i oburzony, rozkazuje im precz się oddalić. One tedy idą, i sporządziwszy na prędce krzyż, powiesiły na nim haniebną maskę — i tak wśród śmiechów i bezwstydnych śpie-

wów obchodziły miasto, a żadna władza tej zniewagi Krzyża świętego nie zakazała. We trzy dni potem, w piątek, w dzień bolesnej męki Pańskiej, pomścił Bóg zniewagę krzyżowi, a przez to, Jemu samemu wyrządzoną. Ręka Jego wszechmocna skinęła — a Casamicciola stała się jedną kupą gruzów. Straszne trzęsienie ziemi, żywcem bezbożnych pochłonęło.

Już dwa dni minęło po tej katastrofie. Wiele trupów wydobyto. Robotnicy spostrzegli wielki kosz, który się poruszać zaczął. Podnoszą kosz do góry — a oto pod nim leży starzec 60-letni, jeszcze żyjący. Przy pierwszem wstrząśnieniu, chwycił tenże za swój krzyżyk, przycisnął go do ust i do serca, i w tym stanie gruzami domu swego został pogrzebany. Dwie doby przetrwał w tak straszliwem położeniu. Skoro jednak przez robotników ocalony został, wyszedł zupełnie nieuszkodzony z swego grobu, trzymając w ręce krucyfiks.

Czy to przypadek, czy Boskie zrządzenie? Rzym 25 Marca 1881. (Freib. Kirchenblatt, Nr. 29. 1881).

Cześć relikwii.

Czcimy relikwie Świętych, bo ich ciała były żywemi członkami Jezusa Chrystusa i świątyniami Ducha świętego, a w dzień zmartwychwstania zostaną uwielbione. Bóg sam przez relikwie Świętych działał nieraz cuda.

Relikwie ŚŚ. Gerwazego i Protazego.

Wierni w Medyolanie prosili św. Ambrożego, aby nowo wystawiony kościół poświęcił. Obiecał św. Ambroży prośbie ich zadość uczynić, jeśli znajdzie relikwie Świętych. Następującej nocy objawił mu Pan Bóg we śnie, że ciała braci męczenników: Gerwazego i Protazego, spoczywają w kościele ŚŚ. Męczenników: Feliksa i Nabora. Kazał tedy św. Biskup w oznaczonem miejscu ziemię odkopać. Po niejakim czasie znaleziono ciała dwu mężów nadzwyczajnej wielkości, których głowy (byli bowiem ścięci) leżały osobno. Ponieważ było już późno, wyjęto ciała święte, przykryto kobiercami i przeniesiono do kościoła św. Fausta, gdzie lud wierny

całą noc przed zwłokami ŚŚ. Męczenników się modlił .Następnego dnia przeniesiono je do nowozbudowanego kościoła, który Ambrozyańskim nazwano.

W tymże czasie żył w Medyolanie pewien człowiek ciemny, imieniem Sewer, którego wszyscy znali. Skoro tenże usłyszał okrzyki radości ludu i dowiedział się, co to ma znaczyć, błagał usilnie, aby go zaprowadzono do zwłok ŚŚ. Męczenników. Skoro tamże przybył, położył swą chustkę na marach, gdzie złożone były ciała ŚŚ. Męczenników, następnie obtarł nią oczy i natychmiast przejrzał.

Powracając już bez przewodnika do domu, opowiadał wszystkim o cudzie spełnionym i ślubował poświęcić się na służbę kościoła, do którego święte zwłoki przywiezione zostały.

Cud ten stał się wobec mnóstwa ludu. Święty Ambroży pisze o nim do swej siostry Marceliny, zamieszkałej w Rzymie i nieraz w swych kazaniach o nim wspomina. (Herbst. Exemplarz).

IIgie Przykazanie.

„Nie będziesz brał Imienia Pana Boga twego nadaremno.“

Straszliwa kara za krzywoprzysięztwo.

Na wyspie Korsyce, w pewnej wsi niedaleko miasta Bonifazio, żyła cnotliwa wdowa, której mąż przed śmiercią zostawił 300 koron (rodzaj pieniędzy), jako posag dla jedynej i małoletniej córki. Poczciwa kobieta złożyła owe pieniądze u swego sąsiada, imieniem Mucyusza; a ponieważ go uważała za bogobojnego i prawego człowieka, więc nie żądała od niego żadnego rewersu. Tymczasem córka dorosła i miała wyjść za mąż. Matka tedy idzie do owego sąsiada i żąda zwrotu złożonych pieniędzy. Ale Mucyusz nie chce nic oddać, twierdząc uporczywie, że żadnych pieniędzy nie otrzymał. Jakaż trwoga i zdziwienie ogarnęły biedną wdowę! Nie było innego świadka, prócz żony sąsiada. Cóż ma robić? Oto idzie do sędziego i

całą rzecz mu opowiada. Sędzia wzywa Mucyusza wraz z żoną i domaga się od nich przysięgi. Ci, nie myśląc wiele, składają fałszywą przysięgę, że żadnych pieniędzy nie przyjmowali.

Lecz cóż się dzieje? Mieli ci niegodziwi małżonkowie trzech synów: jednego małego w kolebce, drugiego 5cio-letniego, a trzeciego 25-letniego. Skoro matka powróciła do domu, ujrzała kolebkę przewróconą, a dziecię pod nią bez życia. Myśląc, że to uczynił ów syn pięcioletni, wpada w złość szaloną, porywa nóż i przebija syna pięcioletniego. Gdy się to dzieje, przychodzi mąż i przydybuje żonę na tym strasznym uczynku. Rozjuszony, porywa sztylet i zadaje jej kilkanaście ran, z których żona natychmiast umiera.

Spełniwszy tak wielką zbrodnię, zaczyna wołać na całe gardło. Zbiegają się sąsiedzi — on przyznaje się do zbrodni i oddawszy się w ręce sprawiedliwości, ma umrzeć na szubienicy. Ale nie ma kata do spełnienia wyroku. I cóż na to powiecie? Starszy syn, rozgniewany na ojca, że matkę zabił, chce być katem własnego ojca. Propozycyę tę przyjęto. Ku zdumieniu całego ludu, ku zgrozie samej natury — staje na miejscu stracenia wyrodny syn, jako dobrowolny kat ojca... zakłada mu stryczek na szyję, strąca go z drabiny i zadaje mu ostatni cios śmier-

telny! Lecz nie dość na tem. Wkrótce potem zastanawia się ów niegodziwy syn nad swym czynem okrutnym, i pełen wstydu i rozpaczy, staje się samobójcą. (Mehler. Beispiele).

Jak kończy krzywoprzysięzca.

— Gdy budowano kolej, tak mi opowiadał mój proboszcz, przyszli różni ludzie w nasze strony, dobrzy i źli; większa część była złych. Pomiędzy robotnikami byli ludzie niebezpieczni. Jako proboszcz, mogłem tylko moich parafian od złych wpływów zachować; wszelkie starania, by tych zdziczałych ludzi na dobrą drogę naprowadzić, odtrącali przekleństwami i szyderstwem. Razu pewnego rozeszła się pogłoska po wsi, że przy rozsadzaniu skały stało się nieszczęście; odłamki ze skały wyrwały jednemu robotnikowi całą niższą część twarzy — powiadano, że umarł. Ale ta ostatnia pogłoska nie sprawdziła się. Skaleczenie nie było śmiertelne; spodziewano się go wyratować. Po ośmiu dniach zawezwano mnie do skaleczonego. Jakiż okropny widok przedstawił się moim oczom! — W nędznej komorze leżał na słomie, kilku łachmanami odziany, człowiek ów nieszczęśliwy. Już wiele nędzy widziałem, ale takiej jeszcze nigdy.

Chory patrzał oczyma w słup obróconemi na powałę; usiadłem obok jego łoża i mo-

dliłem się. W pół godziny, gdym chciał odchodzić, spojrzał na mnie i gestami prosił, abym usiadł. Ucieszyłem się, ale radość moja zmięszała się ze smutkiem, gdym się dowiedział, że mu brakuje ufności w miłosierdzie Boże. Po ośmiu dniach chciał chory ze mną się widzieć i oświadczył mi, że się chce spowiadać; ale przed spowiedzią opowiedział mi, kim jest i jaka była przyczyna jego cierpienia.

Nazywałem się tutaj Antoni M., ale właściwie nazywam się B. B. Zataiłem moje właściwe nazwisko, bom chciał ukryć swą hańbę — ja krzywo przysiągłem!

Z tych słów poznałem, co mu dolega. Dodałem mu otuchy, że Bóg mu przebaczy, a on tak dalej mówił:

— Jam jest tym gospodarzem, który w ósmym domu na drodze z L. do N. mieszkałem. Tam wytoczyłem niesłuszny proces memu sąsiadowi o rzecz, która i 10 talarów nie była warta. Upór, zazdrość i łakomstwo tak mnie zaślepiły, żem postanowił krzywo przysiądz, choć wiedziałem, że obciążę swe sumienie; przewidywałem mą nędzę, a jednak w nią się rzuciłem.

W nocy przed terminem, zesłał mi Pan Bóg dziwny sen. Widziałem siebie i sąsiada, jakeśmy szli do sądu; po drodze przyłączył się do nas mąż z wejrzeniem poważnem i

przedstawiał mi surowość kar doczesnych i wiecznych.

Zbudziłem się. Nie, nie będę przysięgał— pomyślałem. Lecz jakby niewidzialną, złą siłą porwany, poszedłem ku domowi sąsiada — ujrzałem, jak jest piękny — i zazdrość nie dała mi dalej myśleć.

Poszedłem do sądu i przysiągłem. Wygrałem proces — ale od tej chwili sumienie dawniej uśpione, nie dało mi spokoju; jak robak, gryzło mnie wewnątrz, dzień i noc wołając:

— Krzywo przysiągłeś, jam jest świadkiem — ja cię oskarżę!

Daremnie starałem się rozerwać, w pośród wesołych towarzystw, wewnętrzny głos przygłuszyć. Ale znów nastały chwile samotności, ciche noce, a z niemi wyrzuty sumienia, które spokój i sen odpędzały. Ileż nocy musiałem bezsennie spędzić! Spać nie mogłem, bo wiecznie mnie dręczyła myśl o krzywoprzysięstwie. I nikomu nie mogłem serca mego otworzyć, u nikogo pociechy i współczucia szukać; musiałem ukryć wewnętrzne katusze — ale one i na obliczu mojem się odbiły. Wszystko mnie gniewało. Zdrowie nawet straciłem. Nie byłem w stanie prowadzić gospodarstwa, dobrobyt nikł, i coraz lepiej i jaśniej widziałem, że przekleństwo Boże ciąży nademną.

Znajomi domyślali się tego; odsuwali się

więc odemnie i dali mi uczuć swoją pogardę. Wreszcie wydało się, że jestem krzywoprzysięzcą; wsadzono mnie do więzienia. Żona moja milcząc, spoglądała na mnie, gdy mnie prowadzono; zgryzota prawie ją do grobu wtrąciła. Patrzały dzieci na niegodnego ojca — ja to wszystko opuścić musiałem; zostałem sam ze złem sumieniem i z tą myślą okropną, że już wszystko dla mnie przepadło.

Czas więzienia upłynął — wyszedłem; ale wszyscy mną gardzili, nikt mi nie ufał — żona i dzieci wstydzili się mnie. Pewnej ciemnej nocy opuściłem dom i rodzinę i udałem się w strony, gdzie mnie nie znano. Sześć lat tak się błąkałem, aż oto w te strony przyszedłem. Tu już nie mogłem znieść ciężaru życia. Szukałem śmierci i byłbym ją znalazł przy rozsadzaniu skały, gdyby Bóg był dopuścił. Ale ja wiem, że wpierw musiały być ukarane te usta moje i język i prawa ręka, które były narzędziami krzywoprzysięstwa!

Tak mnie Bóg ukarał na ziemi — ale cóż dopiero czeka mnie w straszliwej wieczności!..

Tu umilkł chory, a jam ani słowa wyrzec nie mógł. Litość mnie zebrała.

— Boże, przebacz mu w wieczności — westchnąłem.

I Bóg przebaczył. Dał mu łaskę ze skru-

chą się wyspowiadać i przyjąć Wijatyk na drogę wieczności.

Tak przez wyznanie i straszne cierpienia, przebłagał Majestat Boży!

„Niech mnie piorun trzaśnie!“

Było to 12 Lipca 1845 r. w S. pod K. Pewien człowiek złej sławy, został oskarżony o kradzież. Stanąwszy przed sądem, chciał się przysięgą oczyścić z zarzuconej mu zbrodni. Lecz sąd nie pozwolił mu przysięgać. Wtedy on, podniósłszy rękę do góry, zawołał:

— Niech mnie pierwszy piorun trzaśnie, jeślim ja ukradł!

Tegoż samego dnia ciężka chmura zawisła nad S., gdy ów człowiek siedział w swym domu wraz z czworgiem dzieci. Nagle uderzył piorun i zabił na miejscu zbrodniarza, dzieci nie tknąwszy. Piorun trafił go w same usta. Dom stanął w płomieniach, a nikt nie odważył się gasić, gdyż wszyscy byli przekonani, że to Bóg skarał krzywoprzysięstwo. I rzecz dziwna! Tylko ten dom spłonął — inne zostały nietknięte. (Mehler).

„Niech mnie Bóg potępi.“

„Wezwano mnie, pisze pewien kapłan, do chorego w szpitalu. Gdym przyszedł, zapro-

wadzono mnie do 18-letniego młodzieńca, który, jak się dowiedziałem, co chwila miał w ustach powyższe słowa: „Niech mnie Bóg potępi.“ Koń go kopnął — a choć na zewnątrz rana była nieznaczna, jednak wewnątrz ciężko został uszkodzony. Choroba coraz bardziej się wzmagała; stał się niezdolny do pracy, wychudł jak szczypa i musiano go odwieźć do szpitala. Lekarze zbadawszy go, orzekli, że stan zdrowia jest niebezpieczny. Zawołano więc kapłana; ja przyszedłem. Pierwszem mojem staraniem było, przygotować go do spowiedzi. Lecz on jęczy z boleści i mówi:

— Ja nie mogę, nie mogę! o jak okropne boleści!

Staram się przynajmniej wzbudzić w nim akt skruchy i żalu; ale wszystko daremnie. Nieszczęśliwy młodzian wybełkotał tylko kilka słów niezrozumiałych i kręcił się i wił od boleści. Nareszcie powiedziałem mu, że mu udzielę ostatniego namaszczenia. Skorom spełnił ten akt, zawołał chory zadyszany:

— Niech mnie Bóg potępi.

Oburzyłem się na taką zniewagę, gdyż był przy zdrowych zmysłach. Uspokoiłem się i starałem się jeszcze raz wzbudzić w nim akt żalu za grzechy. Lecz on znowu zawołał:

— Niech mnie Bóg potępi.

Już począł konać:

— Widzę djabła, wołał jęcząc — patrzcie, tam jest... chce mnie porwać!.. Niech mnie Bóg potępi!

Te były ostatnie słowa owego nałogowego grzesznika. Bez pokuty, bez skruchy, z bluźnierstwem na ustach, opuścił ów młodzian tę ziemię. Trudno wystawić sobie, jakim wstrętem śmierć ta napełniła mnie, i z jaką trwogą wracam myślą do owego łoża boleści; straszliwą była ta godzina!“ (Eichsf. Volksbl. Nr. 24, 1884).

Nic zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Długołęcki T. J.

L. 2636.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
Kraków 16 Lipca 1890.

† *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

III^cie Przykazanie.

„Pamiętaj, abyś dzień święty święcił.“

Katolicki robotnik.

W śród wioski N. nad Renem, wznosi się ogromna fabryka, która zatrudnia codzień kilkuset robotników. Panem tej fabryki był wielki bogacz, protestant, rodem Alzatczyk. Powodzenie uczyniło go dumnym; dzień i noc marzył tylko o pomnożeniu majątku; a ponieważ praca jego robotników była pierwszym ku temu warunkiem, dlatego nie dawał im żadnego wypoczynku. Jakoż robotnicy pracowali bez wytchnienia, nawet w niedzielę; jedni dla zysku, dla którego poświęcali swą młodość i swe siły — drudzy przez miłość dla licznej rodziny, którą wyżywić musieli. Jeden tylko Wawrzyniec, robotnik katolicki, nie chciał dla pracy zaniedbywać obowiązków daleko świętszych; wiedział bowiem, że

w każdym dniu są chwile, których Bóg dla siebie wymaga, i że w każdym tygodniu jest dzień, Jemu szczególniej poświęcony. Pracując usilnie dla swej rodziny, chciał się także gorliwie modlić — oddając panu co pańskiego, chciał także oddać Bogu to, co jest Bożego. Tego jednak nie mógł znieść pan fabryki.

Stary Wawrzyniec podupadłszy na majątku, musiał przyjąć miejsce prostego robotnika w wiosce N., dokąd się wraz z żoną i ośmiorgiem dzieci sprowadził.

Wszyscy byli zatrudnieni w fabryce, a przez to stali się zupełnie zależnymi od jej właściciela; prócz tego Wawrzyniec zaciągnął był z początku dług u właściciela fabryki, tak, że nie mógł porzucić pracy, nie uiściwszy się pierwej z zaciągniętego długu. W tak przykrem położeniu, szukał Wawrzyniec pociechy w świętej swej wierze; a ponieważ owa wioska miała tylko zbór protestancki, co niedzielę chodził z całą rodziną o dwie mile do kościoła katolickiego.

Właściciel fabryki bojąc się, aby przykład Wawrzyńca nie zachęcił innych robotników do pobożności, i aby ci nie domagali się odpoczynku niedzielnego, którego im udzielić nie chciał, poddał rodzinę Wawrzyńca pod szczególniejszy dozór. Wawrzyniec przestraszony groźbami, ugiął się i powoli zaczął opuszczać swoje dawne ćwiczenia pobożno-

ści — gdy okoliczność nieprzewidziana zbudziła spiące jego sumienie.

Właściciel fabryki, ufając uczciwości i zręczności Wawrzyńca, posłał go do Lotaryngii, dla załatwienia ważnej sprawy z pewnym fabrykantem katolickim, którego pracownia była w uderzającej sprzeczności z pracownią protestanta. Tu bowiem sam właściciel fabryki dawał robotnikom przykład w wypełnianiu obowiązków religii. Proboszcz miejscowy, zaproszony przez właściciela, wizytował pracownie, katechizował dzieci i zachowywał w robotnikach ducha wiary i uczciwości. O ile robotnicy uwielbiali swego pana, o tyle gorliwiej dlań pracowali.

Widok ten wywarł silne wrażenie na duszę Wawrzyńca.

— Dlaczegoż ja, mówił do siebie, jestem skazany na życie smutne i niewolnicze, będąc zmuszonym zadawać gwałt moim uczuciom, kiedy tu mógłbym się cieszyć wolnością służenia Bogu, nie zaniedbując uczciwej pracy? Gdybym tylko zażądał o miejsce w tej fabryce, z pewnością bym je otrzymał... Ale — ten dług, ten dług, którego spłacić nie mogę!.. Wrócę... to być nie może...

I Wawrzyniec, choć do głębi wzruszony, powrócił do Alzacyi. Droga wypadła mu przez miasteczko, dokąd z rodziną swoją niedawno chodził na Mszę świętą. Tam też zanocować

musiał w przytulisku, obsługiwanem przez Siostry Miłosierdzia.

Nazajutrz przyszedł proboszcz według zwyczaju i poznał Wawrzyńca. Przypomniał mu dawną jego gorliwość w spełnianiu obowiązków katolickich — a te napomnienia w połączeniu z tem, co na własne oczy widział w fabryce katolickiej, zmieniły go zupełnie. Postanowił żyć po katolicku.

Praca nie była dla niego niczem strasznem; pomimo podeszłego wieku, pracował prawie dwa razy tyle, co drudzy; żona jego i dzieci, zachęcone przykładem, podwoiły gorliwość.

Następującej niedzieli stał właściciel fabryki w oknie i spostrzegł, że Wawrzyniec wraz z rodziną, nie idzie jak dawniej do pracowni, lecz do kościoła. Uniesiony gniewem, zawołał zarządcę fabryki i rzekł do niego:

— Czy pan wiesz, że stary Wawrzyniec zaniedbał pracę i poszedł do kościoła wbrew mojemu zakazowi? Rachunek jego masz pan u siebie; przyślij mi go pan zaraz — za karę natychmiast go z całą rodziną oddalę.

— Pan zapewne nie wiesz, odrzekł zarządca, że zamiast Wawrzyńca obwiniać o niedbalstwo, powinienbyś go pan raczej wynagrodzić za jego gorliwość. Obecność Wawrzyńca nie była dziś potrzebna we fabryce, gdyż w ciągu tygodnia odrobił to, co na niedzielę przypadało.

Słowa te zamknęły wprawdzie usta właściciela, ale gniewu jego nie uspokoiły. Oczekiwał powrotu Wawrzyńca, a skoro cała rodzina weszła do chaty, zbliżył się i przyłożył ucho do drzwi.

Jakież było jego zdziwienie, gdy po wspólnej modlitwie wieczornej usłyszał, jak Wawrzyniec wymawiał jego imię! Zaciekawiony, słucha lepiej i słyszy, jak Wawrzyniec prosi Boga, aby zlał wszelkie błogosławieństwo na właściciela fabryki a jego chlebodawcę. Dziwi się, jak człowiek, który był celem jego prześladowań, modlić się może za swego prześladowcę; jak on, katolik, błaga o błogosławieństwo i nawrócenie dla protestanta. Nie mógł już dłużej być panem swego wzruszenia; gorąca łza zwilżyła jego policzki. Ta religia zdała mu się być wzniosłą; głupie przesądy przeciw religii katolickiej, ustąpiły miejsca poważnym myślom.

Nazajutrz kazał zarządcy przyprowadzić sobie Wawrzyńca.

— Coś robił wczoraj cały dzień? zapytał właściciel.

— Poszedłem wraz z rodziną, dokąd mnie obowiązek religii powoływał.

— Tym sposobem przekroczyłeś moje rozkazy.

— Podwajając pracę w tygodniu, mogłem je pogodzić z obowiązkiem religii.

— A gdybyś był nie mógł wydołać takiemu nadmiarowi pracy?

— To nieprzestając szanować mego chlebodawcy, byłbym raczej posłuchał Boga jak człowieka; bo cóżby mi pomogło pozyskać świat cały, a duszę moją stracić?

— A wieczór powróciwszy z kościoła, coś robił w domu?

— Modliłem się za pana do Boga.

— Po co się za mnie modlisz? wszak ty mnie nie cierpisz!

— Ja się za pana codzień modlę.

— Kto ci to nakazał?

— Moja religia i kapłan, który mnie naucza.

— Więc chcesz i nadal nie słuchać moich rozkazów? Jesteś odemnie zawisły nietylko jako od chlebodawcy, ale także jako od wierzyciela.

— Rozumiem tę pogróżkę. Lecz jeśli moja religia dodaje mi tyle odwagi, iż nie boję się utracić pańskich względów, to ludzkość odmówi panu odwagi być niesprawiedliwym.

— Więc co niedziela będziesz chodził do twego kościoła, rzekł zdziwiony właściciel, pomimo mego zakazu?

— Lecz, gdybyś mi pan pozwolił?

— Cóż u ciebie znaczy moje pozwolenie, kiedy ty sobie zeń nic nie robisz?

— To znaczy, żebym się czuł szczęśliwym,

gdybym panu nie potrzebował być nieposłusznym.

— A więc dobrze; zobaczymy na przyszłą niedzielę.

Wawrzyniec wyszedł, dziękując Bogu, że odnowił serce jego pana.

W istocie, właściciel zupełnie się odmienił. Nadeszła niedziela. Robotnicy przychodzą do fabryki — fabryka zamknięta. Właściciel widzi z okna, jak Wawrzyniec znowu idzie z całą rodziną do kościoła.

— Więc ztamtąd, pomyślał, czerpie on tę cnotę, która mnie pokonała. Kapłan ten, który go o niej poucza, musi być zacnym człowiekiem. Acz protestant, muszę go bliżej poznać.

Tydzień nie upłynął, a właściciel fabryki odwiedził proboszcza, który go jak najłaskawiej przyjął.

Po niejakim czasie — rok po wspomnianych wyżej zajściach, w kościele katolickim owego miasteczka odbywał się wspaniały ślub. Właściciel fabryki zostawszy katolikiem, prosił o rękę córki owego katolickiego fabrykanta, w którego fabryce Wawrzyniec widział tak piękny przykład życia katolickiego.

Stary Wawrzyniec, zaszczycony zaufaniem swego pana, został zarządcą fabryki i płakał z radości, że Bóg go wybrał za narzędzie

miłosierdzia swego. (Moniteur des villes et des campagnes).

Święta dziewica Anyzia.

Pewna chrześcijańska dziewica, imieniem Anyzia, szła w niedzielę na Mszę św. do kościoła, gdy ją ujrzał żołnierz od straży przybocznej cesarza Dyoklecyana. Widząc jej skromność, domyślił się, że ona jest chrześcijanką; przystąpił więc do niej i rzekł:

— Stój! dokąd idziesz?

Anyzia bojąc się o swą cnotę, uczyniła na swem czole znak krzyża świętego, aby od Boga otrzymać łaskę oparcia się pokusie. Żołnierz obraził się, że na jego pytanie takim znakiem mu odpowiedziała. Porwał ją tedy za rękę i rzekł z gniewem:

— Odpowiadaj, kto jesteś i dokąd idziesz!

— Jestem, odrzekła dziewica, służebnicą Pańską, i idę do kościoła Bożego.

— Tam iść nie możesz; dziś powinnaś bogom ofiarować — bo my dziś oddajemy cześć słońcu, rzekł żołnierz.

I zdarł zasłonę, którą oblicze jej było zakryte. Anyzia starała się bronić; dała mu silny policzek i rzekła:

— Idź precz, nędzniku! Jezus Chrystus cię ukarze!

Żołnierz porwał za miecz i przeszył jej

serce. Anyzia padła na ziemię jako męczennica święcenia niedzieli; a podczas, gdy jej ciało dziewicze we krwi się nurzało, dusza jej czcią uwieńczona, wielbiła w niebie Baranka, którego na ziemi kapłan ofiarował; weszła w Pańską wielmożność, aby tam święcić na wieki dzień Pański. (Gaume).

Kupiec i rzemieślnik.

Pewien pobożny kupiec przyszedł do znajomego sobie rzemieślnika w niedzielę. Widząc, iż tenże jakby w dzień roboczy pracuje, począł mu czynić wyrzuty, że pracuje w niedzielę. Ale rzemieślnik rzekł:

— Mój łaskawy panie! Ja biedny, więc muszę w niedzielę pracować — inaczej nie będę mógł wyżyć.

Kupiec mu na to:

— Nie dziw, żeś biedny; właśnie dlatego jesteś biedny, że pracujesz w niedzielę. Jakże ci Bóg może błogosławić w pracy? Wiesz co? Zawrzyjmy układ; przestań pracować w niedzielę i święć ten dzień, jak na chrześcijanina przystoi! Najdalej za pół roku przyjdę i wypłacę ci wszystką szkodę, którą poniesiesz, jeśli odtąd w niedzielę nie będziesz pracował — choćbym ci 100 talarów miał zapłacić!

Rzemieślnik przystał na ten układ i spró-

bował. Po pięciu miesiącach przyszedł znowu kupiec i pyta:

— No, wiele ci mam wypłacić?

— Wcale nic, wcale nic! odrzekł rzemieślnik. Święcenie niedzieli wiele mi błogosławieństwa przyniosło, a wcale żadnej szkody. Przed pięciu miesiącami nie miałem krowy; teraz mam i dobrze jestem na złe czasy zaopatrzony. (Mehler).

Chrześcijański golarz.

W angielskiem mieście Bath żył pewien golarz, nazwiskiem William Kind. Najwięcej pracy i zysku miał w niedzielę, i dlatego nigdy nie chodził do kościoła w dzień Pański. Gdy tak razu jednego szedł golić jakiegoś pana, zajrzał mimochodem do kościoła i usłyszał, jak kapłan mówił:

— Pamiętaj, abyś dzień święty święcił.

Słuchał jeszcze chwilkę kazania i przekonał się, że Pan Bóg żadną miarą nie może błogosławić pracy niedzielnej.

Odszedł niespokojny i z ciężkiem sercem dalej pracował. Ale niepokój coraz więcej się wzmagał, gdyż jasno poznał obowiązek święcenia dnia Pańskiego — w którym Bogu, nie ludziom służyć powinien. Po wielu bezsennych, wśród łez i modlitwy spędzonych nocach, postanowił wreszcie, wszelkie troski

zrzucić na Pana, w niedzielę nie golić, lecz o zbawieniu swej duszy myśleć. Wkrótce też zaczął używać owego błogiego szczęścia, jakie towarzyszy wiernemu wykonaniu obowiązków i spokoju, którego świat ani dać, ani odebrać nie może. Ale zarazem nastąpiły i skutki, których po swym śmiałym kroku oczekiwał. Panowie, których w niedzielę golił, opuścili go — a on zeszedł na taką biedę, że musiał zamknąć swą pracownię i przenieść się do podziemia jakiegoś domu w rynku, gdzie tylko najuboższych ludzi golił.

Pewnej soboty o zmierzchu pytał jakiś podróżny, który pocztą przyjechał, o golarza; a urzędnik pocztowy wskazał mu na prędce w pobliżu leżące podziemie, gdzie mieszkał William Kind. Podróżny wchodzi i prosi, aby go zaraz ogolił, bo jak się wyraził, nie lubi tych rzeczy robić w niedzielę. Słowa te wzruszyły serce ciężko doświadczonego Kinda. Zalał się łzami i prosił podróżnego, aby mu choć jeden grosz dał naprzód, bo nie miał za co kupić światła. Podróżny chętnie to uczynił, myśląc, jakaby też mogła być przyczyna, że ten biedny człowiek w taką nędzę popadł. Gdy już był ogolony, rzekł:

— Historya twego życia musi być szczególnego rodzaju. Teraz nie mam czasu jej słuchać; ale oto masz pan talara — gdy powrócę, to znowu przyjdę i posłucham. Jak się pan nazywasz?

— William Kind.

— William Kind? Jak wnoszę po pańskiej wymowie, jesteś pan ze zachodniej Anglii.

— Tak jest, z Kingstown.

— Jak się ojciec pański zowie?

— Tomasz.

— Czy ojciec miał jeszcze brata?

— Tak jest; ale on pojechał do Indyi i nic o nim nie słychać.

— Chodź pan ze mną! odrzekł zdziwiony podróżny; właśnie idę do pewnego człowieka, który twierdzi, że się nazywa William Kind z Kingstown — chodź pan i stań mu pan przed oczy; a jeśli potrafisz dowieść, że jesteś istotnie William Kind z Kingstown, to przywożę panu bardzo pomyślną wiadomość. Stryj pański umarł i zostawił wielki majątek, w którego posiadanie ja pana wprowadzę.

— Zbliżyli się do wozu pocztowego, gdzie stał wrzekomy (udany) William Kind; łatwo było mu dowieść, że jest oszustem, a biedny lecz uczciwy i pobożny William Kind odziedziczył ogromną fortunę właśnie wtenczas, gdy nędza najwyższego stopnia dosięgła. A tak ubóstwo wskutek wiernego święcenia niedzieli, musiało się przyczynić do tego, iż mu nie odebrano majątku odziedziczonego. (Mehler).

Jak pierwsi chrześcijanie święcili niedzielę.

Święty Justyn, filozof i męczennik mówi: „W dni niedzielne schodzą się wszyscy, co na wsi i w mieście mieszkają, na wspólne zebranie; tam czyta się dzieje apostolskie albo pisma proroków, jak długo czas pozwala. Skoro lektor skończy czytać, ma przełożony kazanie, w którem te wzniosłe nauki objaśnia i do naśladowania pobudza; potem wstajemy wszyscy i zanosimy modlitwy nasze do Boga; następnie, jak się powiedziało, ofiaruje kapłan chleb, wino i wodę i modli się i czyni dzięki jak może najgorętsze, a lud mu wtóruje, mówiąc: Amen.

Każdemu z obecnych udziela się z darów pobłogosławionych, a nieobecnym zanoszą dyakoni. Na końcu majętni czynią składkę ze swego majątku wedle upodobania — a co się zbierze, oddaje się przełożonemu; z tego wspomaga on wdowy i sieroty, albo takich, co przez chorobę albo inne przyczyny, wpadli w ubóstwo, albo są w więzieniu; także podróżnych i gości.“ (Just. in Apolog. 1).

Z tych słów widać, że pierwsi chrześcijanie słuchali kazania i Mszy św.; że przyjmowali Komunię św. i w tym dniu uczynki miłosierdzia spełniali.

Gorliwość we wspólnem nabożeństwie.

Gdy protestancka królowa Anglii Elżbieta i kilku z jej następców wszelkich katolickich nabożeństw pod grozą najsroższych kar zakazali, dali katolicy, którzy wiernie przy Bogu i swoim Kościele wytrwali, dowód nieustraszonego przywiązania do nabożeństwa wspólnego swych ojców. Wiele z tych wiernych dzieci Kościoła św. odbywało wśród nocnej pory z narażeniem życia i majątku, bardzo długie i uciążliwe podróże, aby przed świtaniem w podziemnych i ciemnych pieczarach, w niedzielę Mszy świętej wysłuchać i inne nabożeństwa wspólnie odbyć. Nie mało tych gorliwych chrześcijan-katolików odkryto i uwięziono; księży, jako też i tych, którzy ich u siebie ukrywali, winnymi zbrodni majestatu uznano. Zabrano im dobra, wrzucono do więzienia, a nareszcie śmiercią ich skarano. Nie można sobie wystawić, jakie męki i okrutne zniewagi musieli księża i świeccy wycierpieć, jeśli ich na tajemnych zebraniach przy obchodzeniu nabożeństwa schwytano. Wiarogodnych opowiadań, jakie nas doszły, nie można bez łez czytać.

Za czasów tego prześladowania przyprowadzono do markiza z Worchester stuletnią staruszkę, która sobie przypominała, iż widziała zakonników z klasztoru, kiedy kraj

był jeszcze katolicki. Żałowała bardzo, że już nie ma publicznego nabożeństwa w kościele; ale dodała, że zawsze obowiązki swej religii wykonywała, acz księdza nie było — „którego już pewnie, jak mówiła, w Anglii nie zobaczę.“

— Bez wątpienia i wyście zmienili religię, kiedy królestwo ją zmieniło — wtrącił markiz.

— Nie, odrzekła staruszka; alem aż do dziś dnia czekała, aby się przekonać, czy naród, który przyjął nową religię, będzie lepszym jak był wtenczas, kiedy starej religii przepisy wykonywał — lecz się przekonałam, że lud stał się coraz bardziej zepsutym i że miłość ku Bogu coraz więcej ostygła; dlatego też zachowałam religię katolicką i dziękuję Bogu spodziewając się, że z Jego łaską aż do ostatniego dnia życia mojego wytrwam.

Właściciel domu protestant, w którym mieszkała, zapewniał, że ta staruszka tak jest przywiązana do swej religii, że wszystkie środki, których używano, aby ją oderwać od niej, tylko ten miały skutek, że ją jeszcze więcej utwierdzały i że w niedzielę mianowicie, pokryjomu chodzi do kościoła i tam swe modlitwy i różańce sama odmawia.

— Ja was wezmę na zamek Rayland — rzekł markiz; tam znajdziecie kapłana i codzień będziecie mogli Mszy św. słuchać.

Co usłyszawszy staruszka, tak się rozradowała, że jeszcze tego samego dnia przed wieczorem umarła.

Skoro się markiz nazajutrz o jej śmierci budującej dowiedział, zapłakał gorzko, i rzekł:

— Jeśli ta biedna staruszka umarła z radości, iż będzie mogła wreszcie Bogu służyć — jakiejże dozna radości, że Mu już może służyć, nie bojąc się śmierci! Jeśli tak często w cichości dzień święty na ziemi święciła, o ileż wspanialej będzie teraz dzień wiecznego spoczynku wśród chórów duchów błogosławionych obchodzić! (Mehler).

Niedzielna jałmużna.

Niedziela jest najstósowniejszym dniem do dawania jałmużny. Pięknie o tem mówi św. Jan Złotousty:

„Niedziela jest szczególnie odpowiednia do udzielania jałmużny. Ty może powiesz: Jakto? Czyż może jeden dzień więcej jak drugi, do uczynków dobrych zachęcać? Patrz! w tym dniu spoczywa się po pracy; gdy człowiek używa spoczynku, umysł jego staje się weselszy i pogodniejszy, a tem samem do dania skłonniejszy. Ale co daleko więcej znaczy. to to, że temu dniowi nieskończenie wiele dobrego mamy do zawdzięczenia. W tym

bowiem dniu śmierć została zwyciężona, przekleństwo zniesione, grzech zgładzony, czart zakuty w kajdany, długa wojna skończona, Bóg z ludźmi pojednany, a rodzaj ludzki do dawnej, i owszem, do większej świetności podniesiony; słońce zaś w tym dniu podziwienia godny cud ujrzało, to jest, że człowiek stał się nieśmiertelnym. Na to wszystko wspomnijmy, a wtenczas niedziela stanie się orędowniczką ubogich, gdyż wołać będzie do nas: Wspomnij człowiecze, jak wiele i jak wielkich dobrodziejstw w tym dniu otrzymałeś i od wielu nieszczęść zostałeś zachowany! Tak, niedziela jest dniem urodzin całego rodzaju ludzkiego; bo byliśmy zginęli, a w tym dniu zostaliśmy znalezieni; byliśmy nieprzyjaciołmi, a zostaliśmy pojednani. Dlatego starajmy się dzień ten duchownym uczcić sposobem — nie przez biesiady i pijatyki, nie przez opilstwo i tańce, lecz przez hojne wspomaganie uboższych braci naszych."

Piękna niedziela.

— Ja biedny, więc nie mam obowiązku dawać jałmużny, rzekł Karlantonio do syna swego Józefa.

— A ja jeszcze mały, więc i mnie się nie tyczy przykazanie o dawaniu jałmużny, rzekł syn do ojca, gdy obaj w niedzielę powra-

cali z kościoła, gdzie ksiądz proboszcz w kazaniu dowodził, że my wszyscy mamy obowiązek wspomagać bliźniego.

„Byłem głodny, a wyście mi dali jeść; byłem spragniony, a daliście mi pić; byłem gościem, a przyjęliście mnie; byłem chory, a odwiedziliście mnie; byłem nagi, a okryliście mnie. Pójdźcie błogosławieni Ojca mego.“

Temi słowy Pana Jezusa, zachęcał kapłan do czynienia dobrze, osobliwie w niedzielę, jako czynił Pan Jezus, gdy nawet ze zgorszeniem faryzeuszów, w dzień święty chorych cudownie uzdrawiał.

Szczęśliwi ci, co te słowa do siebie zastosować mogą, pomyśleli ojciec i syn; ale one tylko do bogatych są powiedziane, którzy odziać i w gościnę przyjąć ubogich i nakarmić i napoić ich mogą. A my ubodzy, możemy tylko jałmużnę od innych przyjąć. Temi myślami zajęci, wrócili do domu. Ale zastali dom pusty — a ogień na kominie wygasły. Cieszyli się już na zupę ryżową, która cały ich obiad miała stanowić, a tu nic nie było. Twarze ich posmutniały; ojciec już miał jakieś słowo ostre na ustach, gdy matka powróciła.

— Gdzieś była? zapytał Karlantanio nieco zagniewany, swą żonę.

— Uspokój się, mój drogi — rzekła Maryanna. Nasz sąsiad Benedykt jest bardzo chory. Aż dotychczas byłam u niego, aby

go obsłużyć; a skoro wam obiad zgotuję, znowu pójdę, aby dzień święty przez dobry uczynek przy łożu chorego uświęcić. Biedny Benedykt! Co go najbardziej boli, to to, że teraz właśnie czas uprawy pola — a jeśli pola nie uprawi, to nie będzie miał co jeść.

— A gdzież jego siostra Angelika, spytał Józef, żem jej w kościele nie widział?

— Wyszła z dziećmi Benedykta, aby choremu swym krzykiem nie przeszkadzały, albo widokiem chorego ojca się nie smuciły.

Ojciec i syn spojrzeli po sobie w milczeniu i przypatrywali się, jak matka im obiad gotowała. Teraz dopiero poznali, że nikt nie jest tak ubogi albo tak mały, aby uczynków miłosierdzia nie mógł spełniać.

Karlantonio wyszedł na miejsce, gdzie się w niedzielę wieśniacy zgromadzali i opowiedział im, że Benedykt jest ciężko chory i że dlatego roli swej skopać nie może.

— Wiecie co? Skopmy mu pole.

— I owszem, bardzo dobrze! rzekli gospodarze.

Jakoż wybrali ośmiu najdzielniejszych z pomiędzy siebie, którzy mu za pozwoleniem księdza proboszcza, w okamnieniu skopali pole. Taka zaś radość i wesołość malowała się na ich obliczach, jak gdyby się najlepiej bawili. Nawet mały Józio pomagał; zbierał kamienie i starał się według sił swoich biednego Benedykta pocieszyć. Ten zaś w mo-

dlitwie swojej polecał swych dobroczyńców łasce i miłości Bożej. (Caesar Kantu).

Już pod dachem.

W E... w Szwajcaryi żył wieśniak, syn pobożnych i cnotliwych rodziców, ale ich wcale nie naśladował — nie dbał ani o Boga, ani o ludzi. Pewnej niedzieli podczas żniw, leżało wiele zboża jego na pomieci. Na górach się zciemniło i obawiano się deszczu. Zwołał tedy czeladź i rozkazał im wiązać, obiecując wiele wina, jeśli jeszcze tysiąc snopów zwiozą. Słysząc to matka 80-letnia staruszka, przywlokła się na kulach i prosiła syna błagając, aby przecież dnia świętego nie znieważał.

— Jak długo żyję, rzekła, jeszcze ani snopka w niedzielę u nas nie zwieziono — a jednak nigdy Bogu dzięki, na niczem nam nie zbywało.

Ale syn roześmiał się i rzekł:

— Corok są inne zwyczaje i corok stara się człowiek, aby mu lepiej było.

Tak więc wieśniak ów zwiózł snopy, a staruszka się modliła i płakała.

Już tysiąc snopów było pod dachem, gdy pierwsze krople deszczu padły — ale ciężkie, jakby kamienne.

— Teraz matko — wołał tryumfująco syn, teraz już jest w domu, i wszystko dobrze

poszło. Niech sobie teraz szaleje burza jak chce; zboże już pod dachem.

— Ale nad twoim dachem jest dach Pański — rzekła uroczyście staruszka, a gdy to mówiła, stało się jasno w izbie — piorun zabłysnął nad domem, huk straszny powstał, jak gdyby się dom na tysiąc części rozleciał.

— Boże! to piorun uderzył — zawołał pierwszy, co mógł przemówić, i wszyscy wybiegli z domu. Dom stał w płomieniach, a dopiero co zwiezione snopy, paliły się. Dom zgorzał do szczętu, nic nie ocalono.

Na zgliszczu stał wieśniak głęboko upokorzony i rzekł sam siebie oskarżając:

— Mam je pod dachem! Ale nad moim dachem jest dach Pański — mówiła matka! (Dr. H. Rolfus, 151).

Nagła śmierć.

Pewien proboszcz z Algieryi opowiada następujący wypadek:

„W drugą niedzielę Stycznia 1877 roku, miałem kazanie w X., gdzie jestem proboszczem, o potrzebie święcenia dnia Pańskiego, gdyż Bóg dla siebie ten dzień zachował. Bóg błogosławił moim słowom, gdyż zrobiły wielkie na słuchaczach wrażenie. To się jednak nie podobało jednemu z mieszkańców,

który był wrogiem religii. Rozgniewał się bardzo i zapewniał przy każdej sposobności, że i mojem kazaniem i wszelkiemi staraniami pogardza — i że w przyszłą niedzielę zrobi sobie tę przyjemność, iż będzie pracował, i to tak, aby i od proboszcza i od parafian mógł być widziany — więc na polu, które miał koło kościoła.

Jak rzekł, tak uczynił. Był w polu, gdy się suma zaczęła i nawet zagadywał opodal idących parafian, aby tem widoczniej pokazać, iż się nie boi przykazanie Boskie przestąpić i w polu pracować. Ale, zaledwie miał czas swą chęć, Bogu na przekorę słowy wyrazić, gdy go nagle straszne boleści porwały. Musiał przestać — rzucił narzędzie i wlókł się jak mógł, do domu; ale nie doszedł, bo z sił opadł. Chciał wstąpić do sąsiedniego domu, aby odpocząć — przed drzwiami upadł. Ludzie się zbiegli, chcieli go podnieść, dopomódz — ale nie było potrzeby; już był trupem.

Każdy może sądzić o tej śmierci, co mu się podoba, ale w mojej parafii uważali ją wszyscy jako karę Bożą, która zuchwałego szydercę z przykazania Boskiego, tak nagle spotkała. (Eichsf. Volksbl. 15. 1855).

„Nadal będę się strzegł."

— Cóżeś to taką kwaśną minę zrobił? pytał A. starego przyjaciela swego, którego

pewnego poranka wyszedłszy sobie na spacer, na ulicy spotkał.

— Dobrze ci mówić, odparł D.; patrz na tę kartkę — i mówiąc to, wyjął z kieszeni rachunek od aptekarza: 75 marek, czy to nie zdzierstwo? Trzeba ci wiedzieć, że żona moja kilka miesięcy chorowała. A lekarz przysłał nam rachunek na 35 marek; czy to nie rozpacz dla biednego rzemieślnika?

— Masz słuszność przyjacielu, odrzekł A.; ale nie rozpaczaj. Dziękuj Bogu, że ci żona wyzdrowiała; pracuj tylko pilnie i oszczędzaj nieco, a jakoś się wygrzebiesz.

— Już o tem myślałem — a potem z tej historyi nauczyłem się ważnej rzeczy; opowiem ci. Ty wiesz, że ja w gruncie nie zły człowiek, ale trochę lekkomyślny. To też i z niedzielą tak było; myślałem, że kilka godzin rano w niedzielę i święto popracować, to nic nie znaczy. Tak całe cztery lata robiłem; aż raz słyszałem, jak nasz ksiądz na kazaniu mówił:

— Co się w niedzielę przez pracę niekoniecznie potrzebną zyskuje, to zysk niesprawiedliwy, który Bóg wcześniej czy później z domu zabierze — choroby i tym podobne wypadki, są egzekutorami.

Wtenczas te słowa na wiatr puściłem i pomyślałem sobie: przecież tak źle nie będzie. Ale słów tych nie zapomniałem; zawsze mnie jak robak gryzły. Gdym tedy otrzymał ra-

chunek od lekarza i aptekarza i obaczyłem, iż 110 marek wynosi, wtedy dopiero przyszły mi znowu na myśl słowa kapłańskie. Jednej niedzieli po południu siadłem więc umyślnie i jak mogłem, rachowałem, ilem też przez te 4 lata niedzielną pracą mógł zarobić? I dziwna rzecz! Właśnie wypadło 100 do 110 marek. Ciężko mi się na sercu zrobiło. Ale nadal strzedz się będę pracy w niedziele i święta. (Kat. Miss. Blatt 1884).

Takich jak najwięcej!

To życzenie żywo we mnie powstało, gdym się o następującym wypadku dowiedział:

Kapłan D. udał się do lekarza miejscowego, by mu w jego gardlanej chorobie dopomógł.

— Księże wikary, rzekł lekarz — ja księdzu nie mogę poradzić; choroba ta tak długo trwać będzie, jak długo ksiądz codzień rano o 5-tej godzinie, będzie odprawiał Mszę św. w tej lodowni t. j. kościele, dla tych kilku dewotek.

— Przepraszam pana doktora — ja mam zwyczajnie 30 do 40 osób na Mszy świętej, a w pewnych razach dwa razy tyle.

— Przecież tylko w niedzielę jest obowiązek Mszy słuchać; prócz tego może tych 40 dewotek na Mszę X. proboszcza o 7-ej godzinie przychodzić.

— Moje dewotki, jak się je panu doktorowi podoba nazywać, mają za wiele do roboty, aby mogły aż do 7-ej godziny czekać.

— No, to niech opuszczą Mszę.

— Nie mówiłbyś pan tak, gdybyś wiedział, ile pociechy te osoby we Mszy świętej znajdują.

— No, naprzykład — jakąż pociechę?

— Pierwsze moje dewotki, to trzy Siostry miłosierdzia, co chorych pielęgnują; czybyś im pan chciał odebrać tę pociechę, jakiej przy słuchaniu Mszy świętej i Komunii doznają?

— Bynajmniej.

— Dalej jest kilka sług, które przez cały dzień jak niewolnice pracować muszą. Czyż pan im nie pozwolisz, aby przedtem świeżych sił w kościele zaczerpnęły?

— Kto księdzu to powiedział, że im nie pozwalam?

— Następnie są rozmaici rzemieślnicy, którzy się przez cały dzień o chleb powszedni troszczyć i męczyć muszą; oni w tem znajdują swoją pociechę, że tak wcześnie do kościoła iść mogą, aby sobie przypomnieć, że kiedyś i dla nich przyjdzie czas odpoczynku. Cóż pan na to, panie doktorze?

— To mi się istotnie podoba.

— Mam jeszcze inne dwie dewotki o piątej godzinie w kościele; temi są dwaj studenci, których pan bardzo dobrze znasz.

— Co? może to nawet moi bratankowie: Franciszek i Józef? Już ja od dawna czegoś się domyślałem. Ale muszę przyznać, iż obaj są zacni chłopcy.

— A widzisz pan, panie doktorze; jest jeszcze na tej Mszy kilku starszych chłopców i dziewcząt; te przychodzą, aby swą wiarę i cnotę nieskazitelnie zachować.

— Masz ksiądz słuszność, księże wikary. My ludzie świeccy, pleciemy zanadto lekkomyślnie i bez rozwagi. Zobaczysz ksiądz, że słowo „dewotka“ już nigdy z ust moich nie wyjdzie. Zapiszę księdzu na gardło lekarstwo bardzo dobre. Jutro przy Mszy świętej podczas *Memento*, niech ksiądz wikary nie zapomni Panu Bogu polecić starego grzesznika, którego obaj bardzo dobrze znamy — nieprawdaż?

Ci, którzy codzień rano na Mszę świętą chodzą, nie są jak widać, najgorszymi katolikami. Chce ich świat dewotkami zwać, to dobrze. My mówimy: Oby jak najwięcej takich było! (Eichsf. Volksb.).

Ze Szwajcaryi.

„W miejscu mego urodzenia mieszkał już dość podstarzały wieśniak, który przez liberalne gazety, zanadto miał oświaty — i na księży, przykazania kościelne, a zwłaszcza

na chodzenie do kościoła nie mógł się dość nawymyślać.

Chociaż przez cały tydzień prześliczna była na sianożęcie pogoda — a zatem naglącej potrzeby nie było — skosił umyślnie w niedzielę z czterema kosarzami pół łąki, ku ogólnemu zgorszeniu parafian i na złość proboszczowi, który surowo przeciw znieważaniu świąt powstawał.

Następnej niedzieli po południu koło godziny pierwszej, gdy już siano było w kopach i tylko je zwozić miano — niespodzianie powstała burza, którą poprzedził straszny wir. Trzeba było widzieć, jak ten wir suchuteńkie siano z ziemi wysoko uniósł i o ćwierć a nawet o pół mili, ponad przepaści, wody, pola i lasy porozrzucał. W kilka minut znikła wspaniała pasza i ani garstki nie ocalono.

Można sobie wystawić, ile postępowy ów wieśniak nietylko szkody, ale i szyderstwa znieść musiał.

Wójt również postępowy pocieszał biednego chłopa, mówiąc, że to czysty przypadek — ale cała gmina uważała to jako widoczną karę Bożą, za gorszącą zniewagę dnia świętego. (Eichsf. Volksbl. 1889).

Lekcya z nieba.

M. X. bogaty obywatel i posiadacz znacznego majątku, wychowany był w pobożności chrześcijańskiej według dobrych zasad; ale jak wielu innych, przez rozmaite, nic nieznaczące, błahe powody, zaniedbał praktyk religijnych, jako to: chodzenia na Mszę św., przystępowania do Stołu Pańskiego itp.

Na jego roli w niedzielę i święta pracowano, pług i maszyny były w ruchu, jak w dnie powszednie. Miał on troje miłych dziatek. Najmłodszy, chłopczyk dwuletni, ciężko zachorował, przyprawiając rodzinę o wielki smutek. Silna gorączka postawiła go w kilku dniach nad grobem.

Była sobota. Wszyscy płakali, bo dziecię było już bez nadziei. Starsza córeczka pełna boleści, postanowiła całe swe serce wylać przed rodzicami.

— To jest — rzekła głośno płacząc, to jest owoc i skutek pracy w niedzielę i święta. Bóg karze w naszej rodzinie grzechy, które tylko Jemu samemu są znane, w każdym z nas według zasługi. Ale zuchwałe, publiczne przekraczanie trzeciego przykazania, musi Bóg karać przez krzyże, boleści i cierpienia, których świadkami są ci, którym daliśmy zgorszenie.

Ojciec słuchał zdumiony tej niespodziewa-

nej nagany aż do końca — ale nie mógł nad swem rozdrażnieniem zapanować i zapytał córki, jakiem prawem w ten sposób wobec ojca mówić się waży.

Potem wyszedł nagle z pokoju; płacząc, wstąpił do pokoju chorego dziecka i spostrzegł, że dziecię coraz słabsze i pasuje się ze śmiercią. Matka poszła za ojcem, a córka strwożona została w pokoju.

Wtem zapukał ktoś do drzwi — sługa wchodzi i zastawszy tylko samą córkę, mówi, że rządca kazał zapytać, co jutro (to jest w niedzielę) ludzie mają robić.

Natychmiast pobiegła panienka do ojca i pytanie rządcy powtarza. Pan X. odpowiada niechętnie, ale natychmiast, nie patrząc na córkę:

— Każ mu powiedzieć, że nadal nie chcę, aby w niedzielę pracowali.

Dobra córka nie wierzyła swym uszom — i natychmiast pobiegła, by spełnić tak upragnione poselstwo.

I o dziwna dobroci Boża! Zaledwie strapiony ojciec to postanowienie powziął, gdy małemu Henrysiowi (takie było imię chorego synka) znacznie się polepszyło. Noc przeszła spokojnie, następujący dzień jeszcze lepiej, a wkrótce dziecię zupełnie wyzdrowiało.

Pan X. dotrzymał słowa; nie każe już w niedzielę pracować — a syn jego cieszy się czerstwem zdrowiem.

Córka zaś jego uradowana z tego, modli się i ma nadzieję, iż ojciec jej oziębły jeszcze w obowiązkach religii, sumiennie i wiernie spełniać je będzie, nie czekając na nową lekcyę z nieba, która teraz jeszcze surowszą być może. (Eichsf. Volksbl. Nr. 14, 1885).

Przykra odmowa.

Mam zwyczaj będąc w podróży, gdy przyjadę do miejsca, gdzie się dla interesów zatrzymać muszę, odwiedzać kościoły.

Niedawno przyjechałem w poniedziałek wieczór do L. Zamówiwszy pokój w gospodzie, skierowałem me kroki ku skromnemu kościółkowi wiejskiemu. Przyszedłem właśnie, gdy stowarzyszenie pobożnych dziewic i kobiet, śpiewało pieśni do Najśw. Panny. Między licznemi, jak mi się zdawało, nie wykształconemi głosami, jeden odznaczał się dźwiękiem i czystością.

Skoro i ja skończyłem modlitwę do Najś. Panny, zmusiła mnie jakaś nieprzezwyciężona ciekawość zapytać się kościelnego, co to za dziewczyna, która tak bardzo wyróżniała się śpiewem od innych?

Często dają się kościelni długo prosić, zanim słowo przemówią; ale ten zaczął natychmiast mówić i opowiedział mi więcej, jak się spodziewałem.

— Niedawno prosił młody człowiek z naszej parafii o rękę tej dziewczyny — rzekł kościelny. Miał on dużo pieniędzy, bardzo dobre widoki, a przytem, jak mówili przyjaciele, którzy go przedstawiali, wiele „dobrych przymiotów i zdolności.“ Rodzice tej dziewczyny mają się wprawdzie dobrze, ale nie są bogaczami; za to jednak używają najlepszej sławy, osobliwie zaś dziewczyna jest wzorem pracowitości, skromności i pobożności.

Młody człowiek będąc w tych warunkach, sądził, że potrzebuje tylko swe życzenie objawić, a już będzie spełnione. Ale się grubo omylił.

Z początku szło wszystko gładko — przyjaciele młodego człowieka wybornie sprawę załatwili, gdy ojcu dziewczyny wpadło na myśl zapytać:

— Jakże się ma z religią owego młodzieńca? Czy chodzi on na Mszę św.?

— Zapewniam pana, ręczył jeden z przyjaciół jak najsolenniej, że on ma bardzo dobre usposobienie i że jest bardzo zacny.... Ale co się tyczy religii i Mszy św., no... to jest taki, jak wielu z naszych młodych ludzi — pobożnym nie jest.

— To mi bardzo przykro, odrzekł ojciec dziewczyny; ale kto nie jest wierny Bogu, ten i żonie swej wiernym nie będzie.

— Jakże się to rozumie? Czy to ma być odmowna odpowiedź?

— Tak jest, rzekł ojciec. Ani religii, ani niedzieli, ani święta, ani Mszy; dlatego też ani żony.

— Brawo! rzekłem do kościelnego. Oto mąż, jakichby się wielu zdało.

— Ta odpowiedź ojca, kończył kościelny, natychmiast z ust do ust poszła — a najzacniejsi młodzieńcy z okolicy współubiegają się, aby mieć przystęp do tej rodziny.

— Bardzo temu wierzę — to jest nagroda cnoty. (Eichsf. Volksbl.).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
X. Łaszczyk T. J.

L. 2877.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
Kraków 2 Sierpnia 1890.

† *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

IV^te Przykazanie.

„Czcij ojca twego i matkę twoją, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi.“

Trzej bracia japońscy.

Roczniki japońskie czynią wzmiankę o nadzwyczajnej miłości dziecięcej.

„Została pewna niewiasta wdową z trzema synami i tylko z pracy rąk się utrzymywała, tak, iż zaledwie wyżyć mogli. Widok matki ukochanej, wystawionej na taką nędzę, popchnął ich do dziwnego postanowienia. Niedawno bowiem ogłoszono, że kto wyda w ręce sprawiedliwości sprawcę pewnej kradzieży, otrzyma znaczną nagrodę. Otóż ci trzej bracia umówili się między sobą, że jeden z nich wyda się za owego złodzieja. Ciągną losy — a los padł na najmłodszego; dał się więc związać i zaprowadzić przed

sąd jako zbrodniarz. Sędzia go pyta, a on odpowiada, że jest złodziejem. Kazali go wrzucić do więzienia, a ci, którzy go wydali, wzruszyli się na widok nieszczęścia brata.

Znaleźli sposób wejścia do więzienia, i sądząc, że ich nikt nie widzi, uściskali go czule i łzami go oblewali.

Dozorca więzienny, który to spostrzegł, nie mogąc pojąć, jak zbrodniarz może tyle miłości i przyjaźni okazywać tym, co go wydali w ręce sprawiedliwości, dał znać, by powstrzymano wyrok, i polecił jednemu ze sług, aby szedł za donosicielami i nie spuszczał ich z oka, aż się nie dowie czegoś, coby tę sprawę wyjaśniło.

Sługa doskonale się wywiązuje ze swego zadania i donosi, że skoro ujrzał, iż ci dwaj młodzieńcy wstąpili do domu, on się tam zbliżył i słyszał, jak opowiadali matce całe to zajście; że biedna kobieta słysząc to opowiadanie, okropnie lamentowała i rozkazała im, aby odnieśli pieniądze, które im dano, mówiąc, że woli umrzeć, jak życie swe kosztem życia ukochanego syna zachować.

Sędzia zaledwie chcąc wierzyć temu, co mu opowiadano, kazał przyprowadzić więźnia; pyta go na nowo o kradzieży, którą miał popełnić i grozi mu najsurowszą karą; ale młody ten człowiek trwa przy swojem, uznając się winnym.

— Ach, to za wiele, rzekł sędzia, rzucając się na szyję jego; dziecko cnotliwe! postępowanie twoje zadziwia mnie.

Natychmiast idzie do cesarza i składa sprawozdanie. Ten, zachwycony czynem tak heroicznym, chciał obaczyć tych trzech młodzieńców, a obaczywszy, obsypał pieszczotami, wyznaczył najmłodszemu znaczną pensyę, a nieco mniejszą dwom starszym.

Wdzięczność synowska.

Pewien książę jadąc konno na przechadzkę, spotkał wesołego wieśniaka przy pracy w polu i wdał się z nim w rozmowę. Zadawszy mu kilka pytań, dowiedział się, że to nie jego rola, tylko że ją jako najemnik za zapłatą 9 groszy dziennie obrabia.

Książę, który rozumie się, daleko więcej pieniędzy potrzebował i spożywał, nie mógł na prędce zrozumieć, jak można dziennie za 9 groszy wyżyć i jeszcze być wesołym. Ale poczciwy ten człowiek odpowiedział:

— Nie byłoby dobrze dla mnie, gdybym aż tyle codzień potrzebował. Mnie trzecia część z tego wystarczyć musi; druga część idzie na długi, a trzecią daję na kapitał.

To była nowa dla księcia zagadka. Wieśniak zaś rzekł:

— Zarobek mój dzielę z memi ubogimi

rodzicami, którzy już pracować nie mogą, i z memi dziećmi, które jeszcze pracować nie umieją; owym spłacam dług miłości, jaką mnie w mem dzieciństwie miłowali; po tych spodziewam się, że mnie w starości także nie opuszczą.

Czy to nie są piękne słowa, a jeszcze piękniejsze i szlachetniejsze uczucia i czyny? Książę nagrodził poczciwość onego wieśniaka, wziął w opiekę jego synów, a błogosławieństwo, jakie otrzymał od umierających rodziców, spłynęło nań obficie przez miłość i pomoc, jaką mu dzieci w starości jego udzielali. (Mehler).

Zadośćuczynienie.

Było to w Listopadzie 1776 roku. Wszystka szlachta hrabstwa Warwich w Anglii, była zgromadzona u pani Fanny de Bourg. Oczekiwano na sławnego wówczas doktora Johnson'a (Dżons'n), który Anglię uczonemi dziełami, a świat rozgłosem swej sławy napełnił. Doktor nie przychodził. Czekano i czekano... godziny upływały — zabawa szła bez niego nijako.

Już goście zawiedzeni w oczekiwaniach, mieli się rozchodzić — gdy służący dał znać, że doktor Johnson przyszedł.

Wchodzi — woda leje się z jego sukien

przemokłych i głowy siwizną okrytej. Zbliżywszy się do pani domu, rzekł:

— Wybacz mi, łaskawa pani! Gdym jej przyobiecał dzisiaj przybyć, nie myślałem, że to dzień 21 Listopada.

Goście spoglądali na siebie ze zdziwieniem. A uczony ów i sławny doktór ciągnął dalej:

— Tak jest, łaskawa pani; był to dzień jak dzisiejszy.... deszcz padał ze śniegiem. Ojciec mój rzekł do mnie:

— Mój synu, mam się jakoś niedobrze; idź ty na rynek do Wallstall i przedawaj za mnie książki w moim kramie.

Ja zaś, łaskawa pani, ja niewdzięczny — odmówiłem tej prośbie i nie poszedłem.

Jeszcze raz rzekł do mnie ojciec:

— Bądź też tak dobry mój synu, bo ja się źle mam — a my tacy ubodzy!

Ja zaś, łaskawa pani, dumny z mej wiedzy, którą właściwie memu ojcu miałem do zawdzięczenia, ja nie poszedłem — a on poszedł.... mój biedny ojciec poszedł.... i tam.... umarł.... mój ojciec! Odtąd czterdzieści lat upłynęło, łaskawa pani — i przez 40 lat 21 Listopada chodzę do miejsca urodzenia mego pieszo, nic nie jadłszy; tam na rynku Wallstall zatrzymuję się z odkrytą głową przez cztery godziny na tem miejscu, gdzie mój ojciec przez 30 lat miał swój kram, który mnie żywił i w którym umarł.... przez moją winę!

Goście pani Fanny już nie spoglądali na siebie — wszyscy rzewnie płakali.

Kosztowny włos.

Działo się w Wiedniu, podczas wystawy węgierskiej. Bogaty Anglik, który się w przejeździe kilka dni w Wiedniu zatrzymał, wstąpił do fryzyera w śródmieściu właśnie, gdy panienka, ubogo ale chędogo ubrana, targowała się z nim o cenę swych pięknych, obfitych i jasnych włosów. Żądała za nie 20 reńskich, ale fryzyer dawał jej tylko 8. Anglik zainteresował się tym targiem i uważał na dziewczynę, w której obliczu malował się wielki smutek, gdy usłyszała tak niską cenę. Drżącym głosem odpowiedziała, że to za mało. Po wielu targach zgodziła się jednak biedna panienka sprzedać swe włosy za 10 reńskich. W chwili, gdy fryzyer wziął nożyce i już miał włosy obcinać, skoczył Anglik z krzesła, szybko przystąpił do panienki i zawołał na fryzyera:

— Stój!

Tenże ustąpił przerażony.

Wtenczas Anglik, który tylko słabo umiał po niemiecku, wypytał panienkę o przyczynę tej sprzedaży, a łaskawy ton, z jakim przemawiał, pozwolił panience śmielej odpowiadać.

Otóż prostą ale wzruszającą była historya.

— Ojciec mój, rzekła, niedawno bogaty przemysłowiec, utracił majątek i z matką i ze mną przybył do Wiednia, aby tu znaleść sposób do życia. Prawie rok cały starał się, ale daremnie. Starzejący się ojciec nie mógł znaleść odpowiedniego zajęcia. Resztki dawnego majątku wyszły na życie, a na domiar nieszczęścia, matka leży chora; nawet ojciec wskutek trosk i kłopotów utracił zdrowie, a dziś zrana już ani grosza w domu nie było. Dlatego przyszłam do fryzyera, by sprzedać włosy i kupić za nie ojcu i matce chleba....

Drżąca panienka opowiadała tę historyę bez przesady, tak, iż Anglik do głębi był nią wzruszony.

— Czy chcesz, drogie dziecię, sprzedać mi twe włosy? zapytał łaskawie.

— Chcę, odrzekła panienka — podczas, gdy jej łzy w oczach stanęły.

Lord wyjął z pugilaresu banknot i podał go panience. Był to banknot na 100 funtów szterlingów (to jest przeszło 1200 reńskich.) Potem wziął nożyczki i uciął jej jeden tylko włosek, który starannie zachował przy sobie.

— Idź teraz do domu, lube dziecię, rzekł lord, i daj ten banknot ojcu. On już będzie wiedział, co z nim zrobić.

Wychodząc szybko, rzekł jeszcze do panienki:

Pozdrów tam odemnie twoją chorą matkę! i szybko odjechał fijakrem, a fryzyer i panienka ze zdumienia słowa nie mogli przemówić. Fryzyer nie mógł jej z płaczu radości utulić. Szybko pobiegła i oddała ojcu pieniądze. Matka wyzdrowiała wkrótce, a obecnie ojciec jest w stanie otworzyć mały sklep na przedmieściu. (Eichsf. Volksbl.).

„Oto jest mój ojciec.“

— W zupełnej prawie niewiadomości, pisze sławny szermierz katolickiej religii, Ludwik Veuillot o samym sobie, bez uszanowania dla religii, ba nawet w nienawiści ku Kościołowi katolickiemu byłem wychowany. Miałem córeczkę, która była dzika, namiętna, a przytem głupia. Byłem względem niej niecierpliwy i surowy. Niejeden raz mówiła mi żona:

— Poczekaj, aż do pierwszej Komunii ś. przystąpi, wtenczas się poprawi.

Jam temu nie wierzył. Tymczasem chodziła córeczka na katechizm. Od tego czasu stała się posłuszna, skromna i pełna miłości i przywiązania ku nam. Wtenczas przyszło mi na myśl, abym i ja raz poszedł na tę naukę, przez którą moja córka tak nagle

się zmieniła. Więc poszedłem. Słyszałem tam prawdy, o których przedtem nic nie wiedziałem.

Usposobienie moje względem mej córki i sposób obchodzenia się z nią, odmienił się zupełnie. Nie mogę powiedzieć, żeby to było uczucie miłości, ale raczej uczucie poważania i szacunku. Czułem, że ja niżej stałem, jak ona; bo ona była mędrszą i lepszą jak ja. Jeszcze tygodnia brakowało do pierwszej Komunii.

Pewnego poranku, gdy ze Mszy św. powróciła, przyszła do mego pokoju, gdzie tylko sam byłem.

— Kochany ojcze! rzekła; dzień mej pierwszej Komunii św. zbliża się. Ale ja nie mogę tak do Stołu Pańskiego przystąpić; muszę najprzód od ciebie otrzymać błogosławieństwo i prosić cię o przebaczenie za wszystkie błędy, które popełniłam, i za wszystkie zmartwienia, jakie ci sprawiłam. Przypomnij sobie tylko na wszystkie moje błędy i wyłaj mnie porządnie, abym się poprawiła.

— Moje dziecię, ojciec gotów jest wszystko przebaczyć.

Spojrzała na mnie oczami łez pełnemi i rękami za szyję mnie objęła.

— Kochany ojcze, rzekła; mam ci jeszcze coś powiedzieć.

Mogłem się łatwo dorozumieć, czego chciała,

bo mi sumienie mówiło — zaniepokoiłem się, trwoga mnie przejęła.

— Idź, rzekłem, idź teraz; wszak możesz jutro przyjść.

Biedne dziecko nie wiedziało, co ma powiedzieć; usunęła się smutna i poszła do swego pokoiku, gdzie się znajdował ołtarzyk z obrazem Najśw. Panny.

Zaledwie odeszła, żal mi się zrobiło, żem do niej tak mówił. Wstałem, przysunąłem się na palcach do drzwi jej pokoiku i zaglądnąłem. Dziecko moje klęczało przed obrazem Bogarodzicy, modląc się z całego serca za ojca swego. Doprawdy, wtedy poznałem, co się musi czuć na widok anioła. Cichutko wróciłem do mego pokoju, usiadłem i sparłszy głowę na obu rękach, chciałem płakać, bo serce było przepełnione. — Wtem lekki szmer usłyszałem; patrzę, i oto moja córeczka stoi przedemną. Na obliczu jej malowała się trwoga, ale zarazem odwaga i miłość....

— Drogi ojcze, rzekła; ja nie mogę czekać do jutra — proszę cię, chodź ze mną i z mamą następnej niedzieli do Komunii.

Łzy trysły mi z oczu — objąłem oburącz szyję dziecięcia i rzekłem:

— Tak jest, dziecię moje — jeszcze dziś zaprowadź mnie do swego spowiednika i powiedz mu: „Oto, jest mój ojciec!“

Tym sposobem potężny wróg Kościoła i

wiary, stał się jednym z najdzielniejszych szermierzy za Kościół we Francyi — a to przez modlitwę dziecka dobrego. (Eichsf. Volksbl. II, 1889).

Dobra córka.

W pewnej wiosce T. nad rzeką Łabą, żył ubogi człowiek nazwiskiem B, który przez powodzie i inne nieszczęśliwe wypadki podupadł. Uboga chatka i mały ogródek, oto cały majątek. Wśród pracy i niedostatku, dożył on jednak ośmdziesięciu lat — żona o kilka lat była starszą; on już niedowidział, ona zdziecinniała. Na domiar nieszczęścia, pożar w kilku minutach zniszczył chatkę i cały dobytek, i tak bardzo skromny. Chorzy, słabi, niezdolni by się utrzymać, doszli do ostatecznej nędzy.

Córka ich Dorota, jedyne dziecko, jakie im śmierć zostawiła, była w innem miejscu na dobrej służbie. Z niewysłowioną boleścią serca dowiedziała się o nieszczęściu rodziców. Nie ograniczyła się na czczem współczuciu, które się objawia płaczem i narzekaniem — ale dowiodła miłości swej czynem. Postanowiła tedy przyjść w pomoc rodzicom; czas, majątek i siły im poświęcić i nie spocząć, aż się dola ich poprawi. W gorącej modlitwie wyższej nabrała siły i z chrześci-

jańską radością przystąpiła do wykonania zamiaru.

Wśród łez opuściła służbę, gdzie państwo z niej zupełnie zadowoleni, z boleścią ją tracili. Pospieszyła do rodzinnego miejsca i zastała rodziców już bliskimi śmierci, opuszczonych, w nędznej szopie leżących — przeniosła ich do pobliskiego domu i obiecała o nich się starać.

Przez pilność, gospodarność i porządek, uzbierała sobie sporą sumkę pieniędzy i sprawiła sobie kilka sukni. Otóż, to wszystko obróciła na pierwsze i niezbędne potrzeby staruszków. Lecz wkrótce i zapasy wyczerpały się — a Dorota musiała przemyśliwać nad środkami wyżywienia rodziców, którzy już grubych potraw jeść nie mogli.

Z wielkim tedy sił wytężeniem pracowała, zarabiając tyle, ile starczyło na życie dla rodziców. Ale to nie dość było dla jej tkliwej duszy; odmówiła sobie wszelkiej wygody, a nawet przestała chodzić w obuwiu, aby za pieniądze tym sposobem oszczędzone, kupić im bułek lub posilnego napoju.

Wkrótce dowiedziano się o postępkach Doroty i pod imieniem „dobrej córki“ polecono ją w gazetach. Wkrótce też wpływały obfite składki dla „dobrej córki“, a nawet rząd zajął się nią gorliwie.

Zbudowano im nowy, schludny domek ze wszystkiemi przyborami. Wzruszający był

widok, jak staruszkowie wchodząc do nowego domu, zdumiewali się nad zmianą losu swego i wznosząc ręce i oczy ku niebu, dziękowali Bogu za Jego dobroć.

Zacnej tej córce naznaczyło towarzystwo pobożne posag. Ale ona, co tylko dla rodziców żyła, nie chciała dla siebie żadnej pomocy.

Zaledwie mieszkanie było gotowe, a rodzina się tam urządziła, zachorowali oboje staruszkowie na epidemię, która się w owej okolicy srożyła. I wtenczas nie zmieniła się Dorota. O sobie samej i o własnem niebezpieczeństwie zapominając, pielęgnowała umierających rodziców z niestrudzoną miłością, łagodnością i wiernością — i ze łzami w oczach obojgu oczy zamknęła.

Cel jej życia zdawał się być przez to osiągnięty, gdyż w ten sam dzień, w którym odprowadziła zwłoki rodziców na miejsce wiecznego spoczynku, wpadła w tę samą chorobę — a po kilku bolesnych tygodniach, umarła śmiercią łagodną i cichą, na jaką takie życie zasługiwało. (Mehler. Beisp.).

Miłość i odwaga dziecięca.

Pewien zacny obywatel wyspy San-Domingo, którego jedyną „zbrodnią“ było, że był bogatym, został przez rewolucyonistów na śmierć

skazany. Szaleńcy ci, którzy nazwę patryotów, czyli miłośników ojczyzny zuchwale przybrali, podczas gdy ręce swe we krwi najlepszych obywateli broczyli — oskarżyli go jako wroga wspólnego dobra i z wielu innymi równie nieszczęśliwymi, na śmierć skazali.

Na szczęście miał ów obywatel małą córeczkę, która ojca swego najczulej kochała. Skoro ojca z łona rodziny wydarto, towarzyszyła mu, mając silne postanowienie podzielić los ojca, chociażby nawet najboleśniejszy.

Już skazanemu oczy zawiązano — ręce skrępowano; już oprawcy broń palną ku niemu zmierzyli — już miał być dany znak do wystrzału — gdy z pośród tłumu wybiega dziewczynka, i rzucając się w objęcia ojca, woła:

— Mój ojcze! ach mój ojcze!

Daremnie chcieli ją wyrwać z niebezpieczeństwa śmierci, daremnie używali gróźb; nic jej nie zdołało powstrzymać, nic przestraszyć. Objęła go za szyję swemi drobnemi rączkami i czekała chwili, w której wraz z ojcem umrzeć będzie mogła.

— O moja córko! drogie dziecko moje! jedyna pociecho stroskanej matki, która za chwilę wdową zostanie — zawołał ojciec drżącym głosem — uciekaj, zaklinam cię — rozkazuję ci!

— O mój ojcze, odrzekła — pozwól, niech razem umrzemy!

To niespodziewane zdarzenie rozbroiło przywódcę rewolucyonistów. Obudziło się w nim uczucie litości. Pod błahym pozorem wstrzymuje wyrok i rozkazuje ojca wraz z dzieckiem do więzienia odprowadzić. Następnie zupełnie go uwolnił — a szczęśliwy ojciec nie przestał odtąd wysławiać miłości i odwagi dziesięcioletniej swej córeczki. (Mehler).

„To nie twoi synowie.“

Alfons IX, król Leonu w Hiszpanii, odznaczał się szczególnie swoją miłością i uszanowaniem względem ojca. Ojciec jego Ferdynand II, doszedł bardzo sędziwego wieku, ale wiele chorób wycierpiał. Najstarszy syn jego i następca tronu Alfons, zachowywał się względem niego tak, jak na chrześcijańskiego syna przystało.

Zawsze był przy ojcu, usługiwał mu, pielęgnował go, chyba, że był zajęty sprawami państwa, które mu ojciec powierzył. Aby syna nie zasmucać, często Ferdynand taił przed nim choroby, które mu dokuczały. Gdy gwałtowność ich się zmniejszała, kazał się zanosić do ogrodu, i mówił do syna z wypogodzonem obliczem, że mu sił przybywa, i że zdrowie jego w lepszym jest stanie, jak się zdaje.

Razu jednego dowiedział się, że Alfons powraca jako zwycięzca Maurów i zbliża się już do miasta. Natychmiast kazał się zanieść w lektyce naprzeciwko syna. Chciał mu przez to nietylko swą radość z odniesionego zwycięztwa okazać, ale nadto sprawić mu ten przyjemny widok, że ojciec jego cieszy się zdrowiem, na jakie wiek jego zdobyć się może.

Skoro Alfons ujrzał ojca, zeskoczył z konia, podbiegł z radością naprzeciw niemu, i ucałowawszy rękę ojcowską, szedł pieszo obok lektyki. Daremnie starał się ojciec nakłonić go, aby siadł na koń; daremnie przedstawiał mu, że nie wypada, iżby on sam szedł pieszo, podczas, gdy cała świta jego jedzie konno.

— Oni nie twoi synowie! odrzekł Alfons, i nie odstąpił od ojca.

Skoro przybyli do pałacu, wziął Alfons ojca w objęcia i zaniósł go sam na pokoje.

— Mój ojcze, rzekł wtenczas — ty wiesz, jak daleko sięga miłość twoja ku mnie; ale jak daleko moja miłość ku tobie sięga, tego nie wiesz. Bynajmniej nie ogranicza się ona na tem, żem szedł pieszo obok twej lektyki; ja zazdrościłem nawet sługom, którzy cię nieśli w lektyce. Nie jeden raz przychodziło mi na myśl, kazać się im zatrzymać i na barkach moich do pałacu cię zanieść!

Ferdynand tylko łzami radości odpowie-

dział. Nie długo używał Alfons radości posiadania ojca; wkrótce umarł tenże 1190 r. Błogosławieństwo ojca spoczęło na nim i na kraju całym, a długie panowanie jego było już tu nagrodą dziecięcej miłości. (Mehler).

Nie wstydź się rodziców.

W pułku sławnego jenerała Z. znajdował się rotmistrz K. Był roztropny, mężny i kochał rodziców jak na dobrego syna przystało. Rodzice jego byli ubogimi wieśniakami w M. Z orderem na piersiach, przybył na czele wojska po skończonej wojnie do miasta, będącego w pobliżu jego rodzinnej wioski.

Rodzice ze wsi pospieszyli do miasteczka, by po tylu latach niewidzenia, syna swego obaczyć — i czekali nań na rynku.

Skoro ich poznał, szybko zeskoczył z konia i ze łzami radości ich uściskał. Wkrótce potem zabrał ich do siebie i prosił ich zawsze do stołu, choć miał u siebie znakomitszych gości.

Razu jednego szydził sobie pewien oficer, że wieśniacy razem z rotmistrzem siedzą przy stole.

— Jakto? Czyżbym miał pierwszych dobrodziejów mojego życia się wstydzić i być im niewdzięcznym? odrzekł rotmistrz. Zanim

byłem królewskim rotmistrzem, już przed wielu laty byłem ich dzieckiem.

Jenerał Z. dowiedziawszy się o tem, zaprosił się sam z kilkoma innymi, zacnymi gośćmi do rotmistrza na obiad. Tym razem rodzice rotmistrza sami nie chcieli być obecnymi na obiedzie, gdyżby nie wiedzieli, jak się zachować.

Gdy miano siadać do stołu, zapytał jenerał:

— Ależ K..., gdzież są rodzice? Sądziłem, że razem z panem siędą do stołu?

Rotmistrz uśmiechnął się i nie wiedział, co odpowiedzieć.

Więc sam jenerał wstał i przyprowadził rodziców rotmistrza. Musieli po obu jego stronach usiąść do obiadu, podczas którego najuprzejmiej z nimi rozmawiał.

Gdy poczęto wznosić zdrowia, wziął kielich, i powstawszy rzekł:

— Moi panowie! piję za pomyślność zacnych rodziców pełnego zasług syna, który umie dowieść, że wdzięczny syn więcej jest wart, jak dumny rotmistrz!

Później znalazł jenerał sposobność samemu królowi opowiedzieć o rotmistrzu, jak tenże szanuje swoich ubogich rodziców, co też króla bardzo ucieszyło. Chcąc go lepiej poznać, zaprosił go król do siebie na obiad.

— Słuchaj rotmistrzu, rzekł król — chcąc

zbadać jego usposobienie — z jakiego stanu właściwie pochodzisz? Kto są twoi rodzice?

— Najjaśniejszy Panie, odrzekł K. bez namysłu — ja pochodzę z chłopskiego stanu, a rodzice moi są wieśniakami, z którymi dzielę się szczęściem, jakie W. Król. Mości zawdzięczam.

— Tak mi się podoba, rzekł uradowany król; kto szanuje swoich rodziców, ten jest mężem czcigodnym — a kto ich nie szanuje, nie wart, aby się był narodził.

Czcij ojca i matkę twoją; to jest pierwsze przykazanie z obietnicą. (Eichsf. Volksbl.).

Wdzięczny syn.

W roku 1838 urządził cesarz Austryacki Ferdynand tyrolskim strzelcom wspaniałą uroczystość strzelecką. Pierwsza nagroda: wspaniała chorągiew, wieloma dukatami ozdobiona, była wartości tysiąca reńskich. Nagroda ta zwabiła strzelców z całego Tyrolu do Innsbruka, gdzie się strzelanie miało odbyć.

Między innymi przyszedł i młody chłopak z doliny Pusteru (Pusterthal). Był on jedynakiem ubogiej wdowy — i choć pracował gorliwie, jednak źle się obojgu powodziło; do tego stopnia, że i chatkę musieli sprzedać. To strasznie bolało poczciwego syna.

Aby jej módz być pomocą w ostatnich życia jej chwilach, potrzebował pieniędzy; spodziewał się, że przy strzelaniu do tarczy wygra i pospieszył do Innsbruka. Nim wyszedł na strzelnicę, udał się do kościoła parafialnego i gorąco się modlił przed obrazem Najśw. Panny, prosząc o najlepszy strzał; zarazem też ślubował, że jeśli wygra pierwszą nagrodę, okaże się wdzięcznym Matce Boskiej i ofiaruje wygraną chorągiew do Jej cudownego obrazu w Innsbruku.

Nie było to rzeczą łatwą wśród tylu dzielnych strzelców, dostać pierwszą nagrodę. Ale częsta modlitwa do Maryi i pamięć na biedną matkę, która już własnego kącika nie miała, dodała mu odwagi i pewności — i ze zdumieniem wszystkich, młody chłopak pierwszą otrzymał nagrodę.

Wszyscy mu winszowali i mniemali, że się w Innsbruku zabawi z przyjaciołmi.

— Jakem przyszedł, tak powrócę i ani szklanki piwa nie wypiję — odrzekł tym, co się wpraszali.

I natychmiast udał się w drogę; chorągiew zaniósł do kościoła Matki Boskiej cudownej i w dowód wdzięczności u stóp Jej złożył, a pieniądze oddawszy matce, długi popłacił i na stare lata niejedną jej sprawił pociechę.

Tym sposobem i ziemskiej i niebieskiej swej Matce, młody Tyrolczyk okazał się wdzięcznym. (Eichsf. (Volksbl.).

Modlitwa dzieci.

W hrabstwie H. żyła przed wielu laty zacna rodzina B. we własnym mająteczku szczęśliwie i spokojnie, nie pragnąc lepszej doli. Składała się z ojca, matki i ośmiorga dobrych i posłusznych dziatek, z których najstarsze miało lat 16. Wtem jak grom z jasnego nieba, spada na nią nieszczęście — ojciec umiera. Biedna matka, przerażona tym ciosem, wpadła również w niebezpieczną chorobę, tak, iż musiała być spiesznie opatrzoną św. Sakramentami.

Gdy po kilku dniach proboszcz znowu przyszedł odwiedzić nieszczęśliwą rodzinę — oświadczył lekarz, że żadnej nadziei ocalenia nie ma.

Płacząc, obstąpiły dzieci proboszcza, który im rzekł:

— Drogie dzieci, u Boga wszystko jest możliwe. Módlcie się! Bóg jest tak dobry, a osobliwie chętnie modlitwy dziatek wysłuchuje.

Następnie pouczył ich, w jaki sposób mogą odprawić nowennę.

— Zmówcie, rzekł, codzień 3 Ojcze nasz, 3 Zdrowaś Maryo i dodajcie to westchnienie: „O dobry Boże! uzdrów nam matkę.“ Dzieci tak uczyniły, a najstarsza dziewczynka rzekła:

— I Matka Boska musi się także ze swej strony przyczynić do uzdrowienia mamy.

Dodała więc do tamtych modlitw jeszcze modlitwę świętego Bernarda: „Pamiętaj o najdobrotliwsza.“

Modliły się zaś z taką rzewną pobożnością i szczerością, że proboszcz, który ich obserwował, rzekł:

— Taka modlitwa musi być wysłuchana.

Jakoż szóstego dnia nowenny, rzekła już matka:

— Zdaje mi się dziatki moje, żeście mi wyprosiły zdrowie.

I rzeczywiście, gdy lekarz przyszedł, zastał chorą w daleko lepszym stanie.

Dziewiątego dnia znowu przyszedł — załamał ręce i zawołał:

— Jak to być może?

Matka była zdrowa i nazajutrz przyjęła Komunię św.

Dziatki więc znowu rozpoczęły nowennę — dodając na końcu: „O dobry Jezu, dzięku jemy Ci.“

Żyli potem jeszcze 10 lat z matką pobożnie i szczęśliwie. Po upływie tego czasu umarła matka i siedmioro dziatek na zarazę w ciągu trzech tygodni. Pozostał tylko syn, który wstąpił do klasztoru, i gdzie dokonał żywota, z rozpromienionem obliczem mówiąc: „Ojcze, matko! weźcie mnie do siebie, abym z wami był przy Bogu moim!“ (Eichsf. Vol.).

Zawstydzający przykład.

Pewien bogaty kupiec, który nie był zbyt hojny dla ubogich, odprawił raz biednego, opuszczonego chłopczynę, na którego twarzy głód i nędza piętno swe wyryły, szorstko i nielitościwie ze swego sklepu. Patrząc za odchodzącym zobaczył, że chłopiec ten poszedł chwiejnym krokiem do towarzysza swojego, jeszcze nędzniej wyglądającego, który czekał na niego. Stanąwszy przy swych drzwiach od sklepu słyszał, jak chłopiec, którego tak nielitościwie odpędził, łkając boleśnie, żalił się na swą biedę. Ten głaskał go po twarzy i pocieszał jak mógł.

— Jeżeli nam nikt nie dopomoże, rzekł, to starajmy się sami sobie dopomódz, a Bóg nas nie opuści. Czy jesteś głodny mój kochany? Ja sam jestem głodny — cały dzień nic jeszcze w ustach nie miałem. Ale mam chorą matkę w domu, która jest także głodna; muszę ją wpierw pożywić, niż siebie. Chciałem właśnie zanieść jej tę kromkę chleba (przy tych słowach wyciągnął kawałek chleba z kieszeni) — lecz widzę, że nie możesz utrzymać się na nogach z głodu, więc weź go sobie, a Bóg dopomoże zapewne mojej biednej matce.

— On wam obojgu dopomoże, i tobie malcze, któregom przed chwilą odpędził od sie-

bie — odezwał się kupiec, który tymczasem nadszedł wzruszony do łez; chodźcie ze mną, będę o was pamiętał.

I zaprowadził obu chłopców do swego pokoju, dał im jeść do syta, matce jednego z nich posłał jedzenie do domu, chłopców zaś przyjął do siebie do sklepu, wykształcił ich na zdolnych kupców; a oni później dobroczynnością swoją odpłacili się całemu miastu za dobrodziejstwo, którego doznali od jednego człowieka. (Filotea).

Święty Piotr Damiani.

Święty Piotr Damiani, późniejszy Kardynał i wielki Ojciec Kościoła, dostał się po śmierci rodziców pod opiekę brata, który się z nim w najbrutalniejszy, najokrutniejszy sposób — jak z najnędzniejszym niewolnikiem, mówi życiorys jego — obchodził i ledwie najpierwsze potrzeby ciała zaspakajał.

Razu jednego znalazł biedny chłopiec na odległej, samotnej drodze pieniądz. Każde inne dziecko w podobnych okolicznościach, użyłoby tego na zaspokojenie głodu, sprawienie sukni itp.; ale pobożny nasz chłopczyk uczynił inaczej. Nie zaspokojenie własnych potrzeb, lecz pomoc, którą mógł przez to przynieść rodzicom, cierpiącym jeszcze może męki czyścowe, było pierwszą myślą

Piotrusia, gdy pieniądz ten znalazł; zaniósł go więc do pewnego kapłana, prosząc, aby odprawił Mszę św. za spokój dusz zmarłych rodziców.

Wzruszający to przykład miłości dziecięcej, pobożności i panowania nad sobą. Piękny ten czyn nie pozostał nie wynagrodzonym — wysoka godność, do której Damiani doszedł już w tem życiu, była zapewne częścią zapłaty za wierne przestrzeganie czwartego przykazania i wypełnienie rozkazu mieszczącego się w niem: *„Czcij ojca twego i matkę twoją, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi.“* (Z życia).

Ojciec nawrócony.

— Jeśli chcecie, aby dusza wam droga nawróciła się, to cierpcie za nią — mówił razu pewnego kaznodzieja do swoich słuchaczy.

Słowa te wzięła sobie do serca pewna dziewczyna z ludu, która przystąpiła do pierwszej Komunii św. Biedna ta dziewczyna widziała nieraz, że matka płacze, i smuciła się i wstydziła, gdy prawie co wieczór ojciec pijany do domu powracał. Otóż usłyszawszy powyższe słowa kapłana, uściskała serdecznie swą matkę i rzekła:

— Matko, bądź spokojna i zadowolona,

już nie długo będzie ojciec przyczyną łez twoich.

Nazajutrz przy obiedzie wzięła córka tylko trochę zupy i kawałek chleba, a więcej jeść nie chciała.

— Czyś chora? zapytała stroskana matka.

— Nie, odrzekła córka.

— Jédz-że! mówił ojciec.

— Dzisiaj nie, ojcze, odpowiedziała dziewczyna.

Ojciec uważał to za grymas i zostawił ją głodną.

Wieczór jak zwykle, przyszedł pijany do domu. Dziewczynka położyła się spać, ale nie spała.

Słyszała, jak ojciec klął i łajał i zaczęła gorzko płakać. Było to pierwszy raz, że przekleństwa i lajania ojca łzy jej wyciskały.

Nazajutrz nie jadła przy obiedzie nic, prócz kawałka chleba i napiła się szklankę wody. Matka posmutniała, ojciec strasznie się rozgniewał.

— Ja chcę, abyś jadła! zawołał rozgniewany.

— Nie! odrzekło dziecko stanowczo, dopóki ty ojcze będziesz się upijał, dopóki tak będziesz postępował, że matka musi płakać, dopóki będziesz przeklinał i bluźnił, tak dłu-

go obiecałam Panu Bogu pościć i chcę cierpieć, aby On cię nie karał.

Ojciec spuścił głowę na piersi i posmutniał, nic nie mówiąc.

Już wieczorem tego dnia przyszedł spokojnie i trzeźwo do domu, a dziecko się cieszyło i jadło z osobliwym apetytem.

Ale wkrótce przyzwyczajenie jakby druga natura, znowu go pociągnęło do pijaństwa, a córka na nowo pościć zaczęła.

Tym razem ojciec nie ważył się ani słówkiem sprzeciwić się córce. Ale natomiast wielka łza potoczyła się po jego obliczu — stracił apetyt i już nic nie jadł. Matka także płakała, a dziewczynka była spokojna.

Wreszcie powstał ojciec, wziął dziecko w objęcia i rzekł:

— Ty biedna męczennico, czy tak zawsze chcesz robić?

— Tak ojcze, tak długo aż nie umrę — albo aż ty się ojcze nawrócisz!

— Córko! kochana, droga córko! zawołał ojciec wzruszony; matka twoja już na mnie więcej płakać nie będzie!

Tak dziecko stało się misyonarzem dla swego ojca — tak Bóg wybrał słabe, aby zawstydzić mocne. (Erbauungstunden 1885).

Z miłości ku matce.

Pewna matka miała dwóch synów. Starszy ukończywszy w dwudziestym roku życia szkołę wojskową w Saint-Cyr, odznaczył się w Afryce podczas wojny z Arabami i po ich rozgromieniu powrócił do domu.

Skoro tam przybył, zastał cały dom pogrążony w smutku i we łzach, bo młodszy o lat 10 brat bliski był skonania. Matka zaledwie mogła spojrzeć na starszego syna, z tak dalekich krajów powracającego. Wszelkie troski i cała miłość macierzyńska skierowane były do chorego dziecka. Młody oficer podzielał troski swej matki, ale cierpienie się przedłużało — a wreszcie zdawało się, że już po dziecku.

— Jeśli on umrze, to i ja chcę umrzeć — powtarzała matka bez przerwy; bo to dziecko było mem życiem. Słowa te były bolesne i przykre dla starszego syna, ale nie czynił matce wyrzutów. Mówił sam do siebie: gdybym ja umierał, toby i mnie tak samo matka kochała.

Żadna sztuka lekarska nie zdołała powrócić dziecku życia; już oczy mgłą zaszły, już ani matki, ani brata nie widział.

— Umiera! umiera!.. wołała biedna matka. Kapłan już mówił o zgadzaniu się z wolą

Bożą — że dzieci szczęśliwe, gdy umierają, i że Bóg czyni je aniołami w niebie.

Lecz matka słyszała tylko krótki oddech dziecka. Serce oficera mało nie pękło z boleści na widok cierpień brata i rozpaczy matki. Nagle dziecko poruszyło się konwulsyjnie — wszyscy zadrżeli. Kapłan rzekł:

— Módlmy się.

Wszyscy padli na kolana. Oficer tak się modlił do Najśw. Panny:

„O święta Dziewico! Ty najtkliwsza i najboleśniejsza z matek! Tyś naszą jedyną nadzieją; usłysz ślub, który w mem sercu czynię. Jeśli przywrócisz bratu memu życie, to przyrzekam Ci, że się poświęcę nauczaniu dzieci jego wieku. Będę je uczył, jak Cię mają kochać i wielbić. Ja zaś sam wielbić Cię będę po wszystkie dni życia mego, jeśli brata mego zachowasz dla mej drogiej matki.“

Prośba dziecięcej i braterskiej miłości została wysłuchana. Dziecko wyzdrowiało.

Jednego dnia żegnał się oficer z matką, objawiając jej ślub uczyniony.

— Oto mój miecz, rzekł; daj go memu bratu, kiedy przyjdzie do lat; może go będzie potrzebował. Ja zaś chcę spełnić przyrzeczenie Bogu uczynione; chcę dzieci w jego wieku uczyć, jak mają Boga, jego świętą Matkę, ojczyznę, cnotę i niewinność miłować.

Matka rzuciła się w objęcia syna, uści-

skała i pobłogosławiła go. Ach, teraz poznała, że tego więcej miluje. Użyła wszelkich środków, by odwieść go od tego zamiaru; lecz napróżno. Młody oficer tak przekonywująco i z takim zapałem mówił o obowiązku spełnienia ślubu, że się wreszcie spuściła na wolę Bożą i przyniosła ofiarę, jakiej Bóg od niej żądał.

Oficer więc odjechał, aby spełnić przyrzeczenie. Obecnie jest tenże w kongregacyi „braci szkolnych.“ (Eichsf. Volksbl.).

Co za miłość dziecięca!

W Gumpendorf pod Wiedniem, żyła niedawno para podeszłych małżonków. Dotychczas utrzymywała ich córka, która zatrudniona była jako buchalterka przy papierni. Skoro interes upadł, zamknięto papiernię, a poczciwa dziewczyna utraciła posadę. Nie było tedy środków wyżywienia rodziców. W tym celu sprzedała już piękne swe włosy fryzyerowi, a teraz nie wiedziała, co ma czynić. Wtem wpadło jej na myśl, że ktoś jej powiedział, iż sławny dentysta w Wiedniu, płaci za każdy zdrowy przedni ząb 30 reńskich, pod warunkiem, że go sam wyjmie.

Dziewczyna miała piękne, zdrowe zęby; nic tedy nie mówiąc rodzicom, poszła do owego dentysty. Ten usłyszawszy, z jakiej przy-

czyny chce taką z siebie uczynić ofiarę, aż do łez wzruszony został. Nietylko, że jej zęba nie wyrwał, ale nadto darował jej 100 reńskich, z któremi pełna radości, do rodziców pobiegła.

Nazajutrz przybył do nich ów lekarz i prosił o rękę córki, mówiąc, że nie da sobie wyrwać takiego klejnotu ofiarnej miłości dziecięcej. (Eichsf. Volksbl.).

Modlitwa matki.

Przed kilku laty popadł jedynak, syn pewnej wdowy w Anglii, w bardzo złe towarzystwo. Napomnienia matki, starającej się odciągnąć go od tegoż, nic nie skutkowały. Gdy pewnego razu spostrzegła, że syn zamierza znów w zwykłem sobie otoczeniu wybrać się na pohulankę i pijatykę, usiłowała powstrzymać go od tego, ale nadaremnie! Syn odpowiedział na łzy i błagania matki w najobojętniejszy sposób:

— Nie zatrzymuj mię, matko, idę tam pomimo tego wszystkiego, co mi mówisz!

Na to odrzekła biedna matka:

— A zatem wiem już, co mi należy uczynić. Zamknę się w swoim pokoju, rzucę się przed Bogiem na kolana i póty nie przestanę się modlić, dopóki cię znów nie zobaczę.

Syn poszedł, gdzie miał iść, lecz po raz

pierwszy w życiu nie doznał tam żadnej przyjemności. Obraz matki klęczącej wśród bezsennej nocy na twardej podłodze, cisnął mu się coraz żywiej przed oczy, aż wreszcie postanowił zobaczyć, co się z nią dzieje. Przyszedłszy, zastaje ją jeszcze czuwającą i na kolanach; klęka tedy obok niej, rzuca się jej na szyję, dziękuje Bogu za tak dobrą matkę i odtąd postępuje z nią razem po drodze, wiodącej do nieba. (Filotea).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
X. Łaszczyk T. J.

L. 3141.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.
Kraków 26 Sierpnia 1890.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

IV^te Przykazanie.

Jakie wychowanie — takie dzieci.

Ojciec i syn.

Było to w sobotę wieczór — gotowałem się do kazania, gdy mnie służąca jakaś zawezwała do chorego, a co mnie jeszcze więcej zadziwiło, że do pensyonowanego radcy pana S. Wiadomo było wszystkim, że pan S. był niedowiarkiem, że codzień szydził z religii i jej sług. Najwięcej na tem cierpiała jego małżonka, osoba prawdziwie pobożna i bardzo wykształcona, która z heroiczną cierpliwością złe nawyknienia i kaprysy męża swego znosiła i wszelkich dokładała starań, aby go przywieść do upamiętania, a przynajmniej zniweczyć zgubny wpływ jego na dzieci. Znała ona dobrze przed zamążpójściem te złe jego przymioty; nieraz ją upominano, aby szczęścia swego nie powierzała człowiekowi bez wiary — ale ona miała na-

dzieję, ponieważ w niektórych rzeczach dał się jej powodować, że go i z niewiary uleczy. Ja sam przed kilku laty miałem nieprzyjemne zajście z panem S.

Syn jego, który wtenczas chodził do szkoły parafialnej, przez ciągłe złe zachowywanie się w kościele, zmusił mnie, gdy żadne upomnienia nie skutkowały, żem go surowo musiał ukarać.

Tym moim postępkiem tak się postępowy ojciec oburzył, że w długim i obrażającym liście dobrze mnie wyłajał, ucząc, jak mam dzieci wychowywać i raz na zawsze oświadczając, że nie chce syna swego na „Kapucyna“ wychować. I nie wychował go też na „Kapucyna.“

Przed kilku tygodniami czytałem w gazecie, że syna wysokiego niegdyś urzędnika, za haniebny postępek do więzienia wtrącono, a wskutek tego ojciec jego został paraliżem tknięty.

Ojcem tym był pan radca S., a zbrodniarzem — godny jego synalek, który nie został „Kapucynem.“

Z tego łatwo się można domyśleć, że się bardzo zdziwiłem, gdy mnie do pana S. wezwano i zdziwienie to słudze okazałem.

— Mój Boże, odrzekła sługa, pan nawet nie wie, że mnie po księdza posłano; tylko żona pana radcy posyła mnie i każe usilnie

prosić, aby ksiądz Dobrodziej jak najprędzej przyszedł.

Więc w imię Boże wziąłem Najśw. Sakrament i Oleje święte i udałem się do chorego.

W górze na schodach stał z miną surową sługa więzienny; towarzyszył on synowi pana radcy, gdyż na usilne prośby matki, pozwolono mu pożegnać się z umierającym ojcem.

Wstępuję do pokoju chorego — jakiż widok! Ojciec, radca S., siedział z widocznem sił wytężeniem na łóżku; oczy jego płonęły gniewem. Przed łóżkiem stał syn, bezwstydnie ręce trzymając w kieszeniach, oczy spuścił ku ziemi — a rysy twarzy boleść i gniew wyrażały. Obok klęczała matka, blada jak ściana, zalana łzami, wyciągając ręce złożone ku choremu.

— Ojcze, mężu! — wołała głosem pełnym boleści; na miłość twej duszy błagam cię, nie opuszczaj tego życia, nie przebaczywszy twemu dziecku! Zlituj się przynajmniej nademną — bo mi serce pęknie!..

— Niegodziwcze! jęczał chory — i ty się ważysz na oczy mi się pokazać, skoroś mi hańby i wstydu narobił i do grobu mnie wtrącił? Precz odemnie! Już nie masz we mnie ojca! Tobie przebaczyć?.. Przeklinam cię!...

Wtenczas syn podniósł oczy i ponurym wzrokiem, pełnym gniewu i pogardy, rzucił

na ojca. Mnie na ten widok krew w żyłach się ścięła.

— Tak jest, tegom się mógł spodziewać, rzekł; boś ty i za życia nie był dla mnie ojcem, tylko przekleństwem!

Nagle zmnieniły się rysy i głos jego — i podczas gdy łzy z oczu jego płynęły, mówił dalej:

— Przez twoją winę stałem się zbrodniarzem, tyś jest przyczyną mego nieszczęścia! I ty mnie jeszcze przeklinasz? O, gdybym był matki słuchał!.. Ojcze, ojcze! jabym raczej ciebie powinien przeklinać, jak ty mnie!

Gdy syn to mówił, ojciec ściskał pięści z gniewu — strasznie zakaszlał — mało się nie udusił.

Jam dał znak synowi, by się oddalił — a matka pociągła go płaczącego do przyległego pokoju. Przystąpiłem wtedy do łoża chorego. Kaszel ustał, a nieszczęsny ojciec opadł osłabiony na poduszki i zamknął oczy.

Co się wtenczas działo w mem sercu, tego opisać nie mogę. Ukląkłem przy łożu, przycisnąłem bursę z Najśw. Sakramentem do piersi i błagałem Zbawiciela przez Jego nieskończoną miłość i miłosierdzie, aby tym dwom nieszczęśliwym duszom dał pokój serca. Za kwadrans może ocucił się chory z osłabienia i otworzył oczy. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem i rzekł z niechęcią utajoną:

— Księże proboszczu, kto księdza wołał? Czego ksiądz tu chce?

— Przynieść panu chcę pociechę od Boga, której pan teraz tak bardzo potrzebujesz — odrzekłem z łagodnością i spokojem.

— Dajmy temu pokój teraz — rzekł zniecierpliwiony; ja każę jutro zawołać księdza.

— Jutro! rzekłem poważnie; jutro panie radco, będzie za późno. Pan sam czujesz, że koniec się zbliża. O, błagam pana, nie gardź pociechą religii. Stoisz pan u wrót wieczności, a straszliwą jest rzeczą wstąpić w nią, nie pojednawszy się z Bogiem. Oto ostatnia godzina, w której Zbawiciel panu łaskę swą ofiaruje; wkrótce staniesz pan przed Nim, jako Sędzią!

Spojrzał na mnie osłupiały i milczał. Ale ja spostrzegłem, iż w duszy jego toczy się walka.

Po chwili rzekł drżącym głosem:

— Ksiądz widzisz... księże proboszczu, że przy tak wielkiem osłabieniu, nie jestem w stanie....

— Panie radco, przerywając mu rzekłem, bądź pan spokojny — moja pomoc wszystko panu ułatwi, a i Pan Bóg ze swej strony pomoże.

I znowu milczał chwilę. Nareszcie rzekł odważnie:

— Więc niech będzie w imię Boże! Ale proszę księdza proboszcza na miłość Bożą,

miej ksiądz cierpliwość; bo ze mną jest źle, bardzo źle.

Podałem mu napój ochładzający i usiadłem przy nim na łóżku.

Z przyległego pokoju słyszałem bez przerwy łkanie syna i głośną modlitwę matki. Całą godzinę słuchałem go spowiedzi; aniołowie w niebie obchodzili wesołą uroczystość.

Po skończonej spowiedzi poszedłem do przyległego pokoju, by domowników i kościelnego zawołać. Żona spojrzała na mnie wzrokiem pytającym; oblicze moje rozpromienione, wszystko jej powiedziało. Ująłem syna za rękę i poprowadziłem go do łoża chorego. Ojciec wyciągnął ku niemu rękę — mówić nie mógł ze wzruszenia, a syn ze łzami przycisnął ją do ust. Potem z uśmiechem podał chory rękę żonie, której oblicze jaśniało anielską radością.

Podczas, gdy wszyscy klęcząc, w cichej modlitwie byli zatopieni, podałem choremu wiatyk i udzieliłem mu ostatniego namaszczenia. Skończywszy modlitwy, jeszcze raz ku niemu się zwróciłem; właśnie otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, gdy nowy napad kaszlu nie dał mu mówić. Podtrzymywałem go rękoma; uchwycił szybko moją rękę i trzymał ją mocno — jego ręka była zimna — za kilka minut już nie żył.

Gdym przed stołem, na którym stał kru-

cyfiks między dwiema świecami, ukląkł i zaczął się modlić: „Módlmy się za duszę, co teraz wyszła z ciała!“ wszyscy w głos zaczęli płakać. Gdym skończył słowy: „Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a nam wszystkim łaskę życia pobożnego i szczęśliwej śmierci“ — syn głośno łkając, rzucił się w objęcia matki, i tam na tem poczciwem sercu macierzyńskiem, któremu tyle sprawiał zgryzoty, złożył świętą obietnicę poprawy życia. Ja zaś oddaliłem się niepostrzeżony.

Zmiana usposobienia młodego tego człowieka, wywarła korzystny wpływ na przebieg sprawy; sam oskarżyciel starał się sprawie tej taki nadać obrót, że wyrok zapadł łagodny, bo tylko na miesiąc więzienia.

Po odsiedzeniu kary, wyjechał na kilka lat za granicę. Przed odjazdem nieraz mnie odwiedzał, a całe jego postępowanie wiele mi pociechy sprawiało. Czas następny dowiódł, że poprawa jego była szczera i trwała (Eichsf. Volksbl. Nr. 29, 1889).

Kogo więcej miłować?

Czytamy w „Osservatore cattolico“ z roku 1885 następujące zdarzenie:

Piętnastoletnia panienka, córka szlachetnej rodziny, spotkała przypadkiem w pewnem towarzystwie katolickiego kapłana, który

w swojem świętem powołaniu już się zestarzał. Uprzejmość i dobroć sługi Chrystusowego, podziałały jak magnes na umysł i serce dziewicy tak, że się z nim wdała w rozmowę i prosiła go o pouczenie i rozwiązanie pewnych wątpliwości w niektórych artykułach wiary. Oświecona i łaską Bożą tknięta, zapragnęła przyjąć wiarę katolicką — była bowiem protestantką.

Ojciec jej zajmujący wysoki stopień w armii angielskiej, zostawał natenczas w Indyach. Od matki nowonawrócona nie miała prawie nic do cierpienia, tem bardziej, że odtąd stała się daleko posłuszniejszą i większą cześć jej okazywała.

Przez wiele tygodni opływała w istotne rozkosze z powodu swego szczęścia, gdy dnia jednego nadchodzi list, w którym ojciec powrót swój oznajmia.

Wiadomość ta z początku przeraziła ją, znała bowiem fanatyzm ojca w swej wierze. Lecz wkrótce uspokoiła się, gdyż radość z powrotu drogiego ojca, rozprószyła wszelką bojaźń. Już późno wieczór powrócił ojciec. Skoro tylko po zwykłych przywitaniach dowiedział się o postępku córki, natychmiast wpadł w niepohamowany gniew i pomimo łez córki, wypędził ją w nocy z domu.

Północ była, a przytem zima. Od ziemskiego ojca odtrącona, mogła teraz tem słuszniej modlić się: *Ojcze nasz, któryś jest*

w niebie. W tem smutnem położeniu nie pozostawało jej nic innego, jak odszukać mieszkanie owego kapłana, który się stał jej ojcem duchownym. Przebiega wiele ulic i zemdlona, przychodzi do domu kapłana. Puka — ale nikt nie wychodzi, by jej otworzyć. Puka i puka — aż po godzinie może otwierają się drzwi i wychodzi sędziwy kapłan, zapytując, czegoby sobie życzyła.

Drżąca od zimna, boleścią i cierpieniem złamana, nie mogła słowa przemówić. Staruszek kazał ją natychmiast do pobliskiego klasztoru Sióstr: „Dobrego Pasterza“ zaprowadzić, gdzie ta biedna istota nietylko bardzo uprzejmego przyjęcia, ale także macierzyńskiej doznała opieki. W gronie tych aniołów dobroci cierpienie jej wkrótce się ukoiło. Czuła się nader szczęśliwą, a nawet została przyjętą do zgromadzenia.

Ale zajście owo w zimowej nocy, nadwerężyło jej zdrowie. Wysłano ją dla pokrzepienia sił na stały ląd; ale już po kilku miesiącach z anielską cierpliwością, życie ziemskie na niebieskie zamieniła. Kochała rodziców — ale więcej Boga.

Jak się zachować przy śmierci syna?

— Przed kilku dniami, opowiada pewien kapłan, byłem w domu, w którym umarł

20-letni młodzieniec, bardzo kochany przez rodziców.

Pomodliwszy się przy zwłokach zmarłego, chciałem kilkoma słowy matkę zgasłego pocieszyć. Ale ona pociechy nie potrzebowała.

— Wielebny ojcze, rzekła — już od czterech miesięcy patrzałam na wielkie cierpienia mego syna. Już od dawna wiedziałam, że na tę chorobę nie ma lekarstwa. Przy wszystkich modlitwach, które albo sama odprawiałam, albo o które innych prosiłam, robiłam intencyę, aby mu Bóg tego użyczył, *co mu posłuży do zbawienia duszy.*

Nieboszczyk miał zamiar udać się do stolicy i tam kilka lat spędzić, aby się w swoim zawodzie wydoskonalić. Obawiałam się tego bardzo, widząc smutne przykłady wielkomiejskiego życia. Nieraz w cichości zadawałam sobie pytanie: W jakim też stanie duszy powróci on do domu?

Teraz jestem uspokojona — widziałam go, jak się udał do nieba!

Tak mówiła zacna, bogobojna matka.

Najlepiej uczyć przykładem.

I.

Anusia siedziała w kącie izby i bawiła się lalką. Nakrycie do kawy stało na stole, a matka właśnie podówczas wyszła, dając

jej kawałek cukru. Anusia chciała jednak widzieć, czy cukier jest na stole; a gdy zobaczyła pełną cukierniczkę, pociągnęła obrus tak daleko, aby kawałeczek z cukierniczki wziąść mogła. Tylko jeden mały kawałeczek — pomyślała, tego matka przecież nie spostrzeże.

Skoro matka wróciła, natychmiast spostrzegła, że obrus był pomięty.

— Anusiu, tyś to ruszała?

Dziecko milczało.

— Anusiu, zawołała matka gniewnie — wiesz przecież, że Pan Bóg wszystko widzi i słyszy. On kocha dziatki dobre i bierze je do nieba; ale złemi się brzydzi. Powiedz prawdę?

Dziecko bawiło się lalką i czekało na sposobność. Nagle upuściło lalkę, złożyło rączki i zawołało:

— Tak jest.

— To ładnie, kochane dziecię, odrzekła matka; powinnaś zawsze prawdę mówić. Na ten raz nie ukarzę cię, ale przyrzecz mi, że tego już nigdy więcej robić nie będziesz.

— Nie, kochana mamo!

Anusia bawiła się dalej i powtarzała lalce swojej, że nie trzeba kłamać, bo inaczej gniewałby się Pan Bóg w niebie.

Wtem weszła służąca, oznajmiając, że pani M. z córką, przyszła z wizytą.

— Ach, obrzydłe plotkarki — mruczała matka Anusi.

— Obrzydłe plotkarki — szeptała sobie Anusia.

Skoro panie weszły, wybiegła matka naprzeciw z radosną miną.

— Ach, jakże się cieszę! Jak pani dobrze wygląda — a córeczka każdego dnia milszą. Proszę siadać, proszę się rozgościć; panie wiecie, jak lubię z wami rozmawiać.

Anusia położyła lalkę na boku i wytężyła wielkie oczy na mamę, która teraz plotkarki za dobre i piękne uważała.

Gdy się wizyta wpośród różnych oświadczeń grzeczności skończyła, westchnęła matka:

— Bogu dzięki!

Anusia rzekła: mamo?

— Czego chcesz?

— Czy mama lubi te „plotkarki?“

— Będziesz ty cicho, czy nie? zaraz ci każę pójść spać!

Nazajutrz spostrzegła matka w kuchni skorupy z garnka, w którym się syrop znajdował. Któżby go mógł inny rozbić, jak nie łakoma Anusia? Poczęła więc badać dziecko; prosiła i groziła, wspominała na gniew Boski, ale Anusia wyparła się stanowczo.

II.

Trzynaście lat minęło, gdy młody pewien człowiek oświadczył się o rękę Anusi. Po-

nieważ był bogaty, wyszła za niego tylko z rozkazu rodziców, i przysięgła mu kłamliwie miłość przed Bogiem i ludźmi, bo serce jej już dawno do innego należało.

Minęło lat kilka wśród szczęścia i nieszczęścia, wśród blasku i wytworności. Wtem jednego dnia przyszedł Karol (tak się zwał mąż Anusi) do jej rodziców potajemnie i tak narzekał:

— Wszystko się skończyło!... Oto przez nią majątek zrujnowany, serce złamane! Okłamała mnie i oszukała! pierwsze oświadczenie jej miłości, było podłem kłamstwem.

— Wstydź się! odrzekła rozgniewana matka; jak możesz o mej córce coś podobnego mówić. Wszakże wychowaliśmy ją surowo, jak na prawdziwą chrześcijankę przystoi — a mianowicie zaprawialiśmy ją wcześnie do zamiłowania prawdy. Od dzieciństwa wpajaliśmy w nią, że Bóg kłamstwem się brzydzi i takowe karze. Od nas uczyła się mówić prawdę, i sama mówiła zawsze prawdę, zkąd pochodzi wasze nieszczęśliwe pożycie małżeńskie. Oto ztąd, żeś rozrzutny, że się nie znasz na interesie i żeś bardzo zazdrosny!

III.

I znowu upłynęło lat kilka, a na tych samych schodach, po których niegdyś biegała wesoła Anusia, widziano słabą, wątłą, bladą niewiastę. Niewiasta ta wszedłszy do rodzi-

ców (była to Anusia), padła jakby zemdlona na ziemię. Przed zgonem wyznała całą winę swoją. Ze zdziwieniem i smutkiem stanęli rodzice przed strasznym obrazem zniszczonego życia, które już ulatywało.

— Ach, jak mogłaś tak wbrew prawdzie postępować? zapytała matka. Gdzieś się nauczyła takiej złości?

— U was! była odpowiedź.

— U nas?.. bezbożne dziecko! A czyż to nie uczyłam cię od kolebki, jak P. Bóg kłamstwo karze?

— Postępowałam za przykładem waszym. Oby tylko Bóg raczył mnie i wam przebaczyć!

Tak matka była przyczyną tego nieszczęścia swej córki; zachęcała ją wprawdzie słowem do dobrego, ale cóż, kiedy ją przykładem kłamstwa uczyła.

Matki, uczcie się z tego przykładu, który niestety, dość często w rodzinach się powtarza, jak macie córki swe wychowywać, abyście podobnego losu nie doznały, jak ta nieszczęśliwa matka. Nie tak słowem, jak raczej przykładem dobrym zachęca się dziatki do cnoty i życia bogobojnego.

Jak poprawiać błędy dzieci?

Radca dworu S., sławny profesor w Monachium, opowiada następujący wypadek z swoich lat dziecinnych:

— Jednej niedzieli po południu stałem będąc sześcioletniem dzieckiem, na małym pagórku przed kościołem, gdy nadbiegła gromada wesołych chłopców, i zawołali na mnie:

— Chodź z nami Henryku, narwiemy narcyzów.

Nie dałem się dwa razy prosić; jakiś większy chłopiec wziął mnie za rękę i pobiegliśmy razem. Przebiegaliśmy ogrody sąsiednie, a w końcu przekradliśmy się przez płot do ogrodu powroźnika, gdzie było pełno narcyzów. Narwaliśmy ich do woli, a ponieważ jedni dla mnie rwali, inni ze swoich mi udzielili, powróciłem więc pod wieczór do domu z pękiem kwiatów, który ledwie udźwignąć mogłem.

Matka spojrzała na mnie surowo i zapytała:

— Zkąd masz te kwiaty, Henryku?

— Narwaliśmy je w ogrodzie powroźnika, odrzekłem.

Matka nic nie odpowiedziała i wcale się temi kwiatami nie ucieszyła.

Nieco zmięszany, poszedłem do pokoju; tu ojciec siedział i czytał. Spojrzał na mnie

i na narcyzy surowo. Już mi obmierzł wtenczas mój cały bukiet, już mi pachniał grzechem; chętnie bym go był rzucił daleko od siebie — ale przed takim wzrokiem ojca, nie ważyłem się. Położyłem zatem kwiaty w sam kącik na moim stoliczku. Ojciec przypatrywał mi się uważnie.

— Chodź do mnie Henryku! rzekł.

Ja przyszedłem.

— Zkąd masz te narcyzy?

Zamilkłem mocno zarumieniony. Wreszcie wybełkotałem:

— Z naszego ogrodu.

— W naszym ogrodzie nie ma takich narcyzów, rzekł ojciec bardzo surowo — zkąd je masz?

— Sąsiad B. dał mi je.

Ojciec bierze mnie za rękę, przyciąga bliżej do siebie i spojrzawszy mi badawczo w oczy, rzekł:

— Sąsiad B. nie ma narcyzów; powiedz prawdę Henryku — zkądeś je wziął?

Powstrzymując łzy, przyznałem się do wszystkiego.

Wtenczas rzekł ojciec:

— Kiedy ci Karol (syn sąsiada) niedawno wziął piłkę, było ci to miło?

— Nie!

— Gdyś go o nią pytał, a on powiedział, że jej nie wziął, i gdy chciał wmówić w ciebie, żeś ją sam wrzucił do stawu — a tyś

ją przecież nazajutrz u niego zobaczył — czy ci się to podobało?

— Nie!

— Tak ci się to nie podobało, żeś zaczerwieniony przybiegł do mnie i prosiłeś, abym Karola kijem obił, bo Karol jest bardzo zły chłopiec i skłamał. Ja ci zaś odpowiedziałem:

Henryku! uważaj i proś Boga, abyś sam w taki grzech nie wpadł.

— Zresztą, dopiero przedwczoraj mówiłeś mi, że pan nauczyciel powiedział, iż bardzo pięknie nauczyłeś się dziesięcioro przykazań; powiedz no mi siódme!

— Nie będziesz kradł — odpowiedziałem.

Ojciec powtórzył jeszcze raz przykazanie, wyjaśnił mi je i tak dalej mówił:

— Piłka, którą ci Karol wziął, była twoja, nie Karola; skoro on ci ją pokryjomu zabrał, powiedz mi, co on wtedy zrobił?

Ja odpowiedziałem po cichu:

— Ukradł.

— Narcyzy w ogrodzie powroźnika były jego, nie twoje; gdyś je bez wiedzy i woli powroźnika skrycie wziął, powiedz, coś wtenczas uczynił?

Przeląkłem się i z trudnością wyjąkałem:

— Ukradłem.

— Gdy Karol mówił, że nie ma twojej piłki, żeś ty sam ją rzucił do stawu, a jednak ją miał — wtedy skłamał. Tyś się za

to bardzo rozgniewał i słusznie; bo kłamstwo jest szkaradnym grzechem i wielką hańbą. Zbawiciel nasz szatana nazywa ojcem kłamstwa. Gdym cię przedtem pytał, skąd masz te narcyzy, a tyś mi mówił, że to z naszego ogrodu — a potem, że ci je sąsiad dał — coś wtenczas uczynił?

Nie chciałem tego słowa wypowiedzieć — chciałbym był jakieś milej brzmiące słowo znaleźć; ale ojciec napierał na mnie i musiałem odpowiedzieć:

— Skłamałem.

Ojciec mówił dalej:

— Skłamałeś przedemną, twoim ojcem, który cię tak kocha; ale czyż ty nie wiesz, że gdziekolwiek jesteśmy i cokolwiek czynimy, Bóg jest obecny i widzi nas, i oczy Jego aniołów są na mnie i na ciebie zwrócone? Więc nietylko przedemną, twoim ojcem, ale także wobec Boga i aniołów Jego skłamałeś i ukradłeś; dlatego dziś i jutro i często módl się tak do P. Boga:

„Ach drogi Jezu! zgrzeszyłem bardzo przed Tobą! Ukradłem i okłamałem ojca mego. Przebacz mi tę winę i daj mi Boże, serce czyste i daj mi łaskę, abym nigdy takiego grzechu nie popełnił.“

Wtedy bardzo się rozpłakałem, a ojciec rzekł:

— Płaczesz gorzko — i dobrze robisz, bo grzech jest gorzki. Pan Bóg to okazuje przez

kary, jakie za grzechy nałożył. Dziatki karze Bóg ręką rodziców, aby pamiętały, jak gorzki jest grzech. Tam przy zegarze jest pręt; przynieś mi go!

Przyniosłem go i odebrałem zasłużoną karę; ale ta kara nie bolała mnie tak, jak przeświadczenie, żem Boga i ojca mego okłamał i oszukał.

Odtąd kłamstwo było mi wstrętne. Nieraz, gdym potem zbłądził, a ojciec mnie chciał karać, zawszem się przyznał do wszystkiego, a on mówił:

— Ponieważ jesteś szczery i swe błędy wiernie wyznajesz i za nie żałujesz, jeszcze ci na teraz daruję. (Eichsf. Volksbl.).

Pierwsza Komunia.

Pan Roch, kat paryski i na wskróś wierzący katolik, był raz w kółku przyjaciół zapytany, czy mu się w czasie jego smutnego urzędowania nie wydarzyło spotkać człowieka, któryby dopiero przed śmiercią do pierwszej Komunii przystępował.

— To mi się wydarzyło, rzekł p. Roch.

Wszyscy umilkli, a pan Roch tak zaczął mówić:

— Był to wysoki, młody człowiek, z czarnemi oczyma, które wywierały silne wrażenie. Był łagodny i rozmowny, przynajmniej

w przededniu swej pierwszej Komunii i chętnie się zwierzał. Mówił, że dopiero w więzieniu nabrał dobrego humoru — że dawniej był ponury i w sobie zamknięty.

Posłuchajcie więc, co mi o swem życiu opowiedział:

— Nie urodziłem się na to, aby na rusztowaniu życie swe zakończyć. Bóg dał mi wszystko, co było potrzebne, aby ze mnie uczynić poczciwego człowieka. Cała tajemnica moich zbrodni leży w tem, że nie przystąpiłem do pierwszej Komunii. Ojciec mój zatopiony był cały w polityce. Przypominam sobie tylko, że chciał dla mnie szkoły bezwyznaniowej — bez kapłana i bez religii.

Mając lat 12, chciałem się zapisać także na naukę religii; lecz ojciec mój zakazał dyrektorowi szkoły, aby tej mojej „głupoty“ nie słuchał.

Jednego dnia przyszedł ksiądz katecheta do szkoły. Mąż Boży ujrzawszy mnie, zapytał:

— A ty, moje dziecię? Jeszczem cię nie widział. Czy ty nie chodzisz na katechizm?

— Mój ojciec nie chce; papa mówi, że to są „głupstwa“, odrzekłem z dumą.

— Ale czyż twój ojciec nie przystępował do pierwszej Komunii?

— Ojciec mówi, że przystępował, ale że to niepotrzebne dla chłopca — gdyż dosyć jest, jeśli będzie uczciwym republikaninem.

— Czy mógłbym się widzieć z twoim ojcem? i o której godzinie?

— Codzień o 8-ej wieczór.

Moja matka, której tę rozmowę opowiedziałem, milczała — nigdy się ojcu nie sprzeciwiała.

— Niech ojciec robi co chce — było jej jedyną odpowiedzią.

Około ósmej godziny wieczór serce biło mi gwałtownie; patrzałem przez okno i ujrzałem księdza katechetę nadchodzącego. Otworzyłem mu drzwi — on mnie pogłaskał uprzejmie po twarzy i wyjawił mej matce cel swego przybycia.

— Niech ojciec robi co chce — brzmiała znowu odpowiedź.

Nareszcie przyszedł ojciec, i zamknął się z księdzem w swoim pokoju. Przyłożyłem ucho do dziurki od klucza i słyszałem wszystko.

— Dlaczegoż pan nie chcesz, aby synek przyjął Komunię świętą? To chłopiec otwarty, rozumny i jak mi się zdaje, pełen zapału. Jeśli pan dopuścisz, by wyrósł bez religii, bez miłości ku Bogu i swoim obowiązkom, bez hamulca i wędzidła na budzące się namiętności, to pan pracujesz nad jego zgubą.

Lecz ojciec powtarzał to samo, co mówił do mnie i w żaden sposób nie chciał usłuchać kapłana, tak, iż ten wstał i odchodząc,

rzekł te słowa, które do dziś dnia jako jęk boleści, brzmią w duszy mojej:

— Pozwól sobie pan powiedzieć, żeś jest najokrutniejszym wrogiem szczęścia swego dziecka. Pewnego dnia staniesz się pan nieszczęśliwym przez swe dziecko, a winowajcą pan jesteś.

Ze smutkiem odszedł kapłan, choć dla mnie był równie uprzejmy jak przedtem.

Od tego czasu zacząłem szydzić z moich kolegów, nikogo nie szanowałem. W trzy lata później opuściłem dom ojcowski dlatego, iż mi raz ojciec wyciął policzek. Przyłączyłem się do bandy nicponiów i żyłem z małych kradzieży.

Miałem lat 17, gdym się dostał w ręce policyi. Ponieważ mi nic ciężkiego nie było można zarzucić, oddano mnie do domu poprawy, abym się nauczył jakiego rzemiosła. Tu zapoznałem się z dwoma przyjaciółmi, którzy gorsi byli odemnie. Pomimo ścisłego dozoru, udało nam się umknąć. Jest temu dwa lata; miałem lat 19. Od tej chwili żyłem z kradzieży i rabunku. Przy ostatniej wyprawie bronił się właściciel. Zraniłem go śmiertelnie, ale on miał jeszcze tyle siły, że zawołał o pomoc. Byłem krwią zbroczony; schwytano mnie. Skazano mnie na śmierć i dobrze zrobiono, bom ja sto razy na śmierć zasłużył.

— Czy pan się dziwisz temu?

— Z pewnością odrzekłem; rzadko, bardzo rzadko uznają się skazańcy winnymi.

On zaś tak mówił dalej:

— I jabym może także tak mówił, jak oni, gdyby mnie więzienie zupełnie nie zmieniło. Gdym przekroczył próg więzienia, byłem jako szalony — przysięgałem, bluźniłem, przeklinałem Boga i ludzi.

Wtem otworzyły się drzwi więzienia — wszedł czcigodny kapłan. Był to ten sam, który na ojca mego tak bardzo nalegał, abym przystąpił do Komunii św.

— Jakże mój przyjacielu, rzekł stanowczym ale łagodnym głosem, jesteś chrześcijaninem; zapewne przystąpiłeś godnie do pierwszej Komunii?

— Przepraszam Cię, ojcze czcigodny, czy można ją i w więzieniu przyjąć?

— Bez wątpienia, odrzekł kapłan, i dał mi katechizm.

O jakaż to śliczna książka, mój panie, jak cudne modlitwy.... Gdybym ja to był pierwej wiedział! A jakież miał serce ten kapłan! Patrz pan na ten krucyfiks na ścianie. Zdaje mi się, że ja tu sam jeden posiadam obraz Zbawiciela Ukrzyżowanego. Jaka szkoda, że się ten obraz nie wszędzie znajduje! Wierz mi pan, że się już na nikogo nie gniewam; nie przeklinam ojca mego, ale cieszę się tą myślą, że się nawróci od swej bezbożności, która dla mnie tak

smutne miała następstwa. Modliłem się za niego... lecz oto już ksiądz nadchodzi — jeszcze ostatnich kilka słów z nim pomówię, i obaczysz pan, że mi pozwoli przyjąć Komunię świętą.

Tu skończył swe opowiadanie ów młodzieniec. Ja zaś od siebie dodam, że był on przedmiotem uszanowania dla wszystkich.... W piątek nic nie jadł, bo jak mówił, wstydzi się, że jeszcze nic nie cierpiał dla tego Boga, który go Krwią swoją odkupił.

W ostatnim dniu życia swego chciał się jeszcze komunikować. Byliśmy wszyscy na Mszy świętej, podczas której klęczał i jeszsze długo się modlił po Mszy św. Potem jadł śniadanie z apetytem, był szczęśliwy, prawie wesoły. Z każdym oprawcą mówił łaskawie. Gdy któryś z nich zapłakał, on rzekł:

— Płakać nad takim nędznikiem, jak ja?! Jeśli mnie Pan Bóg jak dobrego łotra przyjmie do raju, to o wszystkich was będę pamiętał. Tymczasem proszę o maleńką modlitwę za mordercę.

Do dziś dnia odmawiam za niego *Zdrowaś Maryo*. Na progu więzienia rzekł do mnie:

— Nie jest tak ciężką rzeczą, w 21. roku życia umierać, jeśli się śmierć jako zadośćuczynienie za grzechy przyjmuje.

Kapłan towarzyszył mu aż na rusztowanie,

gdzie go po kilka kroć ucałował, a kat zadając mu cios śmiertelny, rzekł:

— Dziecko skruchy, idź do lepszego życia. (Eichsf. Volksbl.).

Los jedynaka.

Przed wielu laty szedł pewien włoski malarz przez ulicę ojczystego miasta swego zmartwiony i zrozpaczony, wskutek smutnych stosunków majątkowych.

Zatopiony w myślach, ujrzał nagle przed sobą małego chłopczyka tak prześlicznej urody, że o własnych kłopotach zapomniawszy, z podziwem na anielską twarz chłopięcia spoglądał.

— Taką twarz chciałbym mieć w mojej pracowni — rzekł do siebie, a potem do chłopczyka:

— Czy chcesz pójść do mego pokoju, iżbym cię odmalował?

Chłopiec poszedł i cieszył się obrazami, modelami i różnemi dziwnemi rzeczami, jakie widział w pokoju malarza, i zdziwił się jeszcze bardziej, gdy ujrzał, jak drugi chłopczyk zupełnie taki jak on, z płótna mistrza doń się uśmiecha.

Wiele lat od czasu tego upłynęło. Nieraz, gdy malarz na ten obraz spoglądał, pytał sam siebie: Co też z tym ślicznym chłopcem się stało?

— Chciałbym widzieć, jak on też teraz wygląda? nie wiem, czybym go poznał. Czy też z niego uczciwy człowiek, czy może jaki urwisz i niepoń? Czy żyje — albo może już umarł i do lepszego życia się przeniósł?

Gdy więc razu pewnego malarz szedł jedną z pięknych ulic tegoż miasta, ujrzał przed sobą młodego człowieka, którego oblicze było tak szpetne i prawie szatańskie, że mimowoli zatrzymał się i z uwagą mu się przyglądał.

— Co za widok! Chciałbym to oblicze odmalować i w mojej pracowni obok tamtego ślicznego, anielskiego chłopczyka umieścić — pomyślał sobie.

Młody ów człowiek prosił malarza o jałmużnę. Ten zaś odpowiedział:

— Chodź pan ze mną do pracowni i pozwól się odmalować, a zapłacę panu, ile zechcesz.

Młody człowiek usiadł w pracowni. Gdy już szkic był skończony, powstał, by odejść, gdy wtem wzrok jego padł na obraz ślicznego jak anioł chłopczyka.

Przyglądał mu się zbliska... nagle zbladł i wybuchnął głośnym płaczem.

— Co panu jest? zapytał malarz.

Za chwilę dopiero mógł ów młody człowiek przyjść do słowa. Szlochał głośno i prawie od zmysłów odchodził. Wreszcie wska-

zał na obraz na ścianie wiszący i rzekł łkając:

— Przed dwudziestu laty prosiłeś mnie pan, abym tu przyszedł siedzieć panu do portretu, a owa twarz anielska była moim doskonałym obrazem... A teraz widzisz mnie pan jako człowieka zrujnowanego, zepsutego, tak odstraszającego, że wszyscy uczciwi twarz swą ze wstrętem odemnie odwracają!

Malarz osłupiał ze zdumienia, i nie chciał oczom swoim wierzyć.

— Ależ, zapytał, zkąd taka odmiana?

Młody człowiek opowiedział mu historyę krótką ale smutną:

— Byłem, rzekł, jedynakiem — i jak już panu wiadomo, bardzo pięknym chłopcem. Rodzice prawie szaleli z miłości ku mnie — na wszystko mi pozwalali, bardzo mnie pieścili i popsuli.

To też gdym podrósł, nie słuchałem ich, stałem się zuchwały i wdałem się pomimo próśb i łez rodziców, w złe towarzystwa i naśladowałem ich w występkach.

Zacząłem grać w karty, aż wszystko przegrałem; niezdolny do pracy a żebrać się wstydząc, zacząłem kraść — aż mnie schwytano i do więzienia wtrącono.

Gdym wyszedł, na nowo dawne rzemiosło rozpocząłem — a jedna zbrodnia pobudzała mnie do drugiej.

Malarz zapłakał z boleści. Zaklinał mło-

dego człowieka, aby porzucił występki i obiecał mu w tej mierze przyjść z pomocą. Ale niestety, już było zapóźno! Wskutek złego i rozwiozłego życia, wpadł w ciężką chorobę i umarł, nim się mógł poprawić.

Między aniołem a szatanem tylko 20 lat występku. (Eichsf. Volksbl.).

Skutki bezwyznaniowej szkoły.

Polberville, chłopiec 14-letni a przytem pierwszy w klasie, zamordował współucznia swego 12-letniego dlatego, że tenże nie chciał mu dać swej nowej czapki, którą Polberville bardzo pragnął posiadać.

Stróż bezpieczeństwa będący w pobliżu, widział tę zbrodnię, acz nie mógł jej przeszkodzić. Młody zabójca stawiony został przed sędziego; wyjątek z przesłuchania okazuje, że nasienie bezbożności, które szkoła i gazety bezbożne nawet w sercach dzieci zasiewają, na bardzo bujną glebę pada.

Sędzia: Dlaczegoś tę haniebną zbrodnię popełnił?

Oskarżony: Bo chciałem mieć jego czapkę, a on mi jej dać nie chciał.

Sędzia: Więc nie wstydziłeś się dla głupiej czapki zabić twego kolegę?

Oskarżony: Czemu miałem się wstydzić, kiedy mnie nikt nie widział?

Sędzia: Czyżeś się nie bał wyrzutów sumienia?

Oskarżony: Sumienia?.. Nigdym go nie widział. Wprawdzie mi nieraz mówiono, że jest jakieś tam sumienie, ale mi go nigdy nie pokazano. Nadto pan inspektor, który przybył z Paryża, powiedział wobec nas wszystkich, że nie trzeba w nic wierzyć, czego się nie widzi, i że ci, którzy się zowią klerykałami, a których teraz zewsząd wyganiają, są wrogami oświaty, dlatego, że inaczej uczą i wierzą.

Sędzia (zmięszany): Ale czyż wam w szkole nie mówiono, że kradzież i morderstwo potępione są przez moralność — że obowiązkiem jest szanować życie i własność cudzą, i że to poszanowanie jest prawdziwą religią?

Oskarżony: To prawda, panie sędzio. Ale mi nigdy nie powiedziano, dlaczego to jest obowiązkiem i jakim sposobem istnieć może jeszcze religia, kiedy już nie ma Boga. Nie mogłem nigdy pojąć, dlaczego pan nauczyciel, któregom o to się pytał, nie mógł mi tego powiedzieć. Jakiś klerykalny pan, stary, złożony z urzędu poborcy, podjął się wprawdzie to mi objaśnić, ale ja go nie chciałem słuchać, gdyż mi powiedziano, że jeśli do niego pójdę, to nie otrzymam świadectwa szkolnego.

Nadto pozwalam sobie, panie sędzio, zrobić uwagę, że w szkole obchodzimy dzień 21 Stycznia, jako dzień śmierci Ludwika XVI, i że nam zachwalają nazwiska Orsiniego, Passanantego i wielu innych królobójców. Również codzień słyszymy pochwały pana ministra C., prefekta S., radcy sądowego L., dlatego tylko, że Jezuitów, Kapucynów, Barnabitów i wszystkich zakonników z ich własnych klasztorów wypędzili — posyłając komisarzy i ślusarzy, aby ci gwałtem furty klasztorne odmykali.

Z tego dla siebie ten wyprowadziłem wniosek, że nie zawsze mamy obowiązek szanowania cudzego mienia i życia, tylko wtenczas, jeśli nam to żadnej nie przynosi korzyści; albo gdy się obawiamy, że sobie tem zaszkodzimy — że zaś możemy kogoś pozbawić mienia i życia, jeśli nam to korzyść przyniesie, i nie potrzebujemy się niczego obawiać.

Dlatego też odebrałem memu współcznio-wi życie, bo mi się podobała czapka jego, którą chciałem mieć, i ponieważ myślałem, że się niczego bać nie potrzebuję.

Sędzia (pocichu): Złośliwy łotrze! widzę dobrze, że to ukryty klerykał! — (Głośno): Dosyć rezonowania — popełniłeś zbrodnię, która na śmierć zasługuje! Niestety, jesteś jeszcze za młody na karę śmierci!

Oskarżony (bezwstydnie): Śmierć?! To właśnie dla mnie najlepsza rzecz! Miałem wuja, który się powiesił, i brata, który się zastrzelił — bo już nie mieli pieniędzy na swe przyjemności, a życie im się znudziło. Jeśli mnie pan sędzia na długi czas do więzienia wsadzi, to uczynię to samo, co wuj i brat uczynili. I cóż na tem stracę? W szkole mi powiedziano, że teraz tylko klerykały wierzą — że ze śmiercią nie wszystko się skończy. Ale ja dobrze wiem, że jeśli umrę, nie więcej cierpieć będę, jak krowa mojej matki, która niedawno zdechła.

Sędzia: Milcz, nędzny zbrodniarzu! i nie powiększaj twej winy wobec społeczeństwa.

Oskarżony: Społeczeństwa? Co mnie ze społeczeństwa? Jam jemu nic nie winien. Przedewszystkiem nie wiem, co to jest. Może jednak?.. wszak znam społeczeństwo, o którem pan nauczyciel mówił: to jest zgromadzenie wolnomyślicieli, zgromadzenie wolnomularzy. A właśnie jeden z wielkich panów tego zgromadzenia, niejaki Juliusz Ferry naucza, że katechizm to głupstwo, że ludzie tak są nieśmiertelni, jak zwierzęta i rośliny — a nie inaczej. Tak krowa nasza, która zdechła, jest nieśmiertelną w swem cielęciu, które jeszcze żyje — tak mój wuj w swoim niepotem synie, który jest moim kuzynem.

To, zapewniał nas nauczyciel, znajduje się w książkach wolnomyślicieli. Ja sam wszy-

stko to czytałem, ale daleko weselej wyrażone w gazecie, którą znalazłem w pulcie nauczyciela, gdy mnie raz w szkole zamknięto. Tytuł tej gazety był za pozwoleniem: „Świnia.“ O jakże tam piękne były obrazki!

Sędzia: Żandarmi, odprowadźcie oskarżonego! — (Do siebie): Katechizm miał przecież swe dobre strony. (Eichsf. (Volkskbl.).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
X. Długołęcki T. J.

L. 4039.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
† *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.
Kraków 29 Października 1890.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Lakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

IV^te Przykazanie.

Ofiara z dzieci.

W liście pewnego misyonarza z Trichinopolis we Wschodnich Indyach, z 18-go kwietnia 1889 roku, podany jest życiorys indyjskiego chrześcijanina. Nazywa się Ksawery Mouthon i jest budowniczym przy Kollegium OO. Jezuitów.

— Przyszedł mnie odwiedzić do Tutykorynu, pisze misyonarz.

— Ksawery, pytam go — wiele pieniędzy przyniosłeś twej żonie?

— Mało, mój Ojcze, ale ty wiesz, że ja dla pieniędzy nie pracuję.

— Czy byłoby ci przykro widzieć, że syn twój przyjęty jest do seminaryum?

— O mój Ojcze, byłoby to wielkie szczęście dla mnie!

— Dobrze; w ten sposób twój najstarszy syn byłby dobrze zaopatrzony; ale cóż zamyślasz uczynić z twoim drugim synem Maryanem?

— Mój Ojcze, już dawno nad tem przemyśliwałem, jakby go do Kollegium oddać, ale nie mam środków.

— Rozumiem; gdyby i młodszego syna przyjęto do seminaryum, byłbyś wolnym od wszelkiej troski.

— O mój Ojcze, pragnę tego; chętnie i tego Panu Bogu przyniósłbym w ofierze!

— Rozważ dobrze, co czynisz. Jeśli twe dzieci dostaną się do seminaryum, to już nie będą do ciebie należeć, już im nie będzie wolno do rodziny powrócić; ty sam, chociaż będziesz mieszkał w pobliżu, nie będziesz mógł wedle upodobania widywać się z niemi.

— Ojcze, ja to wszystko już rozważyłem. Moje dzieci więcej należą do Boga, niż do mnie; a zresztą, czyż ojciec nie powinien przedewszystkiem starać się o zbawienie swych dzieci? Patrz, mój Ojcze, oto Bóg obdarzył mnie sześciorgiem dzieci; trzema synami i trzema córkami. Bardzo chętnie wszystkiebym Bogu złożył w ofierze!

I Ksawery nie zadowolnił się czczem pragnieniem; i owszem, połowa jego życzeń już spełniona; najstarsza córka została w Trichinopolis zakonnicą, a dwaj najstarsi synowie przyjęci zostali do seminaryum.

Oto chrześcijański ojciec wśród pogan, któryby mógł nie jednemu ojcu w Europie za wzór posłużyć.

Misyonarz.

Bardzo daleko na morzu południowem, na wyspach Marquesas, opowiada gorliwy misyonarz wesołą nowinę pokoju, t. j. głosi Ewangielię św. Ktoby był tego męża Bożego znał jako chłopca, nigdyby nie był uwierzył, że z takiego „ladaco“ może być misyonarz. Miał talenta, ale je zagrzebywał; chodził do szkoły, ale się nic nie uczył; przytem był zarozumiały i uparty i posiadał wszystkie narowy z pychy pochodzące.

Przy ostatnim egzaminie, którego nie złożył, rozgniewał się i sądził, że nie jego lenistwo, lecz nauczyciele temu winni. Dlatego pomścił się na nich w ten sposób, że i im i katechecie okna powybijał. Ale rodzicom serce pękało z boleści.

— Co począć z tem nieszczęśliwem dzieckiem? mawiali.

— Matka Boska już nieraz pomogła, Ona i teraz pomódz może — pomyśleli.

Ojciec bierze syna za rękę i mówi:

— Chodź do kościoła, przed ołtarz Matki Boskiej; Jej, tej Matce miłosierdzia, oddam cię w opiekę, aby się za tobą wstawiła.

W milczeniu, poszedł syn z ojcem i ukląkł przy nim. Czy się modlił, nie wiem; ale za to ojciec gorąco się modlił i niedobre dziecko Najśw. Pannie polecał.

Po skończonej modlitwie, znowu w milcze-

niu odeszli od ołtarza Matki Boskiej, w milczeniu wracali do domu: ojciec bez wyrzutów, syn bez skruchy. Ale mu się jakoś tak smutno w duszy zrobiło, że w pokoiku ukląkł, rozpłakał się rzewnie i modlić się zaczął. Skrucha i mocne postanowienie nie dały mu spokoju, aż nareszcie poszedł do matki, potem do ojca, aby od nich rodzicielskie otrzymać przebaczenie. Nie dziw, że rodzice się zdumieli, zwłaszcza gdy syn prosił o pozwolenie wstąpienia do klasztoru.

Udali się więc po radę do Najsł. Serca P. Jezusa, a pomodliwszy się szczerze, dali mu 1000 reńskich, aby pojechał do Belgii i tam się wykształcił na misyonarza. Odtąd sprowadza ten niegdyś niedobry syn, obfite błogosławieństwo na całą rodzinę.

Gdyby wszystkie niedobre dzieci miały Monikę za matkę, byłoby więcej Augustynów.

Powołanie.

Pomimo chrześcijańskich zasad i cnót, nie chcieli państwo D. synowi swemu pozwolić wstąpić do seminaryum misyj zagranicznych. Powołanie bowiem jego obalało wszystkie ich zamysły, i niszczyło wszelkie ich ziemskie nadzieje. Zdawało im się, że z tą serca swego pociechą, tracą odrazu wszystko: podporę starości i dziedzicą ogromnego majątku i zacnego imienia. Życie syna było im

droższe jak własne, a teraz miasto je oddać na usługi tych, co go tak czule kochali, poświęcał je na cierpienia, wygnanie, tortury, męczeństwo!

Robert, tak się zwał ów młodzian — modlił się, błagał i starał się rodzicom wybór swój usprawiedliwić. Nie opierali mu się — ale zezwolenie kosztowało ich bardzo wiele.

Pan D., który w kilku dniach się postarzał, był milczący i zachmurzony; matka nieraz po całych nocach płakała, a serce młodzieńca pałało żądzą zbawienia dusz.

— Czy mogę wejść? ozwał się miły głos matki.

Robert spieszy otworzyć drzwi swego pokoiku; pani D. zatrzymuje się kilka chwil na progu i spogląda na ubogi pokoik, z którego przyszły Apostoł usunął wszelki przepych, aby się już naprzód przyzwyczaić do ubóstwa ewangielicznego, które było przedmiotem jego tęsknoty.

— Najświętsza Panno, rzekł cicho w sercu, wyjednaj mi męstwo aż do końca, kiedy taka jest wola Boża!

Pani D. wstąpiła teraz do pokoju, powstrzymała łzy gwałtem się do oczu cisnące, i rzekła:

— Czyś rozważył, mój synu, że dłuższe opieranie się twoje, byłoby błędem i nieszczęściem dla ciebie? Ojciec twój usycha ze zgryzoty i już tylko jak cień chodzi.

Słowa te nieopisane wrażenie wywarły na Roberta. Rzucił się przed matką na kolana, i mówił złamanym głosem:

— O matko! raczej wolałbym umrzeć, niż ciebie lub ojca zasmucić! Rozważ dobrze, czy moje powołanie nie pochodzi od Boga, kiedy mi udziela odwagi opierania się, które tak jest przeciwnem uczuciom dziecięcego serca?

— Robercie! obiecaj mi, że zostaniesz: czyż obca ręka ma nam oczy zamknąć?

„Kto miłuje ojca i matkę więcej jak mnie, nie jest mnie godzien.“ Matko, te słowa Pana naszego, potępiłyby mnie. Daj się przecież poruszyć; cóż jest to życie? Wieczność nas na zawsze połączy!

Pani D. wstała i odeszła, mówiąc jako słowo pożegnania w tonie rozpaczy: „Niewdzięczny!“

Robert klęczał — a serce mu straszna boleść szarpała. „Niewdzięczny!“ Więc matka go za niewdzięcznika uznała. Ależ Bóg nie domaga się rzeczy niepodobnej!

— Czyż nie powinieneś, (szeptało mu coś do ucha), uledz po tak stanowczym oporze? Czyż nie ma innych, mniej jak ty związanych, którzy mogą pracować w winnicy Pańskiej!?

Pokusa była tak silna, tak gwałtowna, że już miał zamiar pobiedz do matki, by jej nowe swe postanowienie wyjawić. Bo czyż

nie byłoby także rzeczą wielką, z miłości ku rodzicom, wyrzec się swej woli i wszystkich swych życzeń wspaniałomyślnie?

Robert zamknął drzwi — a jego wzrok padł na obraz Najśw. Panny. Po chwili już klęczał u stóp najlepszej Matki.

— Witaj Królowo męczenników i Aniołów! witaj Królowo tych, co się Tobie zupełnie na służbę oddali; dla mych rodziców błagam Cię o światło i pociechę; dla mnie o odwagę i męstwo! Syn Twój wybrał mnie, abym Ewangielię opowiadał narodom, które w ciemnościach i cieniu śmierci siedzą — a ja drżę.... Ach, biada mnie, nędznej trzcinie, co się za lada wiatru powiewem pochyla! Podpory mi potrzeba! Ty wiesz, o Najśw. Dziewico, współodkupicielko świata, ty wiesz, jak ojca i matkę miłuję. Największą boleścią dla mnie jest, że oni wątpią o mojej wdzięczności i miłości. O Królowo i Matko moja! jeśli ten kielich goryczy nie może mnie minąć, to daj mi siłę, abym nie uległ.

Tak się modlił gorąco, ufając w pomoc niebieskiej Matki.

Wtem usłyszał głośne łkanie; ojciec i matka byli niepostrzeżonymi świadkami jego boleści, i to serce ich zmiękczyło. Już się dalej nie opierali. Gdy Bóg woła, trzeba iść za głosem Jego.

Robert jest teraz daleko, bardzo daleko! Pracuje gorliwie na misyach. Rodzice jego

spełniają dobre uczynki, czekając na wieczne widzenie się z synem w niebie.

Niewdzięczny syn.

Młody stolarz J. S. sprawiał wesele. Wszyscy się bawili ochoczo, tylko jedna osoba nie podzielała ogólnej wesołości. Była to matka pana młodego. Będąc wdową po stolarzu, który przez rozmaite ciosy wszystek majątek stracił, całą swą miłość przelała na jedynaka. Nieraz choć spracowana, ostatni kawałek chleba od ust sobie odjęła, byle tylko synowi dobrze i wygodnie było. Przez jej zabiegi i starania, stał się doskonałym stolarzem. Nieco lekkomyślny, sprawiał matce często zmartwienie; ale gdy powracał skruszony, poczciwa matka wszystko przebaczyła.

Ale teraz największą sercu jej zadał boleść, biorąc za żonę osobę, która swem prowadzeniem się, mogła hańbę przynieść cnotliwej rodzinie. Matka prosiła, błagała ze łzami, ale nic nie pomogło; dlatego smutno jej dziś było, bo smutne miała przeczucia.

— Minęło wesele — obawy matki wkrótce się niestety! sprawdziły. Obchodziła się z nią synowa nie jako z matką, ale jak ze sługą, która swej pani nigdy dogodzić nie może. Syn patrzał na to przez palce, a często stawał nawet po stronie żony przeciw matce.

Gorzkie były dni jej życia, bo stosunki

się pogarszały, a syn zupełnie o matce zapominał. Wtem zaszło zdarzenie, które niewdzięczność syna i złość synowej jak najjaśniej okazało.

Synowa stała przy kominku i gotowała nad lampą spirytusową. Przez niezręczność spadła lampa, a suknie się jej zajęły. Wydawszy krzyk przestrachu, wpadła w omdlenie, a matka przyskoczywszy, zdarła z niej fartuch i w ten sposób przeszkodziła dalszemu nieszczęściu.

Stolarz usłyszawszy krzyk, przybiegł, a obaczywszy co się dzieje, złożył całą winę na matkę i złośliwemi słowy ją znieważył.

Tymczasem synowa przyszła do siebie i niewdzięczna wraz z mężem znieważała matkę. Ta chciała się usprawiedliwić; ale gdy syn coraz niegodziwiej z nią postępował i kazał się jej precz wynosić, przystąpiła doń i łzami zalana, rzekła:

— Życzenie twoje się spełni. Odchodzę i więcej mnie nie obaczysz. Ale pożałujesz tego, żeś się tak niegodziwie z matką obszedł, a Bóg ci na dzieciach zapłaci krzywdę, którąś mi wyrządził.

To rzekłszy, odeszła biedna matka i więcej nie wróciła. Po kilku tygodniach umarła staruszka w szpitalu. Przy łożu były tylko sługi szpitalne — syna nie było.

Wkrótce został stolarz ojcem. Radość jego była bez miary, ale smutnie się skończyła;

po upływie roku okazało się, że dziecko jest głupkowate i głuchonieme. Rodzice byli bardzo nieszczęśliwi, zwłaszcza, że nie było nadziei uleczenia go. W bezsennych nocach nieraz przychodziło ojcu na myśl, że to kara za zniewagę matki.

W pięć lat później zdarzyło się, że rodzice wyszli z domu, zostawiwszy synka samego. Gdy wracali, oznajmiono im, że w warsztacie wybuchł ogień; biegną w przestrachu i widzą, że zostali żebrakami, bo wszystko się spaliło? A z jakiej przyczyny? Oto głupkowaty syn rzucił płonącą zapałkę między wióry, i wraz ze wszystkiem stał się pastwą płomieni.

Uznał jawnie stolarz, że to kara Boża i że słowa matki się spełniły. Serdecznym żalem przejęty, przepraszał Boga i matkę. Zaczął pracować jako czeladnik, ale już nigdy niczego się nie dorobił i w domu ubogich smutne dni żywota swego zakończył.

Błogosławieństwo matki uczyniło go zamożnym — grzech względem matki uczynił go żebrakiem.

Syn marnotrawny.

Niedawno temu powrócił po 23 latach niebytności, pięćdziesięcioletni, zamożny człowiek wraz z rodziną, żoną i dziećmi do rodzinnego miasta F.

W roku 1863, on, syn zacnych mieszczan, zabrawszy pokryjomu całą gotówkę rodziców, mając lat 28, umknął do Ameryki. — Szczęście, jak to mówią, sprzyjało mu, ale żadne bogactwa nie zdołały mu wrócić pokoju serca, ani robaka sumienia zaspokoić.

Aby więc rodziców obaczyć i zgładzić wielką swą winę, postanowił powrócić do ojczyzny. Miasto stało na tem samem miejscu, ale z domu rodzicielskiego ani ślad nie pozostał. Już w roku 1872 pomarli rodzice wskutek zgryzoty i niedostatku.

Starzec, który go poznał, zaprowadził go na grób rodziców, gdzie się odegrała scena bardzo wzruszająca.

Skoro obaczył grób ojca bez żadnej ozdoby, niewymowna boleść napełniła serce jego. Targał włosy na głowie, rzucił się na grób i płakał najrzewniejszemi łzami pokuty. Daremnie żona i dzieci starały się go pocieszyć i uspokoić. Na grobie matki ta sama scena się powtórzyła.

— Matko, biedna moja matko! haniebnie oszukana matko! Pragnę twego przebaczenia! Chcę wszystko naprawić — wołał złamany. Z wielką trudnością mogły go żona i dzieci uspokoić.

W kilka dni po tej scenie, widziano groby rodziców bogato ozdobione, a zakłady miłosierne otrzymały od marnotrawnego syna jako przebłaganie, znaczne sumy pieniężne.

Kogo raczej słuchać?

Francuzki kapłan Novi, wikaryusz w Aujac (Ożak), miał lat 28, gdy go przyprowadzono na rynek miasta Vans, gdzie codopiero ścięto ośmiu kapłanów, którzy żądanej przez rewolucyonistów przysięgi, przeciwnej Kościołowi, złożyć nie chcieli.

Bezbożni mordercy, chcąc młodego kapłana zachwiać i do bezbożnej przysięgi zniewolić, kazali przywołać ojca i oświadczyli temuż, że los syna jego zależy od niego; niech więc skutecznie użyje ojcowskiej rady i powagi, aby syn jego złożył przysięgę; inaczej umrze tak, jak ośmiu innych kapłanów przed nim.

Nieszczęsny ów ojciec stał niepewny i wachał się między uczuciem naturalnem i łaską; nareszcie zwyciężony ziemską miłością, rzucił się synowi na szyję, zaklinając go raczej łzami jak słowami:

— Synu mój! błagał, zachowaj mi życie, zachowując swe własne!

— Ja jeszcze coś lepszego uczynię, mój ojcze — odrzekł silnej wiary kapłan; ja wolę raczej jako syn ciebie i Boga godny umrzeć. Ty, mój ojcze, wychowałeś mnie w religii katolickiej, mam nawet szczęście być katolickim kapłanem. Ja znam mój Kościół i wiem także, że słodszą i przyjemniejszą będzie dla ciebie rzeczą, mieć syna męczennikiem, niż apostatą.

Ojciec nie wiedział, co na to miał odpowiedzieć; wziął go w swoje objęcia i polewał łzami. Kaci wydarli go z objęć ojca, który głośno płacząc widział, jak głowa jego syna padła pod toporem, aby koroną męczeńską była ozdobiona.

Ona mnie karmiła.

W. O. Bourdilleau (Burdijjo), misyonarz w chińskiej prowincyi Kianguang, pisze w swym dzienniku:

— Pewna pobożna chrześcijanka, która w tym roku owdowiała, miała dwie córki i trzech synów, z których najstarszy był przybranym sierotą. Jednego dnia rzekła do tegoż uboga wdowa:

— Dotychczas wychowywaliśmy i żywiliśmy cię starannie; teraz przychodzi na ciebie kolej: braci, siostry i twą biedną matkę wyżywić; bez ciebie musimy z głodu poumierać. Czemu nam już ryb nie przynosisz?

— Matko, już nie ma ryb, a jeśli są, toć nie mogę im rozkazać, aby do mej sieci weszły.

— Jać to wiem; odrzekła matka, ale gdybyś się gorliwiej modlił, toby ryby same przyszły.

Poczciwy chłopiec nie śmiał już nic odpowiedzieć; rozpłakał się i poszedł na ryby. Ale czekał daremnie; ryby nie przychodziły. Nastała noc.

— Nie śmiem wrócić do matki, rzekł smutny sam do siebie. Jezu, Maryo, zlitujcie się nademną! Proszę tylko o jednę rybę dla mej matki i rodzeństwa; ja sam mogę jeszcze pościć. Co powie moja biedna matka, jeśli z próżnemi rękoma powrócę? Wolę tu przenocować. I pozostał.

Około godziny 10-tej rzucił się na kolana, złożył ręce i ze łzami w oczach tak się modlił: „Matka moja karmiła mnie; mój Boże, daj jej Ty teraz pożywienie! Ona taka biedna... tylko jednę rybę!“

Spogląda na sieć — i oto co za szczęście: dwie wielkie ryby. Nie posiadając się z radości, biegnie do matki i oddaje jej co ułowił.

Ona to opowiedziała mi to zdarzenie ze wszystkiemi szczegółami. Odtąd jeszcze drugą sierotę przyjęła.

Dla żołnierzy i ich rodziców.

„W roku 1872, pisze pewien belgijski żołnierz, wzięto mnie do wojska i wcielono do artyleryi. Nie odznaczałem się ani przed wojskowością, ani jako żołnierz, pobożnością — przy wojsku modliłem się mało, bo w koszarach, mówiąc po prawdzie, prawie nie można było, a do kościoła także nie często się chodzi. Każdy wie, jak łatwo taki młody człowiek, który nie jest nadzwyczaj pobożny, wśród niebezpieczeństw życia żołnier-

skiego, może upaść moralnie. Przekleństwo jest na porządku dziennym; co krok spotyka się najobrzydliwsze postępki, przeciwne czystości. Pijaństwo także nie należy do rzadkości, pokusy do grzechu są wielkie i rozmaite — a jednak przez cały czas mej służby ani razu nie uległem pokusie. Wypełniałem swoje obowiązki religijne; nie klątem, ani nie piłem nadto, brzydziłem się nieskromnemi mowami, jakie nieustannie w koszarach prowadzono i nie wdawałem się nigdy z osobami, które mi cnotę czystości odebrać mogły. Nadto byłem członkiem katolickiego stowarzyszenia żołnierzy.

Gdym wysłużył, dziwiłem się mej stałości w dobrem i nie wiedziałem, jakim sposobem na to sobie zasłużyłem. Ale później dowiedziałem się o przyczynie. Oto ojciec mój codzień podczas Różańca wraz z domownikami, jeden dziesiątek za mnie odmawiał, aby Królowa Różańca świętego za mną się do Syna swego wstawiała.

Niech to posłuży za naukę i przykład dla rodziców, których synowie służą w wojsku, aby ich osobliwie modlitwą wspomagali, zwłaszcza modlitwą Różańca świętego. (Eichsf. Volksbl.).

Jak żołnierz pociesza swą matkę.

„Kochana matko! tak pisze dzielny żołnierz, który jest zarazem dobrym synem;

ja żyję jeszcze i mam dobry apetyt. Teraz już nie jestem tym samym co dawniej. Lekarz mi dzisiaj odjął jednę nogę. Ponieważ przywykłem był żyć z tą nogą, więc rozłąka była przykra i bolesna. Oficer jednak obiecał mi, że wkrótce nową, sztuczną nogę dostanę.

Przeto, kochana matko, nie płacz i pomyśl, że mogłem nawet umrzeć, jak tylu innych moich dzielnych kolegów. Tych umarłych, albo raczej ich rodziny, powinniśmy żałować. Więc raduj się, kochana matko, bo ty właściwie odniesiesz ztąd korzyść. Muszą mnie wkrótce uwolnić od służby — wtenczas przyjdę do ciebie, aby na zawsze zostać przy tobie, bo drewnianą nogą nie daleko będę mógł biegać. Będę wszystko robił, co mi każesz. Patrz! przecież i mnie łza padła na papier — ale nie łza boleści, lecz łza radości i szczęścia, że cię wkrótce zobaczę.

Twój kochający syn August."

Pięć „Ojcze nasz."

— Pamiętam jak dzisiaj, opowiada pewien zakonnik, posiwiały w służbie Bożej, żem jako ośmioletni chłopak powróciwszy ze szkoły, swawolnie jakieś słowo powtórzył, które od kolegi usłyszałem na drodze, choć wcale nie rozumiałem znaczenia jego.

Matka moja była właśnie w kuchni i usły-

szawszy to słowo, spojrzała na mnie surowo i rzekła:

— Synu, tego słowa przez całe życie moje nie chcę z ust twoich słyszeć!

Dorozumiałem się teraz dopiero, i zawstydzony umilkłem. Po obiedzie rzekła matka do mnie: Franiu, chodź teraz ze mną do sypialni!

Nie wiedziałem, co z tego będzie, ale poszedłem machinalnie.

W sypialni był wielki, prześliczny obraz Ukrzyżowanego, przed którym bardzo często się modliła.

Przed ten tedy obraz przyprowadziła mnie i rzekła łagodnym, ale i surowym głosem:

— Dziecko moje, dziś przed południem zadałeś bardzo wielką boleść Sercu Pana naszego, tem swawolnem i niedobrem słowem, które z ust twoich wyszło. Tyś go wprawdzie nie rozumiał, dlatego też nie ukarzę cię teraz, ale pamiętaj sobie: nigdy ani tego, ani innego nieuczciwego słowa, nie chcę z ust twoich słyszeć. A teraz uklęknij; przeprośmy Pana naszego Ukrzyżowanego, za to szkaradne słowo i zmówmy pięć razy „*Ojcze nasz*“ do pięciu ran Jego.

Upadłem obok ukochanej matki na kolana i zmówiliśmy razem pięć „*Ojcze nasz.*“

Tej sceny nigdy nie zapomnę; większe ona zrobiła na mnie wrażenie, jak długie napominania lub kara — kończył staruszek

ze łzami w oczach, i już nie jednej matce, która nie mogła sobie dać rady ze swemi dziećmi, opowiedziałem to zdarzenie i dałem jej radę, aby te młode dusze raczej do Ukrzyżowanego przywiodła i tam je krótko i surowo napomniała, niż iżby je krzykiem i hałasem straszyła, albo długiemi morałami nużyła.

Ta kobieta z ludu lepiej się znała na wychowaniu, jak tysiące nowomodnych książek o wychowaniu, w których ani pojęcia o prawdziwem chrześcijańskiem wychowywaniu nie ma.

Roztropna kara.

Pewien chłopiec, który obecnie jest zacnym kapłanem, był pomimo wszelkich kar, jakich matka używała, bardzo niespokojny i rozpustny. Raz wybił okno u sąsiada i zaparł się tego przed matką.

Matka ciężko strapiona, nie wiedziała już co ma począć i jak go ukarać. Pomodliwszy się więc gorąco przed obrazem Ukrzyżowanego Zbawiciela, spakowała pokryjomu ubranie syna, oddała mu zawiniątko i rzekła z uroczystą powagą:

— Oto masz twoje rzeczy, synu marnotrawny! Idź między obcych ludzi i nie uważaj się więcej za mego syna! Idź precz, jeszcze dziś w nocy — idź natychmiast!..

Syn do głębi wzruszony, pada matce do nóg, wyznaje wszystko i wśród łez obiecuje poprawę. Ale matka nie daje się zmiękczyć, ani przebłagać; bierze syna za rękę, prowadzi do drzwi, wciska mu zawiniątko pod pachę, wypycha go z domu i dom zamyka.

Stoi więc wśród ciemnej nocy, w ostrej zimie, bez ojca i matki, bez domu i dachu Cóż miał czynić? Oto przysunął się do drzwi i pocisnął za klamkę — ale drzwi były zamknięte. Woła więc:

— Dla Boga, otwórz mi kochana matko, już się zupełnie poprawię!

Lecz nikt się nie odzywa i na domiar nieszczęścia, światło gaśnie. Strumień łez potoczył się z ócz dziecka. Teraz dopiero uczuł, co to znaczy nie mieć matki. Odszedł więc i błąkał się, aż doszedł do wielkiego kościoła. Tam przytulił się do drzwi kościelnych i klęcząc, jęcząc modlił się.

Jakiś człowiek przechodząc tamtędy, usłyszał jęk i płacz, i zbliżywszy się do niego, poznał w nim syna znajomej sobie wdowy; zaprowadził go więc do domu matki i przywoławszy ją, połączył swoje prośby ze łzami dziecka, aby je znów przyjęła i przebaczyła mu błędy.

Serce matki dało się zmiękczyć; przebaczyła mu i wpuściła do domu.

Może nigdy dziecko z taką tęsknotą i żalem nie rzuciło się w objęcia matki, jak ten

syn marnotrawny i odtąd stał się jej pociechą i podporą w starości, wypełniając z radością najmniejsze jej życzenia. (Kist. Exempelbuch).

Prośba o karę.

Zacna, bogata pani, baronowa S., która najsumienniej dzieci swe wychowywała i każdą swawolę surowo karciła, chciała raz syna swego cieleśnie ukarać za przewinienie. Syn bał się bardzo kary i błagał matkę, aby mu przebaczyła, zapewniając uroczyście, że się już nigdy tego przewinienia nie dopuści. Więc matka wzięła go za rękę i zaprowadziła przed obraz, który przedstawiał sąd ostateczny.

— Patrz, rzekła, Bóg odemnie kiedyś na sądzie swym zażąda rachunku, czym cię po chrześcijańsku wychowała i za popełnione błędy karała. On kiedyś odemnie, twej duszy domagać się będzie; jeśli ja cię nie ukarzę jak zasługujesz, to Bóg mnie za to ukarze. Czy chcesz więc, aby twoja matka za ciebie potępioną została?

— Nie, droga matko! nie! zawołał rozrzewniony syn — ty nie będziesz karaną! Ukarz mnie, jak na to zasłużyłem! Ukarz mnie surowo, abyś nie była potępioną!

Zapewne, piękny przykład dobrego serca w dziecku, ale zarazem chrześcijańskiej karności, co tak po bożemu karze. (Kist. Exempelb.).

Nowożytne wychowanie córki.

Razu pewnego wstąpiłem do gospody, której właściciel uchodził powszechnie za człowieka postępowego. Ponieważ byłem sam jeden, zwróciłem uwagę na pięcioletnią córeczkę gospodarza, bardzo rozgarnioną i rozmowną. Zapytawszy się o imię i wiek jej, zapytałem także, czy chce odemnie obrazek?

— Ja od ciebie nie chcę obrazka, odrzekła krótko i rezolutnie.

— A dlaczegoż to? pytałem dalej.

— Bo ja nie cierpię popów.

Nie chciałem własnym uszom wierzyć, usłyszawszy od tak małego dziecka taką odpowiedź.

Te słowa nieraz od ojca i gości słyszała, spamiętała i do mnie je zastósowała. Pomyślałem sobie:

— Biedne dziecko, od własnych rodziców najdroższego skarbu wiary pozbawione, a napełnione nienawiścią do wiary i jej sług.

Nieszczęśliwi rodzice! wy sami chodujecie sobie gadzinę, co na życie wasze nastawać będzie i straszliwie się pomści za zabójstwo duszy, jakieście spełnili na własnem dziecku!

I tak się też stało. Ponieważ była jedynaczką, rozpieszczoną — rodzice zaślepieni w niej, spełniali wszystkie jej kaprysy i zachcianki, stroili ją po książęcemu, wychwa-

lali i podziwiali jej kształt, postawę, chód, rozum, wykształcenie, piękność i wdzięki.

Wszyscy ją uwielbiali jak bożyszcze i rokowano jej najświetniejszą partyę. Tym sposobem stała się dziewczyna próżną, dumną, wyniosłą, zuchwałą, upartą, rozrzutną, kapryśną — bez serca i czucia.

O rodziców nie dbała wcale, obchodziła się z niemi pogardliwie, na zapytania odpowiadała złośliwie i z szyderstwem, trwoniła pieniędzy co niemiara, bo w towarzystwach, na balach i wycieczkach, chciała się swym majątkiem popisywać i wszystko mieć według najnowszej, paryzkiej mody.

Sypiała do późnego dnia, kawę kazywała sobie przynosić do łóżka, do późnej nocy czytywała nieskromne romanse, grała na gitarze, śpiewała piosnki miłosne, rysowała, malowała, haftowała; słowem, bawiła się i marzyła.

Razu jednego spotkałem ojca tej pogańskiej dziewczyny — włosy jego posiwiały, głowa się pochyliła, wlókł się noga za nogą, a w kieszeni miał wielką książkę.

W pobliżu był kościół. Tam to wszedł ów złamany starzec, aby przed Najśw. Sakramentem w swej książce do modlenia szukać pociechy. (Kist. Exempelbuch).

Wychowanie bez kary.

Pewien ojciec z wyższego stanu, skądinąd bardzo rozumny i godny człowiek, miał wcale

nierozsądny sposób wychowywania syna swego. Sądził bowiem, że kara zabija w człowieku poczucie godności własnej, przytępia samodzielność, czyni trwożliwym i wszczepia usposobienie niewolnicze. Dlatego nigdy go cieleśnie nie karał, nawet za najniegodziwsze postępki, lecz starał się go tylko dowodami rozumowemi od złego odwodzić, a do dobrego zachęcać. Naturalnie, że nicpotem synowi, było z tem bardzo wygodnie.

— Ależ, na miłość Bożą, rzekłem raz do tegoż ojca, czemuż pan nie osmagasz swego syna za ten dopiero co, umyślnie popełniony występek?

— Ponieważ, odrzekł ojciec, nie chcę w nim przytłumić uczucia własnej godności, i nie chcę go przerażać. Wychowuję go tylko zasadami z rozumu wziętemi.

— Jeszcze wiele wody upłynie, odrzekłem, nim dziecko zrozumie takie zasady i dowody, a do tego czasu zupełnie się zepsuje; potem zobaczymy, co pan wskórasz swemi mądremi dowodami ze skończonego nicponia.

Ojciec jednak był głuchy na moje upomnienia, niedowierzająco kiwał głową, uśmiechnął się z pańska i rzekł:

— Rózga nie zgadza się już z wiekiem oświaty; jest ona pozostałością ciemnych wieków średniowiecznych, podobnie jak tortury i inne okrucieństwa; precz z nią zatem z mojego domu!

Dziesięć lat później opłakiwał gorzko ów ojciec niemądry swój sposób wychowania, i radby był chwycił za ową średniowieczną rózgę, gdyby wyrodny ten syn był się na to zgodził; ale ten w przeciągu lat dziesięciu stał się biczem swego ojca — nie dbał ani na Boga, ani na świat; nie zważał ani na świecką, ani na duchowną władzę; nie dbał ani o ojca, ani o matkę.

Poczucie samodzielności, którego zaślepiony ojciec nie chciał niby w nim rózgą przytłumić, jakże się strasznie bez rózgi rozwinęło! Bezgraniczna duma, nieprzełamane zuchwalstwo i haniebna niewdzięczność ku rodzicom, były owocami wychowania bez rózgi.

Przekleństwo matki.

Przy końcu czwartego stulecia podziwiano w Cezarei Kapadockiej cnotliwe życie bogatej, zacnej wdowy. Miała dziesięcioro dzieci, siedmiu synów i trzy córki; była z tego dumną i kochała je najtkliwszą miłością.

Pewnego dnia zapomniał się najstarszy syn do tego stopnia, że w przytomności swych braci i sióstr, matkę swą nietylko słowy, ale i czynnie znieważył; a jednak żadne z dzieci obecnych nie miało dlań słowa oburzenia lub nagany.

Nieszczęśliwa matka z gniewu prawie zmysły tracąc, boleścią uniesiona, błagała Boga,

aby się za nią sam ujął i pokazał światu, że nie da bezkarnie przekraczać czwartego przykazania.

Prośba jej aż nadto jawnie została wysłuchaną, gdyż w tej samej chwili wszystkie dzieci dostały straszliwego drżenia na całem ciele. Bojąc się swych ziomków, uciekły z miasta i pod ciężarem macierzyńskiego przekleństwa, błąkały się po różnych miastach państwa rzymskiego.

Dwoje z nich: Paweł i Palladya, przybyło wreszcie do Hippony, gdzie św. Augustyn był biskupem. Codzień przychodzili oboje do kościoła, aby się przed ołtarzem św. Szczepana pomodlić, gdyż tam znajdowała się jego relikwia i wielkie cuda Bóg przez nią czynił. W sam dzień Wielkanocny cały kościół był przepełniony wiernymi, gdy Paweł, który się właśnie przed ołtarzem św. Szczepana modlił, nagle upadł, a po kilku chwilach zupełnie zdrów powstał.

— Ten młody człowiek, tak opowiada św. Augustyn, był potem u nas na obiedzie i opowiedział nam historyę swego nieszczęścia. We wtorek wielkanocny kazałem bratu i siostrze przyjść na ambonę, aby ich cały naród mógł widzieć — podczas gdy jeden z dyakonów czytał historyę ich życia. Dziewczyna drżała jeszcze na całem ciele; lecz zaledwie zeszła z ambony i przed ołtarzem św. Szczepana się pomodliła, nagle wstała

zupełnie uzdrowiona. Widząc ten podwójny cud, wszyscy obecni wydawali okrzyki radości.

— Niechaj się dzieci uczą na tym przykładzie, rzekłem, posłuszeństwa; ale i ojcowie i matki niech się mają na baczności, aby się nie zaraz gniewać na dzieci. Gdyż jest napisano: *„Błogosławieństwo ojca buduje dzieciom domy, a przekleństwo matki do szczętu je niszczy.“*

Uczcie się przeto dzieci szanować rodziców i słuchać ich. (De civit. Dei l. 22. c. 8).

Wielki uczony o wychowaniu.

Do mężów uczonych, którzy nietylko nad księgami ślęczeli, ale nadto i w stosunki życia wglądali, należał przed 350 laty Desydery Erazm, rodem Holenderczyk, który pismami swemi całą Europę zajął.

Tenże tak wysokiego zażywał szacunku, że książęta usilnie go błagali, aby do nich przybyć i u nich zamieszkać zechciał.

Mąż ten pisał także o sposobie, w jaki trzeba dzieci wychowywać. Oto jego słowa:

— Dzieci powinne codzień o szóstej lub siódmej godzinie wstawać, przeżegnać się krzyżem świętym, odprawić ranne modlitwy i w imię Trójcy Przenajśw., brać się do codziennej pracy. Codzień powinne dzieci na Mszę świętą chodzić. Wychowawcy nie powinni dopuszczać, aby dzieci stały z tyłu

w kościele, lecz ma ich w pobliżu ołtarza ustawić. Ci zaś, co po łacinie nie rozumieją, powinni mieć książeczki do modlenia, w którychby się znajdowały modlitwy mszalne w ojczystym języku.

Gdy idą do szkoły, a droga prowadzi koło kościoła, niech na chwilkę wstąpią, i oddawszy cześć Najśw. Sakramentowi, pozdrowią Najśw. Pannę, albo innego Swiętego.

W szkole mają się tak zachowywać, jak się Pan Jezus w kościele zachował. Przed nauką i po nauce, przed jedzeniem i po jedzeniu, niech sumiennie modlitwy błagalne i dziękczynne odmawiają.

Przy końcu dnia, niech swe sumienie roztrząsają, i to klęcząc; niech żal i skruchę wzbudzają, uczynią dobre postanowienie, i w imię Trójcy Przenajświętszej żegnając się krzyżem św., niech dzień kończą.

Wychowawca zaś ma uczyć dzieci, aby Boga nadewszystko miłowały i Jego się bały; Imię Jezusa niech im wpaja w serca, aby im to Imię najmilszem się stało.

Niech je stara się przekonać, że Aniołowie są przy nich obecni i wszystko słyszą — i że Bóg dobrych nagradza, a złych karze.

Niech dzieciom przypomina obietnice chrztu świętego i naucza, że nikt nieszczęśliwym być nie może, kto mieszka w Jezusie Chrystusie, choćby go niewiem jakie nieszczęście

spotkało. Także mają dzieci do częstej Spowiedzi być przypuszczane.

Tak uczył mądry Erazm. On mniemał, że pobożność z nauką nietylko łatwo pogodzić się może, ale że jest niezbędnie potrzebną, jeśli człowiek ma być szczęśliwym.

„On już nie kocha Boga."

Pewna matka chrześcijańska modliła się wśród gorących łez przed figurą Ukrzyżowanego; zatopiona w modlitwie, nie spostrzegła, jak córka weszła. Patrząc na załzawione oczy matki, zapytała z współczuciem:

— Matko, ty cierpisz? O! zwierz mi się z twojem cierpieniem!

— Moje dziecko, rzekła matka smutno, módl się, módl za twego brata.

— Czy to być może, aby on cię już nie kochał?

— Sądzę, że mnie jeszcze kocha, ale on już nie kocha Boga; a ty wiesz, że gdy miłość Boga z serca ustąpi, łatwo też i miłość rodziny, i miłość obowiązku z serca ustąpi.

Już od dawna lękała się siostra o zbawienie brata, bo zauważyła, jak on powoli oddalał się od wszystkiego, co dobre. Dziś słowa matki, których prawdę głęboko odczuła, zrodziły w niej zamiar ratowania duszy brata. Tam, gdzie już nieraz rady i pociechy szukała, tam i dziś pospieszyła: do

pomocy Królowej nieba; modliła się długo i gorąco do Boga, aby ją raczył oświecić i podać jej stósowne środki do zabezpieczenia zbawienia brata.

Pełna ufności, udała się na spoczynek, aby zaraz nazajutrz pracę rozpocząć; wzięła pióro do ręki i następujące skreśliła słowa:

— Małe pytania, o których odpowiedź brata mego dzisiaj wieczór upraszam: Pytam cię, jak się to dzieje, że mój brat tak wdzięczny za najmniejszą przysługę od siostry, tak uprzedzający w sprawieniu jej przyjemności, przemyślny w wynajdywaniu dla niej rozrywki — a jednak tak łatwo zapomina o Bogu, któremu kochającą matkę, zapewnione stanowisko i zdrowie zawdzięcza, które mu pozwala używać życia? Jakim sposobem dzieje się, że dla Niego ani słówka podzięki nie ma, a nawet krótkiej modlitwy z rana i wieczór nie poświęci? Czyż mój brat miałby być tak niewdzięczny?

Zkąd to pochodzi, że mój brat tak sumienny jest w spełnianiu obowiązku, tak akuratny w swej pracy, tak uległy dla tych, co mu mogą dopomódz — a jednak tak często i z tak wielką lekkomyślnością, prawa Boże i Kościoła przekracza?

Gdy brat słowa te przeczytał, wzruszony został do głębi; łzy trysnęły mu z oczu i przysiągł poprawę. Wraz z siostrą błagał

Najśw. Pannę o pomoc i stał się tak dzielnym mężem, że był pociechą matki i siostry.

„Bóg jest dobry."

W mieście T. mieszkała wdowa po kupcu, której wierzyciele zaraz po śmierci męża, prawie wszystko zabrali, co posiadała. Najlepszy przyjaciel nieboszczyka, obszedł się z nią najgorzej: bez litości. Ledwie bowiem mąż jej oczy zamknął i pogrzebany został, ten przyjaciel był pierwszy, który jej oświadczył, że w sprawach pieniężnych wszelkie względy ustępują.

To było nad siły biednej kobiety; bezwładna, upadła na krzesło, strumień krwi buchnął jej z ust. Służąca przybiegła na ratunek.

— Poszlij czemprędzej po księdza Proboszcza, rzekła zaledwie słyszanym głosem — a potem i po lekarza.

Ksiądz Proboszcz zaraz przybył, gdyż bliziutko mieszkał. Gdy lekarz przybył, chora już była zaopatrzona ŚŚ. Sakramentami.

Cichutko leżała matka na śmiertelnem łożu; cichutko przystąpiły dzieci do matki, cichutko znowu wyszły z pokoju — bo tak lekarz nakazał.

Najmłodsza jednak dziewczynka Agnieszka, wzięła swą lalkę na ręce i usiadła u nóg matki; nie można jej było od niej oderwać,

nawet w nocy spała przy łóżku matki — a miała wtenczas lat dziesięć.

Matka umarła. Ze łzami słuchały dzieci ostatnich jej słów. Tylko Agnieszka nie płakała.

— Czy mama jest u taty w niebie? pytała.

— Tak, odpowiadały starsze dzieci; mama jest u taty.

Zwłoki złożono do grobu. Wszyscy płaczą, tylko Agnieszka nie płacze.

— Droga mamuńciu, pozdrów tatę ode mnie — ja wkrótce tam do was przyjdę.

Powróciwszy do domu, padła na kolana i modliła się za swoją matkę.

— Gdzie też mama być może? czy w niebie, czy w czyścu? pytała się starszych siostrzyczek.

Znużona, zasnęła. We śnie zdało jej się, że widzi matkę uśmiechniętą, jak na nią z miłością spogląda.

— Gdzie jesteś mamo? czy w niebie, czy w czyścu?

I zdało jej się, że słyszy głos matki:

„*Bóg jest dobry.*“

Te słowa nigdy z jej pamięci nie wyszły. Oto, co pisze już jako dziewica:

— Sen ów, wywarł na mnie najzbawienniejsze skutki. Od tej nocy znikła namiętna boleść moja po śmierci matki. Stałam się cichszą i uległejszą woli Bożej. Gdy się w troskach i cierpieniach serce me bunto-

wać chciało przeciw świętej woli Bożej, jedno słowo matki: „Bóg jest dobry,“ wystarczało, by mi wrócić równowagę. Gdy ludzie mną gardzili i pomiatali, gdy najlepsze me chęci na złe tłómaczono, i gdy mnie zewsząd opuszczono, zwątpienie o sprawiedliwości Bożej opanować mnie chciało, słowa matki: „Bóg jest dobry“, nie dały mi się zachwiać. Gdy pokusa zwodnicza ku mnie przystąpiła, a ja już wyciągałam rękę do zakazanego owocu, słyszałam matkę na mnie wołającą: „Bóg jest dobry.“ Te słowa są słońcem życia mego i pozostaną niem aż przyjdę tam, gdzie moja matka jest i gdzie Aniołowie wiecznie śpiewają: „Bóg jest dobry.“ (Eichsf. Volksbl.).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
X. Długołęcki T. J.

L. 737 gr.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
† *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.

Kraków 13 Grudnia 1890.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Lakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

IV^te Przykazanie.

(Ciąg dalszy).

O sługach.

Święty Franciszek Salezy o sługach.

Święty Franciszek Salezy mawiał nieraz do swoich podwładnych:

— Doskonałość posłuszeństwa nie na tem zależy, aby spełniać wolę łagodnego i uprzejmego pana, który raczej prosi jak rozkazuje; ale na tem, aby słuchać surowego i przykrego przełożonego.

Chociaż tenże Święty pragnął, aby Ojcowie duchowni dusze sobie powierzone łagodnością raczej, jak surowością prowadzili, to jednak był za tem, aby przełożeni pewną zachowali powagę i ganił w podwładnych ową zbyteczną czułość na rozkazy, do smaku im nie przypadające, która niecierpliwością i stronieniem od cierpień, objawiać się zwykła. Aby swe zdanie tem dokładniej wyrazić, używał następujących porównań:

— Ostra piła lepiej oddala rdzę i czyni żelazo więcej błyszczącem, jak tępa i miękka. Aby suknu nadać więcej błysku i delikatności, używa się bardzo ostrych szczotek. Im dłużej miecz zostaje pod młotem, tem więcej zyskuje na trwałości. Jeśli pobłażliwość przełożonych za daleko się posuwa, staje się przyczyną wielu nieporządków pośród podwładnych. Dzieciom nie daje się cukru, bo rodzi w nich robaki.

Przełożony, ze zbyteczną rozkazujący łagodnością, traci powagę i naraża się na pogardę. Nieraz zaś tak dalece przywięzuje podwładnych do siebie, że nie myśląc nawet o tem, odwraca ich serca od Boga, gdyż daleko lepiej słuchają człowieka, którego miłują, i dlatego że go miłują jak Boga, któregoby w człowicku słuchać z miłości ku Niemu powinni.

Surowość zaś ostrego przełożonego daleko lepiej doświadcza wierności serca, które Boga prawdziwie i szczerze miluje. Ponieważ bowiem w takich rozkazach przełożonego, niczego nie szuka prócz Boga, dla którego słucha, dlatego doskonałość jego posłuszeństwa jest o tyle większa, o ile intencya jego czystsza, prostsza i bezpośrednio ku Bogu jest skierowana. Tyle św. Salezy.

Chrześcijańska sługa.

Sabina H. w dziecinnych latach pilnie uczęszczała na katechizm, słuchała go uważnie i głęboko w sercu swem wyryła obowiązki względem Boga i bliźniego. Wszystko co czyniła, czyniła dokładnie i z całem wytężeniem zacnej swej duszy. Połowiczna i niedbała robota, nie wystarczała jej; szukała bowiem w tych, dla których pracowała, Boga — wiedząc, że pracując, służy Bogu i daje Mu dowód swej miłości, chociażby ta praca nie znalazła uznania ze strony państwa.

Była przekonaną jak najmocniej, że pracuje w oczach Boga, którego upodobanie daleko więcej sobie ceniła, jak pochwały ludzkie. Miłości swej i wierności względem państwa, najlepsze dawała dowody, że nawet w ich niebytności, rzeczy sobie powierzonych z największą oszczędnością używała.

Dobrobyt ich uważała za swój własny, radowała się serdecznie z wszelkiego ich szczęścia — a smuciła się wielce, gdy jaki przykry wypadek dom ich nawiedził.

Gdy w czasie wojny przez podatki i kwaterunki, państwo jej na majątku znacznie podupadło, ofiarowała im Sabina zaoszczędzony swój grosz, ażeby go tak długo używali, aż się lepszych czasów doczekają. Ten szlachetny postępek Sabiny aż do łez poruszył jej państwo. Bóg jednak zrządził, że

pomoc pieniężna zkądinąd im nadeszła, tak, że małą gotówkę dobrej sługi z wdzięcznością jej zwrócić mogli.

Sabina była prócz tego bardzo ostrożną w mowie. Państwo mogli jej powierzyć każdą tajemnicę bez obawy, aby sługa jej nie zdradziła. Mówiła tylko o dobrych przymiotach swego państwa, nigdy ich nie obmawiała, chociaż jako ułomni ludzie, mieli swoje błędy. To też w każdym razie mogli się na nią spuścić, gdyż na wskróś była przejętą zasadami chrześcijańskiej miłości.

Sługa miłujący Boga, jest Mu też wierny, a kto Bogu wierny, nie może się stać niewiernym bliźniemu. (Mehler. Beispiele).

Irlandka.

Zaledwie przed 30 laty, w Nowym Jorku (w Ameryce) było zwyczajem, że kiedy szukano sługi w ogłoszeniach po gazetach, wyraźnie dodawano te słowa: poszukuje się sługi „niekatoliczki“.

Pewnego dnia tedy znajdowało się w jednej z głównych gazet ogłoszenie tego rodzaju, że pani N. poszukuje sługi, byle tylko nie była katoliczką.

Uboga, młoda irlandzka dziewica przyszła pomimo to, że była katoliczką, do owej pani i miała ze sobą najchlubniejsze świadectwa.

Gdy swoje papiery wyjęła, i one za po-

rządkiem pani domu przedkładała, rzekła taż surowo:

— Powiedz mi przedewszystkiem, czyś katoliczka?

— O, z pewnością, łaskawa pani! z łaski Bożej jestem katoliczką.

— Czyż nie czytałaś mego ogłoszenia, w którem wyraźnie stoi, że nie szukam katoliczki? krzyknęła pani — ja nie chcę wcale żadnej katoliczki w moim domu.

— I owszem, łaskawa pani, odrzekła Irlandka skromnie — czytałam ogłoszenie, ale sądziłam, że pani nie tak bardzo na tem zależy, czy jestem katoliczką, jeśli się tylko okaże, żem jest dobrą i wierną sługą i że pani dogodzę we wszystkiem. Proszę tylko spróbować, a jeśli pani ze mnie nie będzie zadowoloną, może mnie pani każdej chwili oddalić.

Na te skromne, a przytem roztropne słowa, gospodyni z początku nic nie odpowiedziała. Spoglądała bacznie na dziewczynę— spodobała jej się snać prostota i szczerość u niej, tak, iż po chwili rzekła:

— Zostań — zobaczymy.

Przez wiele tygodni biedne dziewczę znosić musiało ostre słowa, wiele cierpkości i uszczypliwości nietylko od państwa, ale najbardziej ze strony licznych sług, wyłącznie protestanckich. Nie szczędzono jej szyderstwa z religijnych jej ćwiczeń.

Ale wiara tej gorliwej katoliczki była niewzruszona; jej cierpliwość zwyciężyła wszystkie trudności.

Tak minęło kilka miesięcy, gdy wybuchła zaraza. Gwałtowna szkarlatyna jak anioł śmierci, przeciągała przez miasto i wkrótce dwoje dzieci tych państwa, u których nasza Irlandka służyła, zapadło na tę chorobę.

I cóż się nie dzieje? Oto wszystkie sługi wyznania protestanckiego, opuściły służbę; tylko Irlandka pozostała wierną, wspaniałomyślną, do ofiar gotową; dzień i noc pielęgnowała chore dziatki i to z gorliwością i tkliwością iście macierzyńską. Przy takiem staraniu i opiece, dzieci wkrótce do zupełnego wróciły zdrowia.

Po kilku latach, nowy cios uderzył w oną rodzinę. Mąż tej pani, bogaty przedsiębiorca, zbankrutował, tak, że wszystko musiało być sprzedane na licytacyi. Między meblami znajdowała się droga pamiątka po rodzicach, do której pani bardzo wielką przykładała wagę; Irlandka poczciwa słysząc, że bardzo bolesnem byłoby dla pani rozstanie się z tym przedmiotem, mimo wysokiej ceny, kupiła go za pieniądze zaoszczędzone i kazała postawić do paninego pokoju.

Gdy tedy pani przyszła do pokoju, przestraszyła się z początku na widok nagich ścian; ale gdy ujrzała ukochaną swą pamiątkę, zbladła i zawołała:

— Co to jest? Jak się to stało? Tego jeszcze nie wzięli!

— I nie wezmą — odrzekła Irlandka. To jest panine, jam to kupiła i szczęśliwą się czuję, że mogę ten mebel pani ofiarować.

Tyle miłości i dobroci nie potrzeba, aby serce kobiety, a zwłaszcza matki, wzruszyć i zwyciężyć.

Ze łzami w oczach rzuciła się na szyję swej sługi i rzekła:

— O jakże podziwienia godna jest wasza religia! Twoje heroiczne poświęcenie się dla mych dzieci, wzruszyło mnie mocno; obecna wspaniałomyślność twoja, dopełnia dzieła — przepadł mój protestantyzm; chcę tak jak ty — zostać na zawsze katoliczką. (Eichsf. Volksbl.).

Zacna służąca.

W domu rodzicielskim św. Moniki, później matki św. Augustyna, była dość już w lata podeszła sługa, którą tak dla jej doświadczenia, jakoteż i dla cnoty, wysoko ceniono i niejako za członka rodziny uważano. Miała ona nadzór nad dziećmi, które ją na skinienie musiały słuchać. Jej to św. Monika zawdzięczała prawie całe swe wychowanie. Pouczała i napominała ją przy każdej sposobności; w surowości swojej niczego jej płazem nie puściła. Nie pozwalała jej nigdy

ani jeść, ani pić, oprócz czasów do posiłku naznaczonych, przez co nauczyła ją wierności i poskramiania swych żądz.

Święta Monika okazywała roztropnej swej słudze albo raczej wychowawczyni, wielką wdzięczność, nawet gdy już umarła. O niej opowiadała swoim synom, z których jeden t. j. święty Augustyn, to, cośmy o niej powiedzieli, w swoich wyznaniach opisał.

Ludwika Démousseaux.

Przed kilku laty umarła w Paryżu kobieta, która ze wszechmiar zasługuje, aby ją wszystkim, a mianowicie sługom, jako wzór doskonałego wypełniania obowiązków postawić.

Całe jej życie było ciągłem zaparciem się siebie, połączonem z prostotą serca i heroiczną miłością bliźniego, która mimowolnie za serce chwyta.

Ludwika Démousseaux (Demusso), tak się nazywała owa kobieta — przyszła na świat w Nantes. Urodzona z zacnych, lecz ubogich wieśniaków, już bardzo młodo wstąpiła w służbę u państwa Combat (Kombà), którzy w Paryżu mieli sklep z papierem. Wielką miłością przylgnęła do swej pani, która ją raczej za przyjaciółkę, niż za sługę uważała. Niebawem zwierzyła się przed nią ze swojem strapieniem. Pan Combat nie miał szczęścia w swym interesie; stracił majątek, przez

co przyjętych na siebie zobowiązań nie mógł spełnić. Nieszczęśliwemu temu człowiekowi groziło bankructwo, narażające jego honor i wolność. Ludwika odczuła to nieszczęście jakby własne. Właśnie w tym czasie umarł jej ojciec i pozostawił jej kawałek gruntu w spuściznie. Przedała go więc i dostała zań sześć tysięcy franków. Dla niej była taka suma wielkim majątkiem; mogła na własną rękę założyć sklep i żyć niezawiśle. Ale ona nie myślała o tem; dała te pieniądze swej pani, aby ich według potrzeby użyła. Honor kupca został ocalony, wolność zapewniona, ale interes jego nie poprawił się. Jakoś nie miał szczęścia; Ludwice nie mógł zwrócić ani kapitału, ani procentów płacić, ba, nawet nie był w stanie za służbę jej wynagrodzić. Lecz Ludwika nie przestała pomimo to państwu swemu wiernie służyć, i owszem, przywiązanie rosło w jej sercu w miarę nieszczęść, jakie ich spotykały.

Na jej rękach umarła pani Combat, złamana życiem pełnem cierpień i ofiar. Jeszcze w ostatniej chwili życia poleciła jej opiece swego już chorego męża i pięcioro jeszcze małych dziatek, które bez pomocy i w ostatniej nędzy porzucić musiała. Ludwika uroczyście jej przyrzekła, że ich nigdy nie porzuci, a od tego czasu stała się głową rodziny.

I pan Combat umarł; lecz jego dzieci po-

mimo to nie zostały sierotami. Od chwili urodzenia, była im Ludwika tkliwą matką. Pobożnością prawdziwie chrześcijańską kierowała ich religijnem wychowaniem, już za młodu przyuczała ich do pracy i starała się o to, aby każde z nich nauczyło się pracować na kawałek chleba. Rozumie się, że wszystkie dzieci kochały ją jak prawdziwą matkę i starały się jej nagrodzić wszystko dobre, co dla nich uczyniła.

Ludwika czyniła to wszystko, jakby to było jej obowiązkiem. Starała się o wszystkie potrzeby swej przybranej rodziny, nie wzywając niczyjej pomocy, i tylko przypadkiem dowiedziano się w szerszych kołach o tej heroicznej miłości poczciwej i zacnej sługi. (Eichsf. Volksbl. 1889).

Wierna sługa na stosie.

Matka Don Juan'a Alfonso de Guzman wpadła w moc króla Piotra z Kastylii, któremu nie bez słuszności, współcześni nadali przydomek „Okrutnego.“ Szaloną nienawiścią pałając ku rodzinie Guzmanów, skazał niewinną matronę na śmierć przez spalenie na stosie.

Wzniesiono zatem stos na rynku miasta Sewilli, i postawiono na nim staruszkę, przywiązawszy ją do pala. Sługi jej towarzyszyły jej aż do tego miejsca, poczem odstąpiły —

a z ich łzami zmięszały się łzy mnogiego ludu, który od swej pani w dniach szczęścia, wiele dobrego doznawał.

Już stos podpalono — już płomień bucha w górę i porywa jej suknie; już jęk boleści wyrywa się z ust zacnej matrony. Słyszy to najwierniejsza z wiernych jej sług: pokojowa Izabella Davalos; miłująca swą panią aż do śmierci, biegnie, wstępuje na stos, klęka i obejmując nogi nieszczęśliwej swej pani, kona wraz z nią w okrutnych mękach!

Co za ofiara! co za miłość! Rodzina Guzmanów kazała zebrać popioły obojga; wspaniały kościół św. Izydora w Sewilli mieści popielnicę, a na marmurowym pomniku uwiecznioną została ta wzruszająca scena. Widać tam dziewczynę klęczącą przed swą panią i obejmującą jej kolana, podczas gdy płomienie pożerają obie.

Tak uczciła rodzina Guzmanów pamiątkę tego czynu heroicznego. Prócz tego obowiązał się każdy członek rodziny Guzmanów jak najuroczyściej, że żadnego członka rodziny Davalos, będącego w potrzebie, bez pomocy nie zostawi, chociażby to miało kosztować jak najwięcej. (Mehler, Beispiele).

Wierna aż do śmierci.

Podczas trzęsienia ziemi w mieście Port au Prince, na wyspie Domingo 1770 roku,

znajdowała się niewolnica murzynka sama jedna w domu swego państwa z dzieckiem, które piastowała, gdyż wszyscy ujrzawszy groźne niebezpieczeństwo, uciekli zawczasu.

Ona widząc, że już sufit się wali, ciałem swojem zasłoniła dziecię, leżące w kolebce. Gdy dom cały leżał w gruzach, zrozpaczeni rodzice, chcąc przynajmniej zwłoki dziecka obaczyć i pogrzebać, kazali odkopać gruzy. Odkopawszy, ujrzeli poczciwą murzynkę zdruzgotaną belkami i rumowiskiem — a pod jej skrwawionemi zwłokami dzieciątko zdrowe i nietknięte.

W dowód wdzięczności, postawili jej państwo wspaniały pomnik.

Antoni, wierny sługa.

Za panowania Ludwika XIV, króla Francuzkiego, żyła w Paryżu pani Varonne, wdowa po pułkowniku. Już od dawna prosiła o pensyę, ale otrzymywała tylko próżne obietnice. O ile za życia męża nie zbywało jej na przyjemnościach, o tyle zbywało jej teraz na rzeczach, koniecznych do utrzymania życia.

Musiała wszystkie zbyteczne sługi odprawić, tylko wierny Antoni pozostał, który już 20 lat z rodziną pułkownika dzielił smutki i radości. Gdy jednak wszystko srebro i najlepsze sprzęty musiano sprzedać, by jakkol-

wiek życie utrzymać, gdy już ostatnie źródło dochodu wyschło, a niedostatek najwyższego dosięgnął stopnia, wypowiedziała i staremu Antoniemu służbę. Ale Antoni nie odszedł.

— Łaskawa pani, rzekł, ja zostanę tak długo, aż mnie pani gwałtem nie wypędzi. Podły jest ten, co swych dobrodziejów w potrzebie opuszcza! Jeśli pani trudno w tych okolicznościach mnie wyżywić, to ja sam sobie potrafię zarobić. A co się tyczy zapłaty, niech się pani wcale nie troszczy! Mam nadzieję, że się pani jeszcze dobrze powodzić będzie; pani jesteś tak dobra i zasługujesz na najlepszy los na ziemi. Gdy szczęście powróci, będzie jeszcze dość czasu, ten mały dług zaspokoić.

Pani Varonne musiała ustąpić, a Antoni jeszcze tego samego dnia najął się u kowala w sąsiedztwie, i miał u niego wikt i mieszkanie. Wierny ten sługa pracował więc i dla siebie i dla pani. Kowal nie mógł się dość nachwalić pilności i pracowitości nowego swego czeladnika; a ten nigdy nie był weselszy, jak kiedy mógł kilka franków oszczędzić, aby za nie swej dobrej pani więcej wygód dostarczyć.

Co rano i wieczór przychodził, a po spełnionych obowiązkach służącego, spieszył do kuźni. Tak trwało kilka miesięcy; ale dnia jednego, nie przyszedł jak zwykle posprzą-

tać. Pułkownikowa zaniepokoiła się; gdy nagle przyszedł kowal i przyniósł smutną wiadomość, że Antoni ciężko zachorował i przysłał go, aby pani o tem oznajmił.

— Biedny człek zapracował się, rzekł kowal, aby kilka franków więcej zarobić — żałował sobie nocnego wypoczynku i stał codzień aż do drugiej w nocy przy kowadle. To przewyższa siły najzdrowszego człowieka.

Pani Varonne posłała po biegłego lekarza i prosiła go, aby się nim jak najstaranniej zajął. Lekarz wzruszony wiernością sługi, a wdzięcznością pani, podjął się kuracyi z całą gorliwością, a nadto całe to zdarzenie opowiedział pani Maintenon, którą król wielce poważał. Ta dowiedziawszy się o smutnym losie wdowy, wyjednała u króla pensyę, o którą od tak dawna prosiła. Z radością nieopisaną przyjęła p. Varonne tę wiadomość. Z wdzięcznością dzieliła teraz dary szczęścia z wiernym Antonim. Na jej koszt doznawał w domu kowala najlepszego pielęgnowania, a skoro wyzdrowiał, na zawsze przyjęty został do domu swej pani, która tak go szanowała i ceniła, jak na to wierność jego zasługiwała. (Mehler).

Cnotliwy sługa.

Pewien szlachetny rycerz francuzki, doprowadzony do ostatecznej nędzy, wybrał

się do Paryża, aby tam wśród zgiełku ludzi tem łatwiej ukryć przed oczyma wszystkich swe imię, swą nędzę i swe nieszczęście.

Najął mieszkanie na poddaszu, nie mając innych sprzętów, prócz słomianego siennika; odzienie jego stanowiły tylko łachmany z dawnego uniformu, za towarzysza zaś i przyjaciela miał tylko starego sługę, który był doń przywiązany od dawna.

Pewnego dnia rzekł ów rycerz ze łzami w oczach do jedynego świadka swych cierpień:

— Mój przyjacielu, ty widzisz mą niedolę, dzielisz ją bowiem ze mną od tak długiego czasu; oddal się na zawsze od najnieszczęśliwszego z ludzi; poszukaj sobie szczęśliwszej służby; mnie zostanie tylko żal, że ci nie mogę nagrodzić twej służby.

— Ach, mój drogi panie! zawołał wierny sługa, płacząc i rzucając mu się do nóg — czyż pan sądzisz, żem tak nikczemny, abym pana opuścił w nieszczęściu, kiedy doświadczałem twych dobrodziejstw w czasie twego dobrobytu? Nie, ja pana nigdy nie opuszczę; przywiązanie moje ku panu, dostarczy mi środków do zaspokojenia wspólnych potrzeb naszych.

— Jeszcze Bóg nie zapomniał o mnie — odrzekł rycerz wzruszony, kiedy mi zostawił tak zacnego i szlachetnego przyjaciela!

Pełen radości i ufności, przynosił odtąd

ów sługa swemu panu to, co uzbierał z jałmużny, i nie mógł się nacieszyć, gdy mógł kupić dla dawnego pana swego nieco wina.

— Dziękujmy Opatrzności, mówił wtenczas, dziś doznaliśmy szczególniejszej Jej łaski.

Następnie opowiadał mu ciekawe zdarzenia, o których się dowiedział, aby panu osłodzić chwile smutku.

Dnia jednego poczciwy ten sługa został schwytany przez policyę. Ponieważ był pełen życia i dobrze zbudowany, a przytem szedł przez ulicę zamyślony, zdało się policyi, że ten nędznie ubrany człowiek, należy do rzędu tych ludzi bezczynnych, co się oddają wszelkim występkom i są ciężarem państwu i społeczeństwu.

Stawiono go przed starszego urzędnika policyi, który go badał surowo.

Sługa nie tracąc ducha, odpowiadał mu z taką szczerością i pewnością siebie, jaką nadaje czyste sumienie i życie bez skazy. Nareszcie prosił go jako o wielką łaskę, aby go raczył przesłuchać na wolności, gdyż ma mu ważną tajemnicę powierzyć. Urzędnik zezwolił.

— Nie wątpię, rzekł wtenczas, że mi pan udzielisz swojej opieki, gdy panu powierzę tajemnicę mego postępowania.

Następnie opowiedział mu całą historyę swego pana; urzędnik wzruszony opowiada-

niem, posłał natychmiast zaufanego człowieka do owego rycerza, chcąc się dowodnie przekonać, czy sługa prawdę mówi.

Jakoż okazało się, że wszystko co do joty jest najistotniejszą prawdą; urzędnik doniósł o tem królowi, który wyznaczył pensyę i owemu rycerzowi i tak cnotliwemu słudze. (Berenger. Cnoty ludu).

Niewolnica z Saint-Domingo.

Pani H. urodzona w Saint-Domingo, musiała r. 1792 opuścić tę wyspę, aby się nie stać ofiarą rewolucyi, która tamże wybuchła. Straciła cały swój znaczny majątek i schroniła się do Mirecourt w Lotaryngii. Miała w Saint-Domingo wielu niewolników i niewolnic, między któremi znajdowały się i murzynki, którym ona wielką dobroć okazywała i starała się wpoić w nich zasady wiary i miłości.

Jedna z nich była bardzo do swej pani przywiązana i nie mogła się uspokoić po jej odjeździe. Starała się przeto wszelkimi sposobami dowiedzieć się o miejscu pobytu dawnej swej pani; ale odległość wielka (z Ameryki do Europy) i trudność komunikacyi, nie pozwoliły jej długo dopiąć tego celu. Dopiero po 20 latach, Opatrzność Boska wysłuchała życzeń tej poczciwej i zacnej sługi. Dowiedziała się, że pani jej zostaje w Mirecourt

i musi pracować na utrzymanie. Do łez wzruszona tą nowiną, odważyła się na ofiarę heroiczną, aby pocieszyć w smutku tę, którą tak bardzo miłowała.

Otóż, będąc już oddawna wolną, udała się do Nowego Orleanu i sprzedała się w niewolę, a pieniądze za swą wolność otrzymane, posłała swej pani.

Można sobie wystawić, jak pomoc tak niespodziana i tak heroiczna miłość murzynki, wzruszyły serce pani H.; codzień polecała ona Bogu w modlitwach swą dobrodziejkę. (Ami de la religion. XXVI. vol).

Dwie niewolnice.

Genzeryk, król Wandalów w Afryce, był jak wiadomo, Aryaninem i prześladował okrutnie katolików. Endemon, bardzo bogaty i w całej Kartaginie poważany obywatel i nie mniej gorliwy katolik, został na rozkaz Genzeryka pozbawiony majątku i z całą rodziną wypędzony z kraju. Były to bolesne ciosy; ale najboleśniejszy spotkał go wtenczas, gdy mu jedyną i najmilszą córkę Maryę, gwałtem wydarto i jako niewolnicę syryjskim kupcom zaprzedano.

Szczęście, czyli raczej Opatrzność, czuwająca nad młodą i niewinną Maryą, zrządziła, że z nią zaprzedano w niewolę także jednę z jej służących. Obie zostały więc na ten

sam okręt wsadzone i w Syryi sprzedane w niewolę jednemu panu.

Ta wierna, rzadka służąca, nie mogła się utulić z żalu, widząc, że jej dawna, ukochana pani, dziś w tak smutnem i niegodnem jest położeniu. Obie były wprawdzie niewolnicami, a jednak zacna ta służąca nietylko na okręcie, ale i u nowego państwa, dawną swą panią równie czciła i poważała, jak przedtem; czyniła jej wszelkie posługi i wszelkie ponosiła ofiary, aby tylko los Maryi nieco złagodzić.

To dziwne i niezwyczajne postępowanie jednej niewolnicy względem drugiej, nie uszło uwagi nowego państwa. Zaczęli więc badać obie, i dowiedzieli się o stanie i zacności urodzenia Maryi.

Wkrótce i po całem mieście rozeszła się wiadomość o tak rzadkiem, nawet w nieszczęściu wiernem przywiązaniu sługi do dawnej swej pani; podziw ogarnął wszystkich. O niczem nie mówiono w mieście, tylko o tem. Wszyscy boleli nad ciężkim losem zacnej, w kwiecie wieku, tak nieszczęśliwej Maryi.

Kilku katolickich żołnierzy z załogi, złożyło swoje oszczędności, i wykupiwszy Maryę, oddało ją pod opiekę biskupa Teodoreta.

Biskup dowiedziawszy się, że ojciec Maryi

żyje i zostaje w wojsku cesarza Walentyniana, odesłał ją ojcu.

Któż opisze radość ojca i córki, witających się po długiej rozłące! A tej radości przyczyną, była wierność i zacność sługi. (Mehler, Beispiele).

Eufemia.

W roku 1800, pan P., bogaty obywatel Kajenny, miał niewolnicę, która wyszczególniała się swą skromnością i pobożnością; wiernie spełniała swe obowiązki i nigdy od żadnej pracy się nie usuwała. Pan P. człowiek zacny i miłośnik cnoty, chcąc wynagrodzić dobrej murzynce, ofiarował jej wolność; uczynił to z tem większą przyjemnością, że majątek jego pozwalał mu na ten dobry uczynek wobec tej, która swym przykładem przynosiła mu wielki pożytek w gospodarstwie.

Ale i najbardziej kwitnące majątki, doznają niekiedy upadku. Pan P. umarł również, jak i jego małżonka; w stanie bardzo bliskim zupełnej nędzy. Po ich zejściu sprzedano resztę nieznacznego już majątku, a suma ta nie wystarczała na zaspokojenie wierzycieli.

Państwo P. zostawili troje nieletnich sierót. Kto je przytuli? Kto zaspokoi ich potrzeby? Kto im zastąpi kochającą matkę?

Dawna niewolnica: Eufemia. Przejęta wdzięcznością ku dawnym swym dobrodziejom, ta szlachetna murzynka stanie się ich matką przybraną; w niej odnajdą tkliwość i troskliwość prawdziwej matki.

Odtąd nie miała Eufemia ani wypoczynku, ani żadnej rozrywki; skazała się na pracę najprzykrzejszą i oddała się jej z gorliwością nadzwyczajną nietylko w dzień, ale i w nocy; od ust sobie odejmowała, by wyżywić i wychować troje tych biednych sierót; a jednak nie żądała nigdy wsparcia. Widząc jednak, że jej praca i przemysł nie wystarcza, aby te dzieci wychować stósownie do ich stanu i zapewnić im stanowisko odpowiednie, przez przywiązanie do dawnych dobrodziejów swoich, zaślubiła cnotliwego i pracowitego murzyna, który tem samem uczuciem wdzięczności przejęty, poświęcił się również dla szczęścia trojga tych sierót.

Był on bardzo zdolnym stolarzem i miał bardzo wiele pracy. Owoc jego zajęcia i trudów, wystarczał na ich wychowanie.

Zacna ta murzynka, znając wybornie zasady wiary świętej, wzięła na siebie obowiązek religijnego wychowania swych przybranych dzieci. Nauczyła ich pacierza, katechizmu, najstaranniej przygotowywała je do pierwszej Komunii św.; w tym dniu uroczystym sama się zbliżyła do Stołu Pańskiego

i chciała, przyjmując Boga swego, podzielić się ich szczęściem.

Podziwieniem przejęci obywatele miłosierni, na widok takiej zacności ze strony ubogiej murzynki, niegdyś niewolnicy, wzięli na siebie obowiązek wychowania już dorosłych sierót, które później zajęły znakomite stanowiska w świecie. (Trésor des Noirs).

Róża.

W roku 1797 pani Ninet de la Boularderie, właścicielka realności w Guyanie francuzkiej, miała murzynkę, która wdzięczna za dobrodziejstwa, nie przestawała jej dawać dowodów najtkliwszego przywiązania.

Naraz wybuchła tamże rewolucya. Róża czemprędzej daje znać o tem swej pani. Pod osłoną nocnych ciemności, zaprowadziła ją ku rzece, wsadziła na czółno i zawiozła wśród tysiącznych niebezpieczeństw, na miejsce bezpieczne, ocaliwszy jej w ten sposób życie.

Pani de la Boularderie sądziła, że nie zdoła jej lepiej wynagrodzić, jak darowując jej wolność.

— Róziu, rzekła do niej, tyś mi ocaliła życie — chcę ci za to wynagrodzić. Od tej chwili jesteś wolną, możesz mnie opuścić i pójść, dokąd ci się podoba; nadto dam ci dostateczną sumę pieniędzy, abyś sobie mogła własne gospodarstwo założyć.

— O, dobra pani, zawołała Róża, składając ręce i łzy wylewając — od czasu jak jestem u pani, tylko samych doświadczałam dobrodziejstw, pani uczyniłaś mnie szczęśliwą, a chcesz, abym cię teraz porzucała?! Nie, dobra pani, nie — tego nigdy nie uczynię. Jakżebym mogła być szczęśliwszą, jeśli będę zdala od pani! Błagam cię, pozwól mi zostać przy sobie!

Aż do łez wzruszona pani de la Boularderie, szczęśliwa, że nie utraci murzynki tak wiernej i przywiązanej, z radością przystała na jej żądanie.

Róża już wolna, mieszkała w domu swej pani, mając całkowite jej zaufanie, i nigdy go nie zdradzając. Zajmowała się nauczaniem prawd wiary św. innych murzynów i przygotowywaniem ich do pierwszej Komunii świętej.

Miłość jej była gorąca; dlatego pani de la Boularderie poruczyła jej pielęgnowanie chorych. Ile razy ich odwiedzała, zastawała zawsze Różę przy nich, albo pielęgnującą, albo pocieszającą tych nieszczęśliwych.

Wszyscy murzyni, zachwyceni cnotami Róży, mieli dla niej głęboki szacunek.

Umarła wśród uczuć najgorętszej pobożności w objęciach tej, którą nazywała zawsze swą kochaną panią, a która jej oczy zamknęła. (Trésor des Noirs).

Jan Ludwik.

Pan C. de Mares, miał w Kajennie roku 1820, młodego murzyna, którego wszyscy kochali dla jego cnoty i poczciwości. Jan Ludwik, tak się nazywał murzyn, mając lat blisko szesnaście, korzystał ze wszystkich rad ojcowskich pana swego.

Razu pewnego pan C. surowo go skarcił i ukarał za małe jakieś przewinienie. Jan Ludwik już żałując za swój błąd, wyszedł ze łzami w oczach i skrył twarz swą w dłonie, ale wkrótce powrócił i rzucając się do nóg panu, zawołał:

— O mój drogi panie! ja wiem, że pan mnie dla dobra i szczęścia mego karze!... Błagam cię panie, przebacz mi, już więcej tego nie uczynię — obiecuję panu szczerze. Tak, drogi panie — przebacz mi!

Pan C. znając dobre jego usposobienie, przebaczył mu z radością. Jan Ludwik nie zapomniał swej obietnicy, gdyż od tej chwili zachowywał się nienagannie.

Pan C. zapadał często na zdrowiu; Jan Ludwik zawsze był przy nim i wyprzedzał jego życzenia.

— O, mój drogi panie, wołał nieraz, całując go w rękę — jakżebym chciał widzieć pana zdrowym!

Nie chciał gdzie indziej sypiać, tylko przy

łożu swego pana. Nieraz w nocy budził się i pytał:

— Panie, czy pan nie potrzebuje czego?

Z temi pięknymi przymiotami, łączył niepospolitą wierność i pobożność nad wiek swój. Nauczywszy się wybornie katechizmu, doskonale znał prawdy wiary św.; to też rozkoszą jego największą było, o tych prawdach pouczać swych towarzyszy.

Modlił się gorąco i nigdy nie zaniedbywał swych modlitw. (Tamże).

Wdzięczny sługa.

Pewien misyonarz szedł raz wieczór przez cmentarz wiejski w Tyrolu. Wtem spostrzegł na grobie klęczącego młodzieńca, zatopionego w gorącej a rzewnej modlitwie. Myśląc, że mu jakiś smutek dolega, lub nieszczęście go spotkało, zbliżył się misyonarz do niego i zapytał:

— Kochany bracie, dlaczego płaczesz? Powiedz mi, co ci dolega? — może ci będę mógł dopomódz, a uczynię to z radością.

Na te słowa powstał klęczący, pocałował kapłana z uszanowaniem w rękę i rzekł:

— Dziękuję Waszej Wielebności za dobre słowo, ale nic mi nie dolega; płaczę nie ze smutku, lecz z miłości i wdzięczności. Tu oto, pod tym kamieniem, mówił młodzian, spoczywa para ludzi, jakich mało jest na

świecie; byli to niegdyś moi służbodawcy— i im to, Wielebny Ojcze, zawdzięczam duszę swoją, nawrócenie i pocieszającą nadzieję wiecznego szczęścia!

Jako lekkomyślny młodzik, oddany światu i przyjemnościom jego, zgodziłem się do nich na służbę i nie miałem wcale zamiaru odmienić życia. Lecz zaraz pierwszego wieczora, zawołała mnie moja nowa gospodyni do siebie, wzięła mnie za rękę i powiedziała:

— „Kochany Józefie, wiem, jakie życie prowadziłeś dotąd, i bardzo cię z tego względu żałuję. Ale teraz musisz się zmienić — w moim domu panuje Pan Bóg; grzech nie ma u nas miejsca. Wyrzecz się więc swego życia, ustatkuj się, a będę się z tobą obchodziła jak z własnem dzieckiem, i nie będziesz tego nigdy żałował. Stań się pobożnym i czyń dobrze od tej chwili — ja zaś dopomogę ci do tego radą i czynem, a błogosławieństwo Boskie będzie z tobą po wszystkie czasy.“

I nawróciłem się i stałem się innym człowiekiem od tej chwili. Przychodzę tu codzień, by się modlić za swoich dobroczyńców, inaczej nie mogę się im wywdzięczyć.

Mówiąc to, zalewał się rzewnemi łzami.

Chrześcijańscy rodzice i służbodawcy, czyńcie tak samo, a nie przekleństwo, lecz bło-

gosławieństwo dzieci waszych i podwładnych będzie wam towarzyszyło do grobu!

Niewierna sługa.

„Przed dwoma tygodniami powróciła niańka londyńskiego kupca Dowina do domu. Skoro matka wzięła dziecko na ręce, wypadł z pieluch piękny liścik, który na kopercie nosił napis: „Dla pani.“ Przerażona matka otworzyła list i czytała.

Oto treść listu:

„Czy wiesz tkliwa matko, w jaki sposób twoje dziecko po za domem bywa strzeżone? Niańka przechadza się z swojemi przyjaciółkami, zostawiając wózek w cieniu drzewa przy drodze; dziecko się zanosi od płaczu, a nikt się o to nie troszczy. Na dowód, że jestem tylko miłośnikiem ludzi, a nie oszczercą, niech posłuży to, że pisałem ten list na pokryciu wózka pańskiego dziecka, następnie zatknąłem go między pieluszki, a nikt mi nie przeszkodził. A cóżby się stało, gdybym był złoczyńcą?“

Pani Dowin pobiegła do męża i pokazała mu ten list. Mąż ją uspokoił i prosił, aby tę sprawę jemu powierzyła.

Następnego dnia znowu niańka wywiozła dziecko w wózeczku na świeże powietrze; gdy się zciemniło, powróciła do domu i nagle w podwórzu przeraźliwie krzyknęła. Pani

Dowin, jej mąż i służba wybiegli i ujrzeli niańkę drżącą na całem ciele, bladą z przerażenia. Trzymała w ręce wielką lalkę, ubraną w sukienki powierzonego sobie dziecka.

Łkając i zanosząc się od płaczu, upadła państwu do nóg; pan wziął ją za rękę i poprowadził ją do pokoju. Ku niewymownej swej radości, ujrzała dziecko spokojnie śpiące w łóżeczku.

Przyszedłszy do siebie z wielkiego przestrachu, skakała z radości. Ale wkrótce radość jej zamieniła się w smutek, gdy policyant przyszedł i zabrał ją do aresztu.

Drżącym głosem opowiadał pan Dowin przy sądowej rozprawie, że on sam przyniósł lalkę, zamienił ją i ubrał w sukienki dziecka, a dziecko przyniósł do domu; niańka nawet się nie obejrzała.

— Źli ludzie lub zwierzęta, rzekł, mogli napaść na moje dziecko, a niktby nie był przybył na pomoc. Żądam surowego ukarania tej kobiety.

Niańka ani słowa na usprawiedliwienie swoje nie mogła wyrzec; przyznała, że za mały trud, miała dobrą zapłatę i wygody. Prosiła tylko, aby sędziowie zważyli ten jej przestrach, gdy zamiast dziecka, ujrzała lalkę, i że to już dostateczną było dla niej karą.

Zważywszy bezgraniczną lekkomyślność dziewczyny i niebezpieczeństwo, w którem

po dwakroć dziecko z jej winy się znajdowało, skazał ją sędzia na cztery miesiące więzienia; a w służbowej książeczce kazał napisać: „Jako na niańkę, nie można się spuścić.“

Jak w domu, tak na służbie.

Rozkoszne to było dziecko! Wesoła, rozumna, dowcipna, a miła z wejrzenia jak aniołek z nieba. Cała wieś zazdrościła młynarzom tej jedynaczki; kto ją tylko znał, lubiał się z nią bawić — a matka widząc to wszystko, rozpływała się z radości; bo jeśli Kasia już teraz wszystkich oczy na siebie zwraca, cóż to dopiero będzie w przyszłości. Wprawdzie dziewczynka nie bardzo się brała do pracy domowej i zawsze wolała się bawić z drugiemi, niż pomódz w czem ciężko pracującej matce; owszem, od każdej pracy tak sprytnie umiała się zawsze wymówić, całując to ojca, to matkę po rękach, że wnet rozbroiła kochanych rodziców — a chociaż nieraz i bardzo na karę zasłużyła, to jednak nikt jej ukarać nie śmiał. Sama nawet matka za złe brała ojcu, że naganiając ją do pracy, zbyt wiele żądał od dziecka; a w duchu myślała sobie: to dziecko tak ładne, tak mądre i dowcipne, nie będzie przecież potrzebowało tak ciężko jak my,

pracować w przyszłości — na cóż więc męczyć ją za młodu?

Tak samo myślała i Kasia, nie spieszyło się jej więc nigdy do pracy; ale za to do zabaw i śmiechów, nie było milszej towarzyszki — to też nie obeszło się później żadne wesele we wsi, gdzieby Kasia pierwszą drużką nie była. Rodzice ciężko pracować musieli, aby jej coraz to nowe sprawiać suknie; bo przyszło do tego, że skoro która z jej towarzyszek taką samą jak Kasia chustkę dostała, ona już w swojej ani do miasta, ani do kościoła pójść nie chciała; stroiła się, a tymczasem niedostatek zaczął się wkradać do domu.

Razu jednego, a miała już wtedy lat 18, Kasia wróciwszy z wesela, mówi do matki: „Matusiu moja, ja już widzę, że w naszej wsi dobrego losu nie zrobię; nie chcę ja wam być ciężarem, pójdę więc do miasta, do obowiązku — przecie mi się tam prędzej coś lepszego trafi.“ Oj, ciasno jej już było na wsi, zachciało jej się wielkiego miasta.

Matce na te słowa serce się ścisło i łza w oczach się zakręciła, bo w tem dziecku całą swą nadzieję pokładała; że jednak nie umiała nic Kasi odmówić, poszła do ojca i tak długo tłómaczyła i przekonywała go, aż tenże Kasi dom rodzicielski opuścić pozwolił. Do miasta potrzeba jej było nowej wyprawy i sukien miastowych; biedni rodzice sprze-

dali więc trochę dobytku, a resztę zapożyczyli się u sąsiadów i Kasię do miasta wyprawili. Obowiązek znalazła wprawdzie i nie zły, ale tam dużo było pracy; a Kasia pominąwszy, że żadnej roboty należycie nie umiała, czuła nadto wstręt do pracy. Zmuszona była tedy po pierwszym miesiącu zmienić obowiązek; ale i nowy nie był lepszy, bo i tam pracy żądano, a przytem zasługa, jaką pobierała, była tak małą, że jej ani na strój, do którego przywykła, wystarczyć nie mogła. Pisywała więc rozpaczliwe listy do rodziców, z prośbą o pieniądze. Rodzice póki mogli, posyłali; wreszcie wyniszczywszy się do ostatka, przestali posyłać — wtedy też i córka pisywać przestała; a zwłaszcza skoro się dowiedziała, że ojciec młyn i dobytek sprzedawszy, z niedostatku umarł — a matka na komornę poszła.

We wsi zapomniano o Kasi; niektórzy tylko szeptali między sobą, że Kasia źle się prowadzi, co także łatwo było zrozumieć; bo jeśli za młodu nie była przyzwyczajoną do pracy, to w późniejszym wieku daleko trudniej przyzwyczaić się do niej mogła. Nikogo zresztą los jej nie obchodził, prócz biednej matki, która nie chcąc wierzyć ludzkim językom, nic się o córce swej dowiedzieć nie mogła. Minęło jeszcze parę lat, aż wreszcie razu jednego, dzieci bawiąc się wieczorem przy drodze, spostrzegły jakąś scho-

rzałą kobietę, zbliżającą się do wsi. Siły widocznie ją opuszczały — poczęła chwiać się, nareszcie upadła na kupkę kamieni. Dzieci pobiegły po starszych, a ci przybywszy, zastali ją już konającą. Kilka strzępków zaledwie pokrywało jej gnijące członki; ciemno-żółta i obrzękła twarz, nad wyraz wstrętny przedstawiała widok; nikt się do niej przybliżyć nie śmiał, nikt jej litości nie okazał. Z obrzydzeniem tylko pytali się jedni drugich, zkąd ta przebrzydła włóczęga przyszła? Dopiero stara młynarka zaciekawiona zbiegowiskiem, przybywszy do konającej, w jej rysach poznała swoją: Kasię.

Córki, służące, uczcie się z tego przykładu, który się niestety coraz częściej powtarza, jak się macie strzedz i zachowywać w domu i na służbie, abyście się podobnego losu nie doczekały, jak ta nieszczęśliwa córka.

L. 12 gr.

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Długołęcki T. J.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
Kraków 5 Stycznia 1891.

† *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Lakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

IV^te^ Przykazanie.

(Dokończenie).

Przykłady dobrych panów.

Święty Franciszek Salezy.

Nigdy nie groził sługom, nigdy im przykrego ani szorstkiego nie rzekł słowa. Jeżli który zbłądził, umiał mąż święty swe słowa taką łagodnością zaprawić, że się uchybiający sługa natychmiast poprawił, powodowany miłością nie zaś bojaźnią, której pan jego nigdy nie używał.

Kiedyśmy dnia pewnego, pisze Biskup z Belley, o sposobie obchodzenia się ze sługami rozmawiali, a ja mu rzekłem, że zbyteczna poufałość wytwarza w sługach pogardę panów, odrzekł tenże:

— „Nieprzyzwoita, prostacka i karygodna poufałość to czyni, ale nigdy poufałość, która się w granicach przyzwoitości i szacunku zachowuje. Ponieważ bowiem z miłości pochodzi, tworzy miłość sobie równą. Prawdziwej

zaś miłości zawsze towarzyszy szacunek i cześć dla osoby umiłowanej, gdyż miłość opiera się na szacunku, jakim jesteśmy dla osoby ukochanej przejęci".

— Tak ze sługami postępując, odrzekłem, trzebaby chyba dać im zupełną swobodę, aby czynili to, co im się podoba.

— Bynajmniej, odrzekł Święty; miłość jest panią serca, dla tego to umie je tak do skromności, roztropności, sprawiedliwości, umiarkowania i szlachetności, jak i do pokory, poddania się, cierpliwości, wytrwałości i słodyczy skierować. Rozważywszy wszystko należycie, to tylko mogę o sługach powiedzieć, że oni są naszymi bliźnimi i pokornymi braćmi, których miłować jak samych siebie, miłość nam nakazuje. Kochajmy ich przeto jak samych siebie, tych drogich bliźnich, którzy są nam tak bliskimi sąsiadami, że z nami pod jednym dachem i z naszego majątku żyją, i obchodźmy się z nimi jak z samymi sobą, albo raczej jakbyśmy chcieli, by się z nami obchodzono, gdybyśmy byli na ich miejscu. To jest najlepszy sposób obchodzenia się ze sługami. Samo przez się rozumie się, żeśmy niepowinni na ich błędy przez palce patrzeć, jeżli takowe są znaczne, ani też zaniedbywać należytego upomnienia; ale powinniśmy uznawać te usługi, jakie nam wierną swą służbą wyświadczają. Ztąd też nieraz dla zachęty, zadowolnienie okazać

im trzeba i dać im dowody, że im zupełnie ufamy i uważamy ich jako braci i przyjaciół, których cierpienia złagodzić i dobrobyt zapewnić chcemy. Jako silny prąd wiatru, który żagle rozpina, szybciej okręt na morzu porusza, jak sto uderzeń wiosłami, tak uprzejme słowo i oznaka życzliwości pierwej i skuteczniej pobudza sługę do wierności i gorliwości jak sto szorstkich, groźnych i przykrych rozkazów. (Belley o św. Franciszku Salezym).

Dobry gospodarz.

Był sobie pobożny wieśniak. Służbę swoją kochał jak własne dzieci. Nietylko uważał na ich postępki, ale też starał się o ich dobro tak doczesne jak i wieczne. Nie przyjmował nikogo na służbę, kto złej sławy zażywał, a gdy sam co zdrożnego spostrzegł, albo gdy które ze służby nie lubiało się modlić lub słuchać pobożnego czytania, zaraz je odprawiał.

Dobrym parobkom i skromnym dziewczętom dobrze było w jego domu. Nigdy nie dopuścił żadnej nieuczciwości. Nigdy mu jednak nie brakło ludzi, choć nie płacił zbyt wiele; ale porządek w pracy, w posiłku i we wszystkiem, pociągały ich do niego. Wszystko wisiało, leżało lub stało na wyznaczonem miejscu i tamże musiało być po

użyciu położone, aby je mógł każdy znaleźć. Nikogo też pracą nie obciążał.

Gdy które ze sług zachorowało, natychmiast posyłał po lekarza, i kazał chorego w osobnym pokoju pielęgnować. Sam go nieraz odwiedzał i jak własne dziecko pocieszał. Gdy przyszła niedziela lub święto, a droga któremu ze sług zdawała się za daleka, używał starego przysłowia: Im dalsza i przykrzejsza droga do kościoła, tem lżejsza i bliższa do nieba, moje dzieci!

Do nabożeństwa domowego, przeznaczona była osobna kaplica poza ogrodem, do której codzień rano i wieczór ze swoimi pilnie uczęszczał; modlitwa ich była krótka ale dobra, bo gdy wiele pracy miano, nigdy jej jednak z tego powodu nie opuszczano.

Gdy w nocy burza powstała, musieli wszyscy wstawać i modlić się. W niedzielę i święta czytał sam co z pobożnej książki ku zbudowaniu, aż go dzieci później wyręczyć mogły. Tym sposobem i dzieci i słudzy bardzo pięknie w cnocie postępowały, a błogosławieństwo Boże spoczywało nad jego domem.

Łagodny pan.

Święty Franciszek Salezy trzymał się względem swych sług i podwładnych zasady, której sam był twórcą:

— Prawda, która nie jest pełną miłości, nie pochodzi z prawdziwej miłości.

Ile razy któremu z swoich podwładnych albo sług, przykrą prawdę powiedzieć lub ich skarcić musiał, zawsze w duchu tej zasady postępował.

— Kto wskutek swego stanowiska, lub urzędu, ma obowiązek karcić błędy swoich poddanych, mawiał, ten powinien prawdy nieco trudne do strawienia, przy ogniu serdecznej miłości ogrzać i niejako ugotować, aby kara straciła cierpkość; inaczej bowiem skarcenie, podobne jest do owocu nieżrałego, który raczej boleści żołądka sprawia, jak żeby miał stać się dobrą i pożywną strawą. Karcąc, trzeba osobliwszym sposobem miłosiernego Samarytanina naśladować, który oliwy i wina nalał w rany biednego chorego.

Ulubione słowa jego były:

— *Dobra sałata więcej potrzebuje oliwy, jak octu i soli*, i te: *Gdy orzech jest zielony, bardzo jest gorzki, ale w cukrze usmarzony jest bardzo słodki i wzmacnia żołądek.* Kara ma z natury swej wiele cierpkości: jeśli się ją jednak pocukrzy łagodnością, ugotuje przy ogniu miłości, okaże się bardzo przyjemną i wspaniałą.

Jak łaskawie ten święty Biskup ze swemi sługami się obchodził, możemy poznać z następującego przykładu.

Pewnego poranku zbudził się tenże Święty bardzo rano, i zawołał swego pokojowego, aby go ubrał. Ale ten spał tak twardo, że głosu Świętego nie słyszał. Święty Prałat podniósł się, sądząc, że służącego niema w garderobie. Ale skoro rzucił okiem, obaczył, że sługa najsmaczniej śpi. Troskliwy o jego zdrowie, nie budził go, lecz sam się ubrawszy, modlił się i pisał. Gdy więc pokojowy się ocknął i po ubraniu się wszedł do pokoju Biskupa, zastał go siedzącego przy biurze. Zniecierpliwiony zapytał rubasznie świętego Biskupa, ktoby go ubrał?

— Ja sam, odpowiedział św. Franciszek. Czyż nie jestem w tym wieku abym się sam mógł ubrać?

Sługa gniewał się i odrzekł:

— Czyż Jego Mości tak trudno było mnie zawołać?

— Zapewniam cię, mój synu, żem ja nic nie winien. Nie raz wołałem cię, ale sądząc, żeś wyszedł z garderoby, wstałem i szukałem cię. Ale jak cię ujrzałem, że dobrze spisz, żal mi cię było budzić.

— Zdaje się Jego Mości sprawiać przyjemność szydzić sobie ze mnie, odrzekł pokojowy.

— O nie, mój przyjacielu, kiedy tak, to mnie nie znasz; nie chciałem szydzić z ciebie. Ja lubię wprawdzie wesoło pożartować, ale nie szydzę z nikogo! Już przyrzekam

ci, że odtąd tak długo będę wołał, aż się zbudzisz i wstaniesz, a kiedy tak chcesz, to się już nigdy bez ciebie ubierać nie będę. (Belley).

Żal za sługą.

Sławny włoski malarz Michał Anioł, napisał do swego przyjaciela, który go po stracie sługi starał się pocieszyć, następujący list:

— „Kochany przyjacielu! Pismo moje źle wypadnie; jednak muszę ci odpisać. Wiadomą ci jest śmierć Urbina, mego służącego, która dla mnie wielkiem dobrodziejstwem Bożem, ale i wielkiem jest nieszczęściem; dobrodziejstwem: bo ten zacny człowiek, który mi za życia służył, nauczył mnie przez swoją śmierć nietylko umierać, ale nawet za śmiercią tęsknić. Był on u mnie lat 26. Był wiernym i rzadkim sługą, a skorom go obficie zaopatrzył i cieszyłem się nadzieją, że w nim będę miał na starość podporę i pociechę, tracę go bez nadziei, że go obaczę, chyba w przyszłem życiu. Zachowanie się jego przy zbliżającej się śmierci zapewnia mnie o jego zbawieniu. Nie żałował, że musi umierać, ale tego żałował, że mnie z memi ułomnościami wśród złych i nieuczciwych ludzi musi zostawić. Największa część mej istoty już poszła za nim, wszystko zaś, co

mi jeszcze pozostało, to tylko boleść i utrapienie".

Tak kochał i szanował ten wielki mąż swego wiernego sługę, że po jego śmierci smucił się, jak się smuci ojciec lub matka po śmierci dziecięcia. (L. Mehler).

Zaopatrzona służba.

Pewien prałat bardzo łatwo przyjmował ludzi na służbę. Miał ich trzy razy tyle ile ich potrzebował. Pomimo tak licznej służby był jednak bardzo licho obsługiwany, i coraz bardziej podupadał na majątku. Utrzymanie bowiem tylu sług, zmuszało go do wydatków, które o wiele dochody jego przewyższały; brnął tedy tak mocno, pomimo że był bogaty, w długi, że pełnomocnik zaledwie był w stanie bieżące wydatki spłacać.

Krewni jego, którzy wielkie majątki posiadali, gdy o jego smutnem położeniu się dowiedzieli, radzili mu, aby przynajmniej połowę służby odprawił. Ta rada bardzo była bolesną dla zacnego prałata. Ale, że lubiał ustąpić, więc posłuchał ich rady. Podali mu zatem spis sług zbytecznych. Prałat zawołał ich do siebie i zapytał:

— Czy możecie się obejść bezemnie?

Większa część tychże, którzy już słyszeli o swym losie, zaczęli płakać; a jeden z nich rzekł w imieniu wszystkich:

— Najłaskawszy panie! na całym świecie nie znajdziemy lepszego pana, i niema między nami żadnego, któryby w pańskiej służbie nie chciał życia dokonać. Możemy słusznie powiedzieć, że z panem wszystko tracimy!

— Jakto? odrzekł prałat, więc ja wam jestem tak bardzo potrzebny?

— Ach, tak potrzebny, odparł jeden z nich, że jeśli nas odepchniesz, wszyscy będziemy nieszczęśliwymi!

— A zatem, mówię wam, nic nie będzie z tej rady, którą mi udzielono; zostańcie wszyscy u mnie, kochane dzieci! Jedni, ponieważ ja was potrzebuję, drudzy, ponieważ wy mnie potrzebujecie, i bezemnie obejść się nie możecie. Jak długo mam kawałek chleba, podzielę się nim z wami; a gdy już mieć nie będę, to wszyscy z głodu umrzemy!

To mówiąc, płakał wraz ze sługami, następnie za ich zgodą po jednemu ich odprawiał, ale pomieszczał ich u swoich przyjaciół. Inni, za jego wstawieniem otrzymali inne stosowne zajęcie i odpowiedne utrzymanie.

Tę historyę opowiada nam św. Franciszek Salezy w swych dziełach. (Mehler).

Słowa św. Jana Jałmużnika.

Skoro św. Jan, Patryarcha Aleksandryjski zwany Jałmużnikiem, usłyszał, że pewien

pan ze swojemi sługami nieludzko się obchodził, kazał go do siebie zawołać i rzekł:

— Doszły mnie pogłoski, że się za srogo ze swemi sługami obchodzisz. Miarkuj się w twoim gniewie! Bóg dał nam sługi nie dla tego, abyśmy się z niemi srogo obchodzili, lecz aby nam służyli. Słudzy twoi są tak jak ty na obraz Boży stworzeni, dla tego powinieneś ich wysoko cenić. Czyż ty, który jesteś jego panem, masz co więcej w twojem ciele i czyż masz o jednę rękę, nogę, ucho lub o jednę duszę więcej? Czyż oni nie są we wszystkiem podobni do ciebie? Słuchaj, co mówi św. Paweł: *„Którzykolwiek jesteście ochrzczeni w Chrystusie: oblekliście się w Chrystusa. Nie jest żyd ani greczyn; nie jest niewolnik ani wolny... albowiem wszyscy wy jedno jesteście w Chrystusie Jezusie.* (do Galatów III, 27—28).

Jeśliśmy zatem w Chrystusie jedno, powinniśmy i jedni względem drugich stać się równemi. Chrystus przyjął na się postać sługi i tym sposobem naucza nas, abyśmy się nad naszych sług dumnie nie wynosili, gdyż On jest panem wszystkich, który mieszka w niebie i na niskie spogląda.

Dla twoich sług podobnie jak dla ciebie stworzone są: niebo, ziemia, słońce, morze i wszystko co się na nich znajduje. Aniołowie Boży służą im, dla nich Chrystus Apostołom nogi umywał, dla nich dał się ukrzy-

żować, dla nich wszelkie męki ponosił; a ty znieważasz tego, którego Bóg uczcił, ty tak bez litości z nim się obchodzisz, jakbyś nie był tej samej natury, co on. Powiedz mi! Czy życzysz sobie, aby cię Bóg zawsze natychmiast karał, kiedy jaki błąd popełnisz? Z pewnością nie! Tak tedy postępuj z twemi sługami, jakbyś chciał, aby Bóg z tobą postępował. (Z życia).

Cześć władzy duchownej.

Papież Leon X. i król Franciszek I.

Papież Leon X udał się pewnego razu na prośby Franciszka I. króla francuskiego, do Bolonii. Podróż Zastępcy Chrystusa równała się pochodowi tryumfalnemu. I Franciszek I. z całym dworem wyruszył naprzeciw Ojcu św. i przyjął go najuprzejmiej. Gdy Leon X przybył do pałacu królewskiego, okazał mu król wszelkie oznaki czci najgłębszej i rzekł:

— Ojcze święty! cieszę się z całego serca, że widzę osobiście Namiestnika Chrystusowego. Jestem synem i sługą Waszej Świątobliwości, gotowy spełnić wszelkie Twoje rozkazy!

Podczas uroczystego nabożeństwa, które Papież sam odprawiał, nie zadowolnił się król

francuski oddaniem Jego Świątobliwości zwykłych honorów, ale chciał koniecznie nieść za nim koniec płaszcza, chociaż się Ojciec św. temu opierał. Franciszek I odpowiedział, że wyświadczenie najmniejszej usługi Namiestnikowi Chrystusowemu, poczytuje sobie za największy zaszczyt.

Przygotowano dlań krzesło, ale on żadną miarą nie chciał usiąść w obecności Chrystusa i Jego Namiestnika. Jako sługa stał prosto przy ołtarzu aż do podniesienia, a następnie aż do Komunii klęczał ze złożonemi rękami.

Tak uczcił monarcha w kwiecie wieku i w szale zwycięstwa władzę duchowną, której pełnia spoczywa w Namiestniku Chrystusowym. (Mehler).

Cesarz Konstantyn W.

Już za czasów Konstantyna W., cesarza, nic sobie wysokiego nad kapłany królowie nie brali: ale jako synowie duchowni ojcom swoim kapłanom się uniżyli, i jako posłańce od Boga czcili. Bo nie kapłani do królów świeckich, ale królowie do kapłanów, i do rządu rzeczypospolitej chrześcijańskiej, i do praw ich przystawali. I iściło się proroctwo Izajasza 65, 25: iż wilcy do baranów, lwy do owiec, lampartowie do cielątek przystawali, i z nimi mieszkać chcieli, i małej się

dziecinie poganiać i rządzić dopuścili. To jest, oni królowie i cesarze i monarchowie wszystkiego świata, którzy jako okrutni lwi i wilcy i lamparty, owce Chrystusowe przez 300 lat rozdzielali i pożerali: potem złożywszy jad i moc i okrucieństwo swoje, do tych owieczek, które zabijali, cisnęli się i wpraszali, i rządzić się onym świętym a ubogim jako małym dzieciom, biskupom i kapłanom dopuszczali.

Co się najprzód na Konstantynie W. pokazało: który swoje państwo i cesarstwo ono wszystkiego świata, na religii chrześcijańskiej osadził. Znając tego Boga, od którego państwo miał, wielce czcił kapłany Jego: i na służbę religii i rozmnożenie wiary Chrystusowej, moc i dostatek swój obrócił. Biskupów tak uczcił, iż się nigdy w ich sądy wdawać niechciał, i owszem sądzić im i rzeczy świeckie, i od swoich wszystkich sędziów i urzędników do nich apelować dopuścił, exekucyą ich dekretów czynić rozkazując.

A iż się był Konstantyn u pogaństwa nauczył, jako najwyższego biskupa bogów swoich fałszywych Rzymianie pogańscy czcili; nie chciał się w tem pogaństwu dać uprzedzić, aby najwyższego Biskupa, prawego Boga chrześcijańskiego, lepiej i znaczniej uczcić nie miał. Przetoż na Sylwestra Konstantyn, jako najwyższego prawego Boga biskupa, wielkie czci włożył. Bo mu pałacu swego

laterańskiego ustąpił, a potem i Rzymu i inszy wielkimi stolicę onę nadał, tak jak wszystkiego państwa swego podporę.

I potem w takiej czci u niego i u synów jego, i u innych chrześcijańskich cesarzów biskupi byli, jako się z powieści jednego pisarza kościelnego pokazuje. Tak pisze o Leoncyuszu biskupie w Trypotys w Lidyi: Gdy Euzebia cesarzowa hardością świecką wymosła, posłała aby do niej Leoncyusz biskup przyszedł, on jej tak wskazał: jeśli chcesz abym do ciebie przyszedł, zachowajże powinną Biskupom uczciwość. Skoro ja wnijdę, ty z wysokiego majestatu twego znijdź, i pocześnie przeciw mnie wynijdź, i spuść głowę pod ręce moje, do brania błogosławieństwa. Potem ja siędę, a ty stać będziesz, aż ci siedzieć rozkażę. Jeśli tak uczynisz, przyjdę do ciebie, a inaczej nie możesz mi tak wiele dać, abym ja uczciwości przystojnej biskupiej zaniedbał, a Boski kapłański urząd zelżył.

Po tem rozumieć każdy może, w jakiej czci u cesarzów i królów, na początku do wiary św. przystających, religia i jej kapłani byli. (X. Skarga T. J. Czwarte kazanie sejmowe).

Słowa św. Janą Chryzostoma.

— Urząd kapłański jest urzędem wielkim, ważnym i trudnym; bo kapłan musi, jak mówi św. Paweł, czuwać nad powierzonemi

sobie duszami, gdyż za nie będzie musiał zdać rachunek. Ty tylko masz dbać o siebie, a skoro to uczynisz, nie masz się o co troszczyć. Przeciwnie, jeśli kapłan życie swe uporządkuje, a nie troszczy się pilnie o twoje, to z niesprawiedliwemi do piekła będzie wtrącony; i nieraz nie za własne czyny, ale za czyny swych poddanych będzie potępiony, jeśli nie spełni we wszystkiem swego obowiązku. Ponieważ więc widzicie wielkość posłannictwa i odpowiedzialności kapłanów, powinniście ich szanować i wszelką im oddawać powinność.

— Kapłaństwo jest czcigodniejsze i większe, jak samo królestwo. Nie mów mi nic o purpurze, o koronie, o złocistych szatach! To wszystko jest cieniem, lżejszym od listka kwiatu! Wszelka wspaniałość jest jak kwiat trawy, choćby i królewska. Nie mów mi przeto o tem; lecz jeśli chcesz poznać różnicę między królem i kapłanem, to patrz na władzę, która obom jest dana. Wtedy obaczysz, że kapłan wyższy jest jak król. Bo acz tron królewski czcigodnym ci się wyda dla złota i drogich kamieni, któremi jest ozdobiony, to przecież król otrzymał zarząd doczesnych tylko rzeczy, a ponad tę władzę niema innego znaczenia. Ale tron kapłański jest osadzony w niebie a kapłan ma władzę sprawowania rzeczy niebieskich. Kto to mówi? sam Król nieba. — Cokolwiek zwią-

żesz na ziemi, będzie związane i w niebie; a co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie. Co może iść w porównanie z tą godnością? Z ziemi bierze niebo główną powagę sędziego, gdyż sędzia siedzi na ziemi, a Pan słucha swego sługę, a co ten na ziemi osądził, to Ów w niebie potwierdza. Kapłan stoi przeto między Bogiem i naturą ludzką; on przyniósł z nieba pochodzące dobrodziejstwa do nas, a zanosi modły nasze do nieba i łagodzi gniew Pański, wydzierając nas, cośmy Go obrazili, z Jego karzącej ręki. Dlatego też Bóg nawet królewską głowę poddał pod ręce kapłana, i pouczył nas, że ten książe-kapłan wyższy jest jak tamten, boć mniejszy od większego błogosławieństwo przyjmuje. Czyście nie przez ręce kapłana stali się Chrześcianami we chrzcie świętym? Czy nie przez niego dostępujecie odpuszczenia grzechów i pojednania z Bogiem? Czyż nie kapłani spełniają za was ofiarę Mszy św., ofiarę przebłagania za żywych i umarłych, ofiarę dziękczynną i błagalną? Czyż nie kapłani rozdają wam Ciało i Krew Chrystusa? Kto was naucza? Kto dzieciom waszym łamie chleb słowa Bożego? Kto wam opowiada o królestwie Bożem? Kto się za was modli? Kto wam niebo otwiera? Czyż nie kapłani wyświadczają wam wszystkie te dobrodziejstwa? Czyż zatem nie zasługują na wasz szacunek, waszą mi-

łość, posłuszeństwo i wsparcie? (Św. Jan Chryzostom).

Szacunek dla Ojca duchownego.

Jenerał francuski Lefort jadąc do Hiszpanii r. 1809, wstąpił do rodzinnej swej wioski, w której dziecięce swe lata przepędził. Zaledwie w oberży się rozgościł, posłał po proboszcza tej wioski, prosząc, by go odwiedził. Skoro tenże przybył, wprowadzono go do rzęsiście oświeconej sali. Nie mało się zdziwił, ujrzawszy się w obecności wielkiej liczby oficerów, którzy w świetnych uniformach na około suto zastawionego stołu siedzieli.

— Zapewne się pomyliłem, rzekł wchodząc.

— Nie, księże proboszczu, zawołał ktoś silnym głosem; właśnie ks. proboszcz dobrze trafił; oczekujemy go niecierpliwie.

To mówiąc, wstał jenerał Lefort, pobiegł do proboszcza i uścisnął go serdecznie.

Teraz dopiero jeszcze bardziej zadziwił się proboszcz, ale jenerał nie dał mu długo się namyślać, lecz żywo spytał:

— Czy mnie ksiądz proboszcz już nie poznaje?

— Nie, odrzekł staruszek, nie przypominam sobie pana; nie wiem, gdzie i kiedy mógłem pana widzieć, ale rysy pańskiej twarzy nie są mi zupełnie obce.

— Chętnie temu wierzę, rzekł uśmiechając się jenerał, jestem Lefort, ten niepoń, który księdzu proboszczowi 5 lat przeszło do Mszy św. służył — Lefort, tensam, którego ksiądz proboszcz później uczył *rosa, rosae* odmieniać i Cezara tłómaczyć. Z łaciny mało co pamiętam, ale nie zapomniałem nigdy na twą dobroć ku mnie, zacny mój nauczycielu, ani na dobre nauki i rady, jakie mi dawałeś.

Potem posadził starego proboszcza swego obok siebie przy stole i rzekł do towarzyszów broni:

— Moi panowie, przedstawiam wam czcigodnego męża, który *mnie nauczył Boga znać, kochać i Jemu służyć*, który był moim wodzem na drodze honoru i wszelkiego dobra. Jeśli jestem tem, czem jestem, to zawdzięczam to temu mężowi. Wypijmy zdrowie tego przezacnego kapłana!

Huczne oklaski były odpowiedzią na ten toast.

Po skończonej biesiadzie, złożył jenerał znaczną sumę pieniędzy w ręce proboszcza mówiąc:

— Niech i ubodzy tej wioski mają udział w szczęściu i weselu, jakiego dziś doznałem, żem księdza proboszcza znowu mógł obaczyć i uściskać.

Kara za zdradę kapłana.

Oddział wojska rewolucyjnego szukał pewnego kapłana.

Przyszli do gospody, aby się posilić, mówili o celu, w jakim zostali wysłani, a żona gospodarza twierdziła, że zna miejsce gdzie się kapłan ukrywa i obiecała, że go im dostawi.

Rozumie się, że taką przysługę z wdzięcznością przyjęto. Ona tedy prosiła męża, aby udał chorego, który pragnie być zaopatrzony. Mąż na ten niesmaczny żart przystał; ona zaś pobiegła do pewnego wieśniaka, mieszkającego na końcu parafii. Gdy żądała aby ją wpuszczono, zaczęły psy szczekać, a z wewnątrz zapytano ją, czego żąda.

— Nazywam się Brassak, odrzekła. Mój mąż kona i pragnie usilnie proboszcza.

— Idźno pani, idź, proboszcza tu niema. Ale pani Brassak nie poszła, tylko trwała przy swem żądaniu i tak głośno krzyczała, że głos jej doszedł aż do uszu kapłana.

— Nie, księże proboszczu, prosimy nie iść, błagali go domownicy, z pewnością na księdza proboszcza jakieś zasadzki czynią!

Ale proboszcz rzekł stanowczo:

— Ja muszę iść, wszak tu idzie o ratunek duszy!

Żadne prośby ani łzy nie zdołały go powstrzymać. Wyszedł tedy i rzekł do pani Brassak:

— Oto jestem!

Kwadrans później był proboszcz Guyander, tak się zwał ów godny kapłan, w gospodzie i ujrzał się otoczonym od wojska rewolucyjnego.

Obywatelka Brassak rzuciła śmiejącym wzrokiem po izbie i poszła do męża.

Kapłan pozdrowił wojskowych z godnością bez trwogi i zaniepokojenia. Żołnierze zachowali się w milczeniu. Firanka przed łożem rzekomego chorego się nie ruszała.

— Teraz pójdźmy do chorego, rzekł kapłan.

Odsłonił firankę, wziął za prawą rękę Brassaka i ukląkł. Strach i przerażenie opanowały go.

Dając znak krucyfiksem, który trzymał w ręku, rzekł kapłan półgłosem:

— Na kolana! żołnierze, na kolana! Tu zaczyna się walka konania! a żołnierze mimowolnie uklękli.

Wszyscy spoglądali z przerażeniem na blade oblicze gospodarza, który przed godziną pełen życia i zdrowia stał między nimi. Leżał konając, wyniszczony ale w pełnem przeświadczeniu o bezdennej swej złości, w którą się przez swą żonę dał wciągnąć.

Gasnące oko jego, szukało towarzyszki życia, która kapłana gorliwego śmiała o śmierć przyprawić, a miasto tego, karę Boską na niego sprowadziła.

Blada i drżąca, kryjąc oblicze w swe dło-

nie, padła zawstydzona kobieta przed łożem swego męża.

Konający wzdychał, płakał, jęczał, i pojednał się za pomocą kapłana z Bogiem i umarł po długiem konaniu.

Skoro mu oczy zamknął, rzekł kapłan do żołnierzy:

— Teraz jestem waszym więźniem, obywatele. Chodźmy! Związcie mi ręce, jeśli taki rozkaz macie!

Prezentując broń, rzekł dowodzący podoficer Malher, do kapłana.

— Jesteś ksiądz wolny, a jeśli będziesz w niebezpieczeństwie, proszę tylko zawołać sierżanta Malhera.

— I nas także! zawołała reszta żołnierzy.

Żołnierze nie opowiadali tego zdarzenia, aby głową nie przepłacić.

Podoficer Malher zostawszy pod rządami Napoleona I pułkownikiem, opowiadał często o tym sądzie Bożym i wysławiał heroiczną odwagę i wierność swym obowiązkom czcigodnego proboszcza Guyadera. (Eichs. Volksbl. N. 34, 1887).

Nie naruszajcie moich pomazańców!

Dnia 23 czerwca 1872 r. odbywali członkowie katolicko-politycznego związku w Czechach swoje miesięczne posiedzenie, na dziedzińcu zamkowym w B. Tamtejsza straż pożarna, umyśliła właśnie także na tym samym

dniu, jakby na przekór temu pobożnemu stowarzyszeniu i dla wyśmiania ich, urządzić przedstawienie ćwiczeń pożarnych w pobliżu wspomnionego zamku. Jeden ze strażników pożarnych wyszczególniał się tem, że przebrany za zakonnika wdrapał się na dach, łażąc po nim w około. Do grzbietu miał przyczepioną tablicę, na której było wypisane wielkiemi literami uszczypliwe zdanie na zakonników. Dla uzupełnienia i wywołania jeszcze większego śmiechu, puszczano nań wodę z sikawki ogniowej. Gdy się tak on sam i jego towarzysze do syta ubawili i uśmiali, zeszła owa maszkara z dachu. Lecz przyszedłszy do domu bohater szydzący z zakonników rozchorował się na dobre. Biedak leżał w wielkich boleściach i nie raz jeden powtórzył: *Uznaję że cierpienie moje jest karą Bożą.*

Jeżeli Bóg tak karze szydzących z kapłanów Jego, cóż czeka prześladowców tychże? Nie darmo upomina Pan: *„Kto się was dotknie, dotyka się źrenicy oka mego.* (Zach, II, 8). *„Nie tykajcie pomazańców moich“.* (Psal. 104, 15) (Stolz, Schreibende Hand. str. 63).

Wyszydzony kapłan.

We wsi belgijskiej Wacken, we wschodniej Flandryi zdarzył się niedawno temu wypadek, który zasługuje na wspomnienie

jako straszliwa kara Boża, a zarazem jako smutny wynik belgijskiego kulturkampfu.

W tej to wsi umarł nauczyciel antikatolickiej szkoły państwowej. Przed śmiercią jednak, potępił wobec świadków postępowanie swoje nieprzyjazne Kościołowi, pojednawszy się wprzód przez szczerą pokutę z Panem Bogiem. Pomimo to, zaprosił bezwyznaniowy inspektor szkół, poddanych sobie nauczycieli na pogrzeb, aby nad grobem zmarłego zamanifestować publicznie swoim bezbożnem liberalizmem. Odczytano na cmentarzu trzy mowy, z których ostatnia zwłaszcza, zawierała pełno bluźnierstw na Kościół katolicki. To spowodowało księdza Jezuitę M., który podówczas w zastępstwie chorego proboszcza miewał w parafii kazania jubileuszowe i przewodniczył właśnie pogrzebowi — do wypowiedzenia krótkiego, ale energicznego protestu, przeciwko wrogiemu względem Kościoła postępowaniu. Mowa jego wywarła na lepszej części obecnych głębokie wrażenie. Liberalni popadli wskutek tego w największą wściekłość i pozyskali sobie pieniędzmi młodego niepoinia, który w czasie mowy dzielnego kapłana odważył się na głos zawołać: „Musisz zd... jak p..s, zanim jubileusz się skończy“ — Cóż się jednak dzieje? Następnego dnia, gdy nieszczęsny młodzian bawił w pracowni swego ojca, uczuł silne pragnienie, a chcąc je zaspokoić, chwycił za flaszkę

i w mniemaniu, że to woda, wlał w siebie pół szklanki witryolu. Po kilku godzinach okropnych mąk umarł nieszczęśliwy, wołając głośno do obecnych, że śmierć jego jest straszliwą karą Bożą. (Freibg. Kirchbl. Nro. 48. 1881.).

. . .

Cześć władzy świeckiej.

Pierwsi Chrześcianie.

Już pierwsi Chrześcianie czcili i miłowali prawowitą, acz jeszcze pogańską zwierzchność, która nie rzadko najokrutniej i najniesprawiedliwiej z nimi się obchodziła.

Tak pisze Tertullian ad Scapulam:

— Chrześcianin żadnego człowieka wrogiem nie jest, najmniej zaś panującego; bo wié, że władzca od Boga jest postanowiony, a zatem powinien go miłować, czcić i życzyć mu, aby i jemu, i całemu jego państwu dobrze się powodziło. Czcijmy więc panującego tak, jak nam jest pozwolono, a jemu samemu pożyteczne, to jest jako człowieka, który po Bogu jest nad wszystkimi najwyższy; który wszystko, czem jest, od Boga otrzymał i tylko pod władzą Bożą zostaje.

Nawet wobec pogańskich sędziów mówił święty Polikarp:

— „Tak nas nauczono, abyśmy urzędom

i panującym, którzy od Boga postanowieni zostali, cześć oddawali, jaka się im należy".

Teofil, patryarcha Antyocheński pisze:

— „Uwielbiam Boga, który nad nami cesarza postanowił, abyśmy go należycie czcili. Mówię tedy do każdego Chrześcianina: Czcij cesarza albo króla z serdecznem przywiązaniem, a gdy to uczynisz, spełniasz wolę Bożą".

Martynian pogański sędzia, rzekł do św. Achazyusza, Biskupa Antyocheńskiego:

— Powinieneś naszych cesarzy miłować, bo stoisz pod osłoną praw rzymskich.

Święty Achazyusz odrzekł:

— Komuż dobro cesarza więcej leży na sercu, i od kogóż on jest więcej kochany, jak nie od Chrześcian?

Tę miłość i cześć znajdujemy wogóle po wszystkie wieki u wszystkich Chrześcian. (Mehler).

Święty Franciszek Salezy.

Ten wielki Święty daje nam wszystkim piękny przykład posłuszeństwa i uległości względem przepisów i rozkazów świeckiej władzy.

Książę Sabaudzki prowadził wojnę, która skarb państwa znacznie uszczupliła. Potrzebą zmuszony, uzyskał od Papieża *breve*[1]), mocą

[1]) Pozwolenie lub rozkaz na piśmie.

którego nawet duchowne dobra zostały opodatkowane. *Breve* to przesłane zostało biskupom, aby oni nałożone podatki stosownie do dochodów na wszystkie parafie rozdzielili. Ci jednak nie bardzo byli skłonni do posłuszeństwa i tłumaczyli się rozmaicie. Że jednak ich powody zanadto błahe się zdały świętemu Franciszkowi, aby mogły zrównoważyć potrzebom księcia, zapalony gorliwością rzekł do nich:

— Jakto, moi panowie, czyż do nas należy, powody i wymówki przywodzić, kiedy obaj władcy już jednozgodny rozkaz wydali? Czyż godzi się nam ich postanowienia wybadywać i pytać: czemu tak czynicie? — Wszak przystajemy nietylko na wyrok najwyższej władzy sądowej, ale nawet na wyroki niższych sędziów, którzy od Boga są postanowieni, aby spory rozstrzygać, jakie się między ludźmi wszczynają, a nie pytamy o powody ich wyroków; a tu, gdzie dwie tak potężne wyrocznie mówią, które za swe postanowienia tylko przed Bogiem są odpowiedzialne, chcemy badać ich postanowienia, jak gdybyśmy byli inkwizytorami ich czynności? Oświadczam panom śmiało i otwarcie, że waszych zdań ani podzielać, ani pochwalać nie mogę. Zaprawdę bardzo dalekimi jesteśmy od doskonałości owych Chrześcian, którzy byli ludźmi świeckimi, a do których św. Paweł mówi: *Złupienie*

majętności waszych przyjęliście z weselem, wiedząc, iż wy macie majętność w niebie lepszą i trwającą. (Do Żyd. 10, 34). Widzicie, że Apostoł mówi o niesprawiedliwem zagrabieniu dóbr; a panowie nie chcecie ani cząstki małej dóbr waszych poświęcić, aby wesprzeć ojca ojczyzny, naszego dobrego księcia, któremu przywrócenie katolickiej religii w trzech powiatach zawdzięczamy, a którego najzaciętsi wrogowie są zarazem przeciwnikami naszej św. religii? Czyż nasz stan nie jest najpierwszym z trzech stanów, z których się składają państwa chrześciańskie? Czyż nie jest rzeczą więcej jak słuszną, abyśmy się naszemi dobrami nie mniej jak modlitwami do obrony naszych ołtarzy, do osłony życia i spokoju przyczyniali, kiedy naród cały swój majątek, szlachta zaś krew swą na ten wzniosły cel poświęca? Wspomnijcie na dawne wojny i bójcie się, aby wasza niewdzięczność i wasze nieposłuszeństwo podobnych nieszczęść na was nie przywiodły.

Te potężne słowa zatwierdził swoim przykładem; gdyż on sam nałożył na siebie podatek, który na jego szczupłe dochody był tak wielki, że żaden z obecnych nie ważył się skargi podnieść, i owszem, wszyscy się wstydzili, że mu byli przeciwni. A tak i sam był posłuszny i nauczył drugich posłuszeństwa. Potężny słowem i uczynkiem podobny był do Gedeona, który do swych ry-

cerzy rzekł: „*Co ujrzycie że ja czynić będę to czyńcie*“. (Sędziów 7, 17). (Mehler).

Legion tebański.

Za panowania Maxyminiana cesarza rzymskiego, dali żołnierze tak zwanej *legii tebańskiej*, na której czele stał święty Maurycy, wzruszający przykład, który wszyscy Chrześcianie naśladować powinni, ilekroć im świecka władza cokolwiekbądź rozkaże, co się sprzeciwia prawu Bożemu.

Pogański cesarz Maxyminian, chciał kilkakrotnie i z podwojonemi siłami przeciw Gallom wyruszyć w pole. Aby sobie szczęśliwą wyprawę zapewnić, rozkazał złożyć bogom ofiarę, w której cała armia miała uczestniczyć. Jednakże legia tebańska składająca się z 6000 Chrześcian nie chciała tej ofierze być przytomną. Rozgniewany tym uporem, jak go nazwał Maxyminian, kazał cały legion zdziesiątkować, t. j. co dziesiątego żołnierza, na którego padła kolej, ściąć.

Pozostali towarzysze nie dali się tem okrucieństwem zastraszyć, ale odmówili współudziału w pogańskich ofiarach, zachęcając się wzajemnie do wytrwałości w swej wierze. Cesarz kazał ich powtórnie zdziesiątkować. Jednakże i to nie pomogło, bo wyznawcy Chrystusa zachęceni przykładem i słowem wodza swego Maurycego, jeszcze mocniej stali przy wierze w Chrystusa.

Maxyminian wezwał ponownie pozostałych, aby bogom ofiarowali, jeśli niechcą wszyscy bez wyjątku być w pień wycięci. Oni zaś z nieustraszoną odwagą rzekli doń:

— Cesarzu, my jesteśmy żołnierzami; ale jesteśmy także, co bez sromu wyznajemy otwarcie, sługami Boga prawdziwego. Tobie jesteśmy winni być posłusznymi na wojnie, ale Bogu winni jesteśmy niepokalaną niewinność. Od ciebie odebraliśmy żołd, od Boga otrzymaliśmy życie. Rozkazowi twemu posłusznymi być nie możemy, bo byśmy się zaparli Boga, który nietylko naszym, ale i twoim panem i Stwórcą jest, czy chcesz to uznać, czy nie. Jeżli od nas nie będziesz żądał tego, co się sprzeciwia naszemu sumieniu, to cię jak dotąd, zawsze i we wszystkiem słuchać będziemy, inaczej bowiem Boga raczej, aniżeli ciebie słuchać będziemy musieli. Jesteśmy gotowi walczyć przeciw nieprzyjacielowi; ale nigdy rąk naszych nie skalamy krwią niewinnych t. j. chrześcian. Wiemy, że broń nosimy dla dobra naszych współobywateli, ale nie przeciwko nim; aż dotąd walczyliśmy za ojczyznę, za sprawiedliwość i słuszność z całą odwagą i męztwem. Służyliśmy ci z niewzruszoną wiernością, jakże byś mógł na wierność naszą nadal liczyć, jeślibyśmy ją Bogu złamali? Myśmy nasamprzód Bogu, a potem cesarzowi wierność przysięgli. Jeśli pierwszej przysięgi nie

dochowamy, to i na drugą spuścić się nie możesz. Ty chcesz abyśmy i przeciw chrześcianom dla ich *wyznania* walczyli. Jeźli ci idzie o krew chrześcian, nie potrzebujesz innej szukać Oto nas masz tutaj, którzy wiarę w jednego Boga prawdziwego, Stwórcę wszech rzeczy i Syna Jego Jezusa Chrystusa jawnie wyznajemy! Widzieliśmy śmierć naszych towarzyszy; krew ich szaty nasze zrosiła, a jednak śmierci ich nie plakaliśmy, ale raczej radowaliśmy się z ich szczęścia, że się stali godnymi cierpieć za naszego Boga i Pana. Położenie nasze, w jakie nas obecnie wprowadziłeś, nie przywiedzie nas do rokoszu; nie pobudzi nas do rozpaczy, która na wszystko się waży. Mamy wprawdzie broń w ręku, ale się nią bronić nie będziemy, bo raczej sami wolimy umrzeć, jak innych zabijać, wolimy umrzeć niewinnie, jak żyć z winą na sumieniu. Czyń z nami, coć się podoba! Jesteśmy gotowi znosić męki, ogień i miecz. Jesteśmy i pozostaniemy Chrześcianami!

Cesarz widząc, że ich stałości nie może pokonać, wpadł w taką wściekłość, że nie był w stanie rozważyć, jak ważną było dlań rzeczą zachować życie tak dzielnych rycerzy na przyszłą wyprawę. Rozkazał przeto wszystkich pozostałych przy tej legii żołnierzy w pień wyciąć i w tym celu przeciw nim całe wojsko wyprowadził.

Wybraną rzeszę rycerzy Chrystusowych otoczyli bałwochwalcy. Tamci niczem się nie bronili, lecz złożyli broń. Jeden drugiego zachęcał do wytrwania i wszyscy z radością oczekiwali korony męczeństwa. Klęczących i modlących się, mordowali poganie bez litości, aż ani jeden przy życiu nie został. Krew chrześciańskich rycerzy płynęła strumieniami — całe pole trupami zostało zasłane.

Oto tak, i tylko tak wymawia chrześcianin posłuszeństwo władzy, jeśli ta go wzywa do spełnienia czynu, który się prawu Bożemu, świętej wierze, lub jego sumieniu sprzeciwia. (Mehler).

Władca jest sługą prawa, nie samowoli.

Ludwik XI. król francuski, wydał razu pewnego, bardzo niesprawiedliwe rozkazy i wysłał je do parlamentu, aby on je przyjął i ogłosił. Ale parlament wzbronił się spełnić rozkaz króla i rzekł, że nigdy się nie przyczyni do ogłoszenia praw, które dobru państwa się sprzeciwiają.

Zaledwie Ludwik o tem się dowiedział, żądał od parlamentu, wśród najostrzejszych gróźb, aby natychmiast i bezwarunkowo poddał się woli królewskiej.

La Vaquirie (Wakiri), prezydent parlamentu, udał się w towarzystwie wielu członków tegoż w stroju odświętnym do króla i tak przemówił:

— My służymy ojczyznie, nie samowolnej przemocy. Jesteśmy wykonawcami praw, nie zaś rozkazów przeciwnych prawu. Królu! oto masz wybór; albo odwołaj dane rozkazy, albo my wszyscy składamy nasz urząd w twe ręce! Mężowie tacy, jak my, nie chcemy być narzędziami jawnej niesprawiedliwości, i raczej udamy się w zacisze domowe, by tam płakać nad nieszczęściem ojczyzny, jeśli jej innym sposobem służyć nie możemy.

Takiej odwagi i stanowczości, król się po swoich radcach nie spodziewał. Godność, z jaką tak wysoka szlachta przed nim stała, powaga, z jaką przemawiał prezydent, pokonała go; natychmiast odwołał dane rozkazy i nietylko pochwalił swych radców, ale nadto prosił ich, aby nadal z równą wiernością przestrzegali sprawiedliwości, jakiej mu teraz złożyli dowody. Wreszcie przysiągł, że już nigdy nie przedłoży parlamentowi wniosku, któregoby z czystem sumieniem zatwierdzić i wykonać nie mogli. (Mehler).

L. 182

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Długołęcki T. J.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
Kraków 5 Lutego 1891.

† *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

V^te^ Przykazanie.

„Nie zabijaj.“

Co nam po księżach?

Elegancki panicz i robotnik jechali sami w wagonie pierwszej klasy, bo z powodu przewozu wojska, nie było dla robotnika miejsca w innej klasie, i umieszczano pasażerów, gdzie się dało.

Na pewnej stacyi przechodził się ksiądz po peronie, czekając na pociąg. Elegant zobaczywszy księdza odezwał się szydersko do robotnika:

— Co nam właściwie po księżach?

I w tym guście mówił dalej, czego jednak powtórzyć nie możemy.

Pociąg ruszył dalej. Gdy już kawał ujechali, odezwał się robotnik:

— Jesteśmy w bardzo dzikiej okolicy, a do najbliższej stacyi jest jeszcze bardzo daleko. Gdyby mi tak przyszło na myśl *zamordować* pana i trupa wyrzucić za okno? a co? jakżeby mi to łatwo przyszło!

Panicz, któremu się nie dobrze na te słowa zrobiło, wyjąkał:

— Nie mam nic przy sobie, niewiele byś pan na tem zyskał; i z rozpaczą spojrzał na żylaste, silne ręce robotnika i barczystą jego postać.

— Ej, co mię tam pan będziesz tumanił! Byłeś pan dzisiaj u bankiera, u którego właśnie pracowałem. Wiem dobrze, że odebrałeś pan 20 tysięcy marek i że te pieniądze masz przy sobie; ale — mówił dalej — niech się pan nie boi — *wychowali mię księża, i widzisz pan, oni to nauczyli mię miłości bliźniego i bojaźni Bożej* i tego, że piąte przykazanie mówi: „Nie zabijaj"! — Otóż wiesz już teraz, na co są księża!

Panicz zaś — milczał i spuścił oczy przed jasnym wzrokiem robotnika. (Erbauungsstunden 40. 1886).

Smutny koniec zabójcy paryskiego arcybiskupa d' Affre.

W czasie zamieszek lipcowych w Paryżu w r. 1848, gdy po ulicach mordował brat brata, syn ojca, ukazał się na ulicy St. Antoine, gdzie wrzała zacięta walka, arcybiskup paryski Affre, by powstrzymać rozlew krwi bratniej, gdy wtem z okien poddasza domu zwanego: „Singe vert" wypadł strzał i powalił szlachetnego rozjemcę o ziemię.

Zaniesiono go do szpitala Quinze vingt, gdzie jako męczennik pokoju, wkrótce ducha wyzionął. Dochodzenie wykazało, iż zabójcą szlachetnego księcia kościoła był niejaki Laforce, stolarz z zawodu, który z 18-letnim swym synem uciekł przed zasłużoną karą do Ameryki, by w kopalniach złota Kalifornii ukryć siebie i straszliwą swą zbrodnię.

W r. 1856, przybył do Paryża na przedmieście St. Antoine, młodzieniec wstrętnej powierzchowności, w którym poznano syna osławionego Laforce'a. Opowiadał on, iż ojciec jego natrafił na bogatą żyłę złotodajną, że wybrał się ze zdobytym skarbem do San Francisko, w drodze jednak napadli go zbójcy, zamordowali i zrabowali, a trup jego stał się pastwą dzikich zwierząt.

— Była to kara Boska za zabójstwo Arcybiskupa — dodał z własnego popędu młody Laforce.

Nie koniec na tem — w dwa miesiące potem, oddano i syna jako nieuleczalnie chorego do zakładu obłąkanych, gdzie niebawem umarł. (Z Kellera — Frbg. Kirchbl. nr. 50. 1882).

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Jak Bóg, jako Sędzia sprawiedliwy mięsza szyki zbrodniarzom i karze ich doraźnie, wykazuje następujące zdarzenie:

W mieście A. w Austryi żyło dwoje małżonków O. w wielkiej niezgodzie. Pewnego razu przyrządziła żona śniadanie, które mieli razem spożyć w pokoju jadalnym. Właśnie w chwili gdy podawała mężowi filiżankę kawy, zapukano do drzwi; jakaś osoba chciała się widzieć z panią — i w tej samej chwili pod nieobecność żony, wpadł pająk z powały do filiżanki pana. Ten wyrzucił go zaraz, ale brzydząc się pić kawę, w której przez chwilę był pająk, przemienił filiżanki, myśląc, że żona nie wiedząc o wpadnięciu pająka, nie będzie się brzydziła kawą.

W kilka chwil wróciła żona do jadalni i oboje jedli śniadanie, przyczem żona była niezwykle miłą i uprzejmą względem męża. Po niejakim czasie uczuła okropne boleści w żołądku i wpadła w straszne konwulsye. Przywołano natychmiast lekarzy i starano się wszelkiemi sposobami złagodzić okropne boleści — ale napróżno.

Lekarze poznali natychmiast i nierobili z tego tajemnicy, że zachodzi tu wypadek otrucia. Pani O. skonała niezadługo w najokropniejszych boleściach. Wezwano pana O. przed sąd; zdziwił się niezmiernie, czego chcą od niego i opowiedział najdokładniej ze wszystkiemi szczegółami przebieg owego śniadania. Dochodzenie sądowe wykazało, że pani O. miała w domu truciznę i chciała

nią męża otruć, lecz Pan Bóg inaczej zrządził. (Keller 279—191.).

Kara zabójcy i łaska dla pokutującego.

— Miałem — opowiada O. Stolc, w P. w górach Jura szwagra, który tak mocno kopnął żonę, że wskutek tego umarła. Mąż, dumny i namiętny Francuz, zaczął chorować na tę samą nogę, którą był kopnął żonę, i żaden lekarz nie mógł mu na to poradzić. Cierpiał straszliwie, wreszcie poradzono mu, by się udał do świątobliwego proboszcza w Ars, który słynął szeroko i daleko, nietylko ze świątobliwości, ale nadto z licznych szczęśliwie dokonanych kuracyj. Chory udał się rzeczywiście na kuli do Ars, gdzie zastał proboszcza w kościele w konfesyonale.

Nasz chory przysposobił się do spowiedzi, ale gdy już skończył, powiedział mu proboszcz:

— Mój drogi, nie wyznałeś mi wszystkiego na spowiedzi, nie możesz wyzdrowieć, jeźli się z wszystkiego nie wyspowiadasz. Dopuściłeś się bardzo ciężkiego grzechu i musisz go wyznać!

Widząc, iż tu nic nie pomoże, nabrał chory odwagi i przyznał się, w jaki sposób biednej żonie życie skrócił. Otrzymał rozgrzeszenie, przystąpił do Komunii św. i doznał ulgi! Już po dwóch dniach tak mu się po-

lepszyło, że porzucił kule i zdrów odjechał. (Keller 279—192).

Śmierć komunisty.

(Historya prawdziwa z czasów komuny).

Byłoto w roku 1871, który tak krwawo zapisał się w dziejach Paryża. Francuzi dosyć dotknięci ręką Pańską przez wojnę pruską, pogorszyli sami nieszczęśliwe swoje położenie, wznieciwszy pożar strasznej wojny domowej, znanej pod nazwą komuny. Komuniści byli nieograniczonymi panami na ulicach, gdzie się pokazali, szerzyli śmierć i zniszczenie, a krew i pożoga ślad ich znaczyły. Spokojni mieszkańcy Paryża powznosili barykady po ulicach i czuwali po nocy, by bronić mienia i życia rodziny.

Między innemi czuwała też po nocach pani Etienne, młoda wdowa po urzędniku miejskim, mieszkająca w arystokratycznej dzielnicy na Place du Chateau d' Eau, której jedyną pociechą była miła dziecina, sześcioletnia Alinka.

Pewnego razu, po nocy bezsennie przepędzonej, zapadła pani Etienne nad ranem w ciężki sen. Mała Alinka nie chcąc matce przeszkadzać, wyszła cichutko na werandę otworzyła drzwi, wybiegła przed dom i bawiła się piłką.

Wtem, po drugiej stronie chodnika, prze-

chodził jeden z komunistów i wzrokiem pełnym nienawiści ścigał wdzięczną, wątłą postać dzieweczki. Poznał on odrazu, że musi pochodzić z lepszego stanu, któremu zaprzysiągł wieczną nienawiść i zagładę.

Pióro wzdryga się pisać, co dalej nastąpiło! Potwór ten podnosi ogromny kamień pozostały od budowania barykad i rzuca go na biedne, bawiące się dziecię, trafia je w czoło i — bez życia pada Alinka na ziemię. Nie dosyć mu tego było — przystępuje bliżej, i raz jeszcze rzuca kamień na złotowłosą główkę i miażdży ją — poczem spokojnie idzie siać dalej piekielne dzieło zniszczenia...

W domu powstał gwałt nie do opisania, biedna matka zbudzona krzykiem i płaczem domowników, biegnie gdzie wszyscy biegną, widzi ukochane swe dziecko w kałuży krwi, rzuca się na nie i — pada bez zmysłów.

Pani Etienne była jednak pobożną chrześcijanką i chociaż rozdzierała jej serce ta okrutna zbrodnia, to wkrótce w modlitwie znalazła uspokojenie, a głównie w rozważaniu, ile wycierpiała Najśw. Panna stojąc pod krzyżem na Kalwaryi. Pan Bóg wynagrodził pobożność jej i ufność i zesłał jej spokój i zdanie się na wolę Opatrzności.

Aby mieć jakiś cel w życiu, zajęła się wspieraniem nieszczęśliwych, a głównie dzieci, i czyniła wiele dobrego, mogąc zwłaszcza rozporządzać znacznym majątkiem.

Straszna epoka komuny minęła wreszcie, biedny Paryż zaczął do siebie przychodzić. Pani Etienne po dłuższej nieobecności w Paryżu wynajęła mieszkanie w innej dzielnicy. Po niejakim czasie zauważyła, że piece dymią, kazała więc sprowadzić murarza, by je przerobił. Murarz, którego przywołano, zrobił na niej jak najgorsze wrażenie i gdy mu tłumaczyła, o co idzie, patrzał na nią tak dzikim i nieprzytomnym wzrokiem, że zaczęła się go obawiać i już go miała odprawić, gdy sobie przypomniała, iż jej powiedziano, że jest bardzo biednym, a przytem zdolnym robotnikiem, więc powierzyła mu robotę.

Zaledwie odeszła do swego pokoju, gdy nagle rozległ się straszny głośny krzyk; wraca się i — widzi na ziemi murarza z głową roztrzaskaną w okropny sposób; z głębokiej rany wypływała krew z mózgiem; obok leżało narzędzie, które było powodem nieszczęścia — był to ogromny kamień, który się oderwał z komina i spadł nieszczęśliwemu na głowę, kiedy zaczął stare piece burzyć.

Posłano natychmiast po doktora i żonę nieszczęśliwego. Doktor oświadczył, iż za godzinę żyć przestanie, żona zaś widząc męża w tym stanie, krzyczała głośno:

— O mój Boże! mój Boże!... Sprawiedliwe są sądy Twoje! O, że mu to przyszło zbrodnię swą śmiercią odpokutować!

— Co pani mówisz? co to ma znaczyć?

zapytała pani Etienne, zdziwiona słowami wyrzekającej kobiety.

— Ach, pani! — odpowiada ona na to — mąż mój ma na sumieniu straszną zbrodnię. W czasach komuny, był jednym z najzapaleńszych komunistów i wściekał się szczególniej na arystokratów, których nazywał prześladowcami ludzi uczciwych. Pewnego razu, przechodząc koło Place du Chateau d' Eau, ujrzał dziewczynkę bawiącą się piłką przed werandą, a widząc, że należy do klasy znienawidzonych arystokratów, zabił ją kamieniem. Od tego czasu, mówił mi to potem, nie miał już spokoju i cierpiał straszne wyrzuty sumienia. Co noc krzyczał głośno na śnie, bo zdawało mu się, że mu kamień spada na głowę. Ach, Boże wielki! sprawiedliwe są sądy Twoje!

— Nieszczęsna kobieto — mówi na to pani Etienne, chwiejąc się na nogach — ależ to była moja córka, moja droga, najukochańsza Alinka! — I padając na kolana modliła się: O Panie! Ty wiesz, że zemsty nad tym człowiekiem nie pragnę! Daruj mu straszną winę jego! Proszę Cię o to z całego serca!

Nieszczęśliwy komunista męczył się jeszcze godzinę, nie odzyskawszy już przytomności; sprowadzony kapłan już go przy życiu nie zastał. Obie kobiety, jedna w ciężkiej jedwabnej sukni, druga w cienkim perkaliku, klęczały razem obok umierającego

modląc się ciągle, a gdy umarł, łożyła pani Etienne na pogrzeb, a biednej wdowie wyrobiła wcale dobre miejsce za praczkę w jednym z paryskich szpitali. Znam tę panią osobiście i wiem, że do dziś dnia modli się codzień za zabójcę swego dziecięcia!

Zaprawdę! Ramię Boskiej sprawiedliwości dosięga zawsze zbrodniarza, a bohaterek chrześcijańskich nie brak i dzisiaj. (Erbauungsstunden str. 103. 1889.).

Zapalczywy ojciec.

Jasno oświetlonemi ulicami Londynu, w wigilią Bożego Narodzenia, szła spiesznie, nędznie ubrana dziewczynka do domu. Biedna Marysia, — bo tak jej było na imię — miała ojca nałogowego pijaka, który upiwszy się bił nietylko dziecko, ale i dobrą swą żonę. Marysia wdrapała się prędko na najwyższe piętro, nie zastała nikogo w domu, zbiegła więc szybko po stromych schodach i poszła do szynku „pod Krukiem“, spodziewając się zastać tam ojca.

W izbie szynkownej panował tłok i gwar nie do opisania. Wśród chrypliwych od pijaństwa głosów dziewczynka rozróżniła dobrze jej znany głos ojca i niebawem ujrzała jego samego, a obok niego blade, wynędzniałe oblicze matki i oczy zaczerwienione od płaczu. Gawiedź szynkowna bawiła się wy-

bornie patrząc, jak biedna kobieta usiłowała ale napróżno skłonić męża do opuszczenia tego miejsca, gdzie cały ich tygodniowy zarobek przepijał. Marysia wątłemi rączętami torowała sobie drogę do ojca, lecz nim tam dotarła, wypadł na ulicę cały tłum dobrze podchmielony, na czele ojciec jej pijany, a za nim biedna jego żona. Łagodne jej prośby i błagania, by wracał do domu, wprawiały go w jeszcze większy gniew i wściekłość; klnąc, okłada ją co sił pięściami. Na ten widok Marysia, zapominając o strachu, jakim ją ojciec przejmuje, ściska go za kolana i woła z rozpaczą:

„Tatuniu! tatuniu! nie bijcież matusi, bo to dziś przecie Boże Narodzenie“. Słowa te dopełniły miary wściekłości, schwycił dziecinę, podniósł w górę jak piórko i z całym zapędem rzucił nią o ziemię.

Gdy biedaczka przyszła do przytomności, ujrzała się w pięknem, czyściuchnem łóżeczku i obok siebie dwie jakieś obce postacie: pan w złotych okularach, pięknie ubrany przypatrywał się jej uważnie, a łagodnie uśmiechnięta siwowłosa pani, zmieniała jej opaskę na czole. Marysia nie wie, co się z nią dzieje, myśli, że jest chyba w niebie. W pięknych łóżeczkach na czystem posłaniu widzi jeszcze wiele innych dzieci i pyta się cichutko czy i one tak cierpią, jak ona?

Pan w złotych okularach, to jest doktór,

opowiada jej, że jest w szpitalu dziecinnym, że w głowie ma głęboką ranę, a jedną nogę złamaną, jeżeli jednak będzie spokojnie leżała, odzyska wkrótce zdrowie. Gdy jej opatrzono nogę, dostała dużą, śliczną lalkę, o której tak dawno marzyła.

Nazajutrz przed łóżeczkiem Marysi stanęła blada kobieta, całuje ją, płacze i znów całuje.

— Mamuniu kochana! — woła chore dziewczę z radością, i obejmuje ją za szyję, a potem pyta się o ojca.

— Ach! — powiada, on mi nie chciał uczynić nic złego, on nie wiedział co robił! gdyby on tu był, prosiłabym go, aby przestał chodzić do tego brzydkiego szynku!

Wtem usłyszała cichy płacz za sobą, ogląda się, a tu w głowach łóżka stoi ojciec i łka cicho, ocierając sobie oczy rękawem. I on pochyla się nad chorem dzieckiem, ale nie wié, co z sobą zrobić od wielkiego wstydu i żalu.

— Przebacz mi, drogie dziecię — woła z czułością — nie chciałem ci zrobić nic złego. To ta nieszczęsna gorzałka narobiła całego nieszczęścia! Ale odtąd będę żył inaczej, przyrzekłem to matce i Bóg mi świadkiem, że ani kropli wódki do ust nie wezmę!

Dziewczę wyzdrowiało, a i ojciec słowa danego dotrzymuje. (Erbauungsstund. 1886. Nr. 206.).

Śmierć niewinnego i śmierć zabójcy.

W zimie 1867 roku kilku żołnierzy moskali szyzmatyków, spotkało małego pastuszka katolika, który zbierał drzewo w lesie. Otoczyli go dokoła i pytali jakiej jest religii?

— Jestem katolikiem — odpowiedział śmiało chłopiec i bez wahania. Żołnierze prawosławni żądali aby się przeżegnał na ich sposób, to jest dotknąwszy ręką czoła i piersi, przyłożył ją najprzód do prawego ramienia, a potem do lewego, podczas gdy w łacińskim obrządku dotyka się ręka pierwej lewego, a potem prawego ramienia. Ta różnica w formie robienia znaku krzyża św., jest jedną z zewnętrznych oznak, odróżniających obrządek grecki od łacińskiego; moskale zaś choć odszczepieńcy od prawdziwego Kościoła katolickiego, trzymają się w ogóle greckiego obrządku, tego który przed odstępstwem mieli, z niektóremi zmianami. Mały pastuszek wzbraniał się stanowczo zadosyć uczynić ich żądaniu i żegnał się wciąż według formy łacińskiej. Rozdrażniony tym niespodziewanym uporem chłopca, groził mu dowódca oddziału, że go w razie uporu każe rozstrzelać. Straszna ta pogróżka nie zrobiła pożądanego wrażenia na dziecku.

Przywiązano więc biednego chłopczynę do drzewa, a żołnierze ustawili się w szeregu, aby go rozstrzelać. Blady, ale pełen nadna-

turalnego męztwa, spoglądał młody męczennik za wiarę z niezachwianym spokojem na swych dręczycieli i modlił się pocichu. Tedy oficer rozkazał żołnierzom spuścić karabiny, zbliżył się do chłopca i odezwał się szydersko:

— Psie podły! nie jesteś godnym prochu i kul, które moi żołnierze mieli właśnie na ciebie zmarnować.

Potem kazał odwiązać chłopca i powiedział:

— „Każę cię powiesić, jeżeli się nie przestaniesz buntować przeciw cesarzowi i prawosławnemu kościołowi.

Dzikie żołdactwo szyzmatyckie, powlokło tedy chłopca do wielkiego dębu: zarzucono mu na szyję stryczek i żądano po kilka razy, aby się tak jak oni chcą przeżegnał. Młodziuchny męczennik nie odpowiedział nic na to, lecz tylko potrząsał wciąż głową na znak, że ich nie usłucha. Teraz wychodzi jeden z żołdaków na drzewo, przytwierdza stryczek do gałęzi, podczas gdy dwaj inni podnoszą chłopca i czekają tylko na znak aby go powiesić. Ale oficer rozmyślił się na nowo i zawołał:

— Szkoda tego powrozu dla tego nieponia, utopmy go lepiej!

Znów więc powleczono biedaka do pobliskiego stawu, który zamarzł kilka dni temu. Oficer, który w przedłużaniu męczarni dziecka znajdował rozkosz piekielną, rozka-

zał go rozebrać i zanurzyć aż po szyję w wodzie. (Jeden z żołnierzy wyrąbał poprzednio otwór w lodzie).

Gdy rozkaz ten spełniono, zbliżył się oficer do chłopca, któremu głowa ponad lód wystawała, i uśmiechając się szatańsko, zawołał:

— I cóż uparty hultaju, czy i teraz nie przeżegnasz się, jak to nasz car nakazuje? Lecz chłopiec nic nie odpowiedział; wzniósł tylko oczy ku niebu i dobywając ostatnich sił, chciał zrobić znak krzyża świętego według formy łacińskiej. Oficer chciał właśnie zakląć straszliwie, gdy wtem lód pod jego nogami zatrzeszczał, załamał się i morderca utonął pod lodem i zginął nędznie w głębiach stawu a młodziuchny męczennik poszedł do nieba po palmę zwycięztwa. (Keller 276.).

Przebaczenie.

O. Andie, biskup i misyonarz w Techas, w Ameryce środkowej, opowiada co następuje:

Naczelnik pewnego indyjskiego szczepu odniósł był śmiertelne rany od swoich nieprzyjaciół; Dzicy, których znałem, prosili mnie bym go odwiedził, co też uczyniłem.

Zaledwie przybyłem do chaty, pyta mię chory:

— Czego tu chcesz czarna suknio?

— Jeżeli pozwolisz, chciałbym ci dopo-

módz w chorobie i ułatwić wstęp do pięknego domu Wielkiego Ducha.

— Nic mi ty już nie pomożesz czarna suknio, strzała nieprzyjacielska ugodziła mię śmiertelnie.

Mówiąc to, pokazał mi głęboką ranę, na którą w rzeczy samej nie było już żadnego ratunku.

— Ale proszę cię — dodał — rozmawiaj ze mną o Wielkim Duchu.

— Jeźli chcesz dostać się do pięknego domu W. Ducha, to musisz wierzyć w to wszystko, co ci przez moje usta oznajmia, a potem musisz sobie dać polać głowę wodą.

— A co mi kazał oznajmić Wielki Duch? zapytał z wielką powagą, a zarazem ciekawością dziecka.

Zacząłem mu więc opowiadać o Bogu, który stworzył niebo i ziemię, który się ludziom w trzech osobach objawił, aby im wskazać drogę do pięknego swego domu. Słuchał mię z wielką uwagą, potakując głową na znak zadowolenia.

— Nie jestto dla mnie czemś nowem — odezwał się wreszcie spokojnie — wiem ja niejedno o Wielkim Duchu i o tem co przemawiał do ludzi.

Mówiłem mu potem o szczęśliwości ludzi w raju ziemskim, o tem jak wszyscy ludzie stali się grzesznikami przez grzech pierw-

szych rodziców, a wskutek grzechu biednymi i nieszczęśliwymi tu na ziemi.

— O tem mówili mi także moi ojcowie, wtrącił wódz, nie dziwiąc się wcale temu co słyszał.

Opowiadałem dalej wykazując mu miłosierdzie boskie i to, że Syn Boży przyszedł na ziemię i stał się człowiekiem, aby nas uszczęśliwić, to jest, aby nas wprowadzić do domu Wielkiego Ducha.

Na to podniósł się chory na posłaniu, a twarz jego promieniała radością.

— Pięknem jest to, co mówisz czarna suknio i pocieszającem!

— Syn Boży przysyła mię tu do ciebie — mówiłem dalej po chwili milczenia — abym ci powiedział co masz czynić.

— A cóż mam czynić? — zapytał skwapliwie.

— Musisz z całego serca wierzyć w Niego i kochać Go.

Czynię to już od chwili, w której zacząłeś mi o Nim opowiadać. I dlaczegóż nie miałbym wierzyć w Wielkiego Ducha?

Przytem ujął mię za rękę, podniósł i przycisnął ją sobie do czoła.

— Ale nie wystarczy kochać tylko Syna Bożego, który dla ciebie stał się człowiekiem, musisz także kochać ludzi, wszystkich ludzi a nawet i nieprzyjaciół swoich.

Spokojne jego oblicze przybrało na te sło-

wa wyraz złowrogi, oczy mu dziko zabłysły, popatrzył na mnie podejrzliwie i nieufnie.

— I nieprzyjaciół moich, powiadasz? chciałbyś, abym przebaczył nieprzyjaciołom moim i kochał tych którzy mi tak straszną ranę zadali? Nie! — Indyanin nie może przebaczyć! - bracia moi muszą mię pomścić. Siedmiu nieprzyjaciół musi zginąć za wodza; tak nakazują indyjskie nasze prawa. Nie można przebaczać nieprzyjaciołom, o nie!

Zmęczony tym wysiłkiem umilkł. Pragnienie zemsty pożerało ostatek sił nieszczęśliwego. Przez chwilę milczałem i ja, potem odezwałem się i przedstawiałem, że nie ja nakazuję mu to, lecz Wielki Duch, który go stworzył i który z miłości ku ludziom, stał się człowiekiem. Chory potrząsał tylko głową na wszystko co mówiłem i starał się przekonać mnie, że Wielki Duch nie mógłby nakazywać czegoś podobnego, że zemsta pochodzi od przodków, że jest potrzebną i godziwą rzeczą.

I dwaj inni Indyanie, którzy mię przyprowadzili do chaty, przekonywali mię usilnie o tem samem. Kazałem im milczeć.

— Pragniesz — mówiłem dalej po chwili, wejść do domu Wielkiego Ducha i twoi nieprzyjaciele pragną również tego samego. Wielki Duch stworzył twoich nieprzyjaciół tak, jak i ciebie, i chce być dla nich tak samo litościwym, jak dla ciebie. Ale nieprzy-

jaciele nie mogą mieszkać razem w domu Wielkiego Ducha, bo tam panuje wieczny pokój i zgoda; dlatego więc trzeba pierwej przebaczyć nieprzyjaciołom!

Chory dziki zdawał się nie pojmować tego; oblicze jego mieniące się już barwami śmierci wyrażało zacięty upór i zawziętość. Widok ten przeraził mię niezmiernie. Schwyciłem za krzyż wiszący na piersiach i pokazałem mu.

— Patrz — przemówiłem do niego — oto Syn Boży! Nieprzyjaciele Jego zranili Go także śmiertelnie tu na ziemi, przybili Go do krzyża jak tu widzisz, i zamordowali Go okrutnie. A jednak Zbawiciel ten, który jest także twoim Zbawicielem, który to wszystko wycierpiał, aby ci piękny dom Wielkiego Ducha otworzyć — przebaczył im umierając na krzyżu i prosił Wielkiego Ducha, Ojca swojego, aby im przebaczył. To uczynił twój Bóg, a ty miałbyś nie przebaczyć?

Na te słowa utkwił umierający oczy w krzyż, a twarz jego wyrażała najwyższy stopień zdziwienia.

— Czy to prawda, co mówisz czarna suknio?

— Tak, to prawda.

— Przysięgnij mi na Wielkiego Ducha — powiedział wreszcie spokojnie i poważnie.

— Przysięgam ci na mego Boga, który jest także twoim Bogiem i który mię przysłał, abym szukał Indyan i czynił im do-

brze — odpowiedziałem przejęty sam do głębi majestatem tej chwili.

— Jeżeli to prawda, jeżeli Zbawiciel modlił się na krzyżu za swoich nieprzyjaciół i przebaczył im, a zatem i ja muszę uczynić tak jak On uczynił — powiedział Indyanin, zwracając się do obu dzikich. — Idźcie i przywołajcie tu mężów z mojego pokolenia.

Obaj Indyanie wyszli natychmiast z chaty aby spełnić rozkaz wodza. Pozostaliśmy sami i milczeli, tylko z głębi serca prosiłem Boga o zmiłowanie i starałem się ulżyć cierpieniom chorego Przyjmował wszystko wdzięcznie i cierpliwie.

Niebawem chata wodza zaczęła się napełniać Indyanami najprzedniejszymi z pokolenia; smutni i strwożeni otoczyli łoże umierającego.

— Umieram — zaczął tenże słabym głosem, gdy się już wszyscy zeszli. — Wielki Duch przysłał mi tego białego w czarnej sukni, aby mię ochrzcił i wprowadził po śmierci do pięknego domu. Lecz pierwej muszę uczynić, jak Wielki Duch uczynił, i tak będzie najlepiej. On przebaczył nieprzyjaciołom swoim!

W najwyższem zdumieniu słuchali słów tych Indyanie, nie dowierzając własnym uszom.

— Przysięgnijcie mi na Wielkiego Ducha, że nie pomścicie się na moich nieprzyjacio-

łach za śmierć moją, chcę, żądam tego! Odłóżcie broń na bok i przysięgnijcie!

— Odpasali broń i przysięgli.

Kazałem przynieść wody, aby go ochrzcić. Gdym przysposabiał wszystko do tego, zawołał chory:

— Weźcie mię z łóżka.

Starałem się go nakłonić, by spokojnie leżał, każde bowiem poruszenie sprawiało mu ból straszliwy. — Weźcie mię mężowie Indyjscy -- zawołał raz jeszcze — i połóżcie na ziemi, czuję, że Wielki Duch chce pomówić ze mną.

Indyanie milcząc spełnili ten rozkaz umierającego.

Z radością i prostotą dziecka, przyjął chrzest święty. Indyanie byli bardzo wzruszeni i na dany znak opuścili chatę. Pozostałem jeszcze przez cały dzień przy konającym, modliłem się z nim i umacniałem na drogę wieczności i zbudowałem się gorącą wiarą nowo-ochrzonego. Pod wieczór umarł wódz, ucałowawszy jeszcze wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela, który przez śmierć swoją przyniósł pokój ludziom „dobrej woli“.

Szlachetny ten wódz nauczył swych Indyan, jak trzeba przebaczać swym nieprzyjaciołom i śmierć jego była początkiem nawrócenia całego szczepu indyjskiego w Techas. (Erbauungsstunden 1888. str. 198).

Zgorszenie.

Eugeniusz, uczeń uniwersytetu, przepędzał zwykle wakacye u swego stryja, czcigodnego proboszcza wiejskiego. Tego roku myśl o wakacyach napełniała go szczególniejszą radością, nie znał bowiem ani wioski, do której stryja niedawno przeniesiono, ni malowniczych jej okolic. Wioska ta leżała o milę od najbliższej stacyi kolejowej.

W wilię wyjazdu wysłał Eugeniusz wszystkie swoje rzeczy naprzód, a przybywszy na drugi dzień na stacyę, szedł wśród deszczu wygodnym bitym gościńcem do domu stryja. Tuż przed samą wsią zauważył stary, drewniany krzyż, a pod nim starca zatopionego w modlitwie. Pomimo lichego ubrania zdawał się być nieczułym na deszcz i chłód panujący w powietrzu i na wszystko co się koło niego działo. Chwilę przypatrywał się Eugeniusz modlącemu się starcowi, potem poszedł swoją drogą.

Stryj powitał go serdecznie, Eugeniusz zaś po krótkim odpoczynku wypytywał się o modlącego starca, który go w wysokim stopniu zajął.

— To zapewne stary Michał — odpowiedział proboszcz — codzień modli się, nie zważając na chłód ni słotę po kilka godzin pod krzyżem, aby odpokutować za dawniejsze przewinienia. Nieszczęśliwy człowiek miał

smutne życie. Wiele lat siedział niewinnie w więzieniu i utracił cały majątek. Chętnie opowiada młodzieży ku zbudowaniu dzieje swego życia, które pewnie niezadługo z własnych jego ust usłyszysz, gdyż mię często odwiedza.

W kilka dni przyszedł w samej rzeczy pobożny starzec do proboszcza i na prośbę Eugeniusza opowiedział swego życia koleje.

— Byłem zamożnym człowiekiem i posiadałem najpiękniejszy dom we wsi i urodzajne pola. Wierna żona i miluchny synek stanowiły najwyższą rozkosz i osłodę mojego życia. Zaślepiony powodzeniem wbiłem się w dumę i nie Boga, twórcę wszelkiego dobra, ale siebie samego uważałem za twórcę mego szczęścia i nie myślałem o tem że to szczęście może się kiedyś skończyć. Względem żony i dziecka, względem służby i sąsiadów byłem porywczy i niesumienny. Do kościoła wcale nie chodziłem, a ulubionym przedmiotem rozmów moich było naigrawanie się z cnoty, religii i bluźnierstwa!

W tem zaciężyła nademną ręka Sędzi Przedwiecznego. W pobliskim lesie zamordowano młynarza, który był jednym z moich sąsiadów; mordercy na razie nie odkryto, a podejrzenia całej wsi padły na mnie i zostałem uwięziony. Pamięć moja jest zbyt osłabiona, abym mógł przytoczyć wszystkie punkta oskarżenia, główniejsze tylko zapamiętałem.

Z zamordowanym żyłem w jawnej nieprzyjaźni i często mu się odgrażałem. Jeden z moich parobków zeznał pod przysięgą, że widział jak wybiegłem z lasu wzburzony i przerażony i spotkawszy go miałem mu powiedzieć, że stało się coś takiego, o czem długo jeszcze mówić będą. W godzinę może po tej rozmowie z parobkiem, znaleziono trupa zamordowanego młynarza. Na podstawie tych i tym podobnych napozór niezbitych dowodów skazano mię na śmierć, a wreszcie karę tę zmieniono na dożywotnie więzienie. Piętnaście lat przesiedziałem niewinnie w więzieniu. W tem umarł właściwy zabójca pochodzący z tej samej wsi, co ja, i w ostatniej godzinie w obecności sędziego i kilku świadków, zeznał, że on to zamordował w lesie młynarza. Teraz uwięziono krzywoprzysięzcę parobka i po ukończeniu dochodzenia sądowego, uwolniono mię jako niewinnego. W ciągu przesłuchania krzywoprzysięzcy zapytałem go, dlaczego mię wtrącił w takie nieszczęście, kiedy w czasie służby obchodziłem się z nim jak najlepiej, i nigdy mu żadnej krzywdy nie wyrządziłem. Z nienawiścią malującą się na twarzy odpowiedział mi, że moje klątwy, pogróżki i łajania, któremi go przy lada sposobności obrzucałem, obudziły w nim pragnienie zemsty i że skorzystał z owego zabójstwa aby mię zgubić. Zgorszenie, jakie mu z siebie dawa-

łem, kłamstwo i nieuczciwość, zabiły w nim jak powiadał — miłość prawdy, a moje bluźnierstwa i naigrawanie się z religii, odarły go z zasad wiary św. i przysposobiły do wszystkiego najgorszego, a więc i do krzywoprzysięstwa. Nazwał mię mordercą duszy swojej, gdyż nim wszedł do mnie do służby, był pobożnym i uczciwym.

Opowiadający starzec wybuchnął głośnym łkaniem.

— Piętnaście długich jak wieczność lat, pozbawiony byłem wolności. Gdy ją znów odzyskałem, spoczęła biedna moja żona i dziecko w chłodnej ziemi, majątek mój przepadł, a cała piękna posiadłość przeszła w obce ręce. Lecz wszystko to jest niczem wobec zarzutu krzywoprzysięzcy, iżem mu duszę zamordował! Zarzut ten toczy jak robak moje sumienie i będzie mi toczył do końca życia. W kilka miesięcy umarł parobek w więzieniu. W godzinie śmierci nie chciał widzieć księdza na oczy, odtrącił święte Sakramenta i umarł nie okazawszy najmniejszego żalu!

— Czy teraz pojmujesz młodzieńcze, dlaczego codziennie klęczę po kilka godzin pod krzyżem? Pracować nie mogę, bo siły moje są już złamane. Mieszkam w domu ubogich, skromne moje potrzeby zaspakaja dobroczynność ludzka. Modlę się więc do ukrzyżowanego Zbawiciela, od którego oderwałem biedną owę duszę, modlę się o wieczny odpo-

czynek dla zbłąkanego i o śmierć szczęśliwą dla siebie i bliźnich moich.

Proboszcz zwrócił do drżącego ze wzruszenia starca kilka słów pociechy i współczucia, a Eugeniusz przejęty do głębi uścisnął gorąco rękę biednemu pokutnikowi.

Po upływie roku przybył znów Eugeniusz do stryja. Zaraz na wstępie zapytał się o starego Michała.

— Już go niema między żyjącymi — odpowiedział proboszcz. — Przed kilku miesiącami gromada pijanych wyrostków chciała zburzyć krzyż na pół spruchniały. Obecny temu starzec, stanął przed krzyżem i bronił go od napastników. W tem silne uderzenie pięści powaliło go na ziemię. Opatrzony pociechami św. naszej wiary, umarł w kilka godzin z oznakami najwyższej skruchy i żalu. Oby Bóg miłosierny i sprawiedliwy przyjął tę jego pokutę i osądził go łaskawie.

I któżby w tej historyi nie poznał karzącej prawicy Boga? Piętnaście lat musiał stary Michał pokutować, niewinny wprawdzie co do zarzuconej mu zbrodni, ale tem winniejszy przez dawniejsze swoje życie, wskutek którego stał się zabójcą duszy swojego parobka.

Tak to wcześniej czy później dosięga karząca prawica Pańska, każdego grzesznika, który Go obraża. (Keller 281).

Chrześcijanin dla dobrej sprawy mężnie śmierć ponosi.

Przedtem jeszcze, nim tysiące katolików padło ofiarą rewolucyi w Paryżu, już okrutny Żurdan (Jourdan), więcej niż sześćdziesiąt osób wtrącił do więzienia w Awinionie, a starał się z pomiędzy obywateli wybrać najzacniejszych. Osobliwie zwrócił swą nienawiść ku księdzu Nolbac, który był dawniej rektorem kolegium OO. Jezuitów w Tuluzie, a następnie po zniesieniu zakonu, proboszczem parafii św. Symforyana w Awinionie.

W całem mieście miał sławę ojca ubogich i pocieszyciela strapionych, był ucieczką nieszczęśliwych, doradcą wszystkich, i dlatego właśnie herszt rewolucyonistów wtrącił go do więzienia, dzień przed wymordowaniem innych więźniów za dobrą sprawę. Gdy go do nich wprowadzono, poznali go wszyscy i jak Anioła przywitali; pierwsze słowa jego były słowami Apostoła posłanego na zbawienie ich dusz:

— „Przychodzę umrzeć z wami, moje dziatki, rzekł do nich; staniemy wszyscy razem przed obliczem Boga! Dziękuję Mu, że mnie posłał do was, abym was przygotował na sąd Jego. Moje dzieci! czas jest krótki. Jutro, a może już dzisiaj, nie będzie nas na tym świecie! przygotujmy się przez szczerą pokutę, abyśmy byli szczęśliwymi na tamtym!

Niech ani jedna dusza nie zginie! Mam słodką nadzieję, że nietylko mnie Bóg przyjmie na swe łono, ale też da mi tę pociechę, że i was będę mógł przedstawić Mu jako dzieci, które On mi rozkazał zbawić i żadnego nie stracić".

Na te słowa wszyscy rzucili mu się do nóg całując i ściskając. Z jękiem i łkaniem spowiadali się, a on ich słuchał, rozgrzeszał i żegnał ze łzami, bo to ostatnia spowiedź. Wkrótce głos katów powołał pierwsze ofiary. Wyszli. Oprawcy czekali przy bramie więzienia. Tu ich ścinali, a ciała oddawali innym oprawcom, którzy je siekli pałaszami dlatego, aby przyjaciele lub dzieci nie mogli ich rozpoznać, potem rzucali tak zeszpecone i znieważone zwłoki do okropnej studni, którą zwali „lodownią".

Ksiądz Nolhac tych co wychodzili na stracenie ściskał i dodawał im odwagi. Jemu dał Bóg tę pociechę, że był ostatnim, i nie pierwej stanął przed Bogiem, aż wszystkich wysłał do nieba.

Skoro tylko można było wydobyć ciała z „lodowni", lud skwapliwie szukał tam zwłok swego dobroczyńcy. Znaleźli je, bo poznali po krzyżu na piersiach i sukni kapłańskiej, ale poszarpane pięćdziesięciu ranami. Każdy chwytał kawałek sukni, aby mieć pamiątkę; i przez ośm dni lud niedopuszczał grzebać ciała tego męczennika, aby pragnieniu swe-

mu uczczenia go zadość uczynić. (Ancedotes chretiennes).

Dobry pojedynek.

Ojciec Fidelis, Franciszkanin miał odprawić Mszę świętą w jednym z parafialnych kościołów Paryża. W drodze nie zauważył, że jakiś oficer, który właśnie wyszedł z kawiarni, przypatruje mu się pogardliwie i mierzy go wyzywająco wzrokiem od stóp do głowy. Widząc, iż Franciszkanin nie zwraca na to uwagi, zaczął go lżyć i znieważać ostatniemi słowami. Zaczepionemu księdzu wcale na odwadze nie zbywało; ocknął się z zadumy, przystąpił śmiało i z zimną krwią do napastnika mówiąc: „Pan mię obraziłeś, żądam zadosyć uczynienia“.

Oficer, który rozumiał pojedynek tylko na szpady lub pistolety, zdziwił się niemało szczególnem tem wyzwaniem, lecz przyjął je skwapliwie w nadziei, że się prędko z przeciwnikiem tak nieudolnym załatwi.

— Skoro pan przyjąłeś moje wyzwanie, a więc jako obrażony mam prawo obrać broń, jaką się bić będziemy, wybieram spowiedź i oczekuję pana jutro wieczór u siebie, gdyż gdzieindziej mi nie wypada.

Czegoś podobnego nie spodziewał sie pewnie oficer, zmięszał się na razie, lecz jako człowiek honorowy nie chciał odrzucić

przyjętego, choć tak niezwykłego pojedynku i nazajutrz o oznaczonym czasie stawił się w celi swojego przeciwnika. Jak się odbył ów pojedynek, pozostanie to oczywiście tajemnicą; to jedno tylko powiedzieć możemy, że na drugi dzień, z rąk Ojca Fidelisa przyjął ów oficer Komunię świętą i odtąd został szczerym i prawdziwym przyjacielem Franciszkanów.

Dałby Bóg, aby takie pojedynki zdarzały się jak najczęściej. I Kościół i państwo, a głównie osoby w ten sposób się pojedynkujące zyskałyby na tem nie mało (Erbauungsstunden 1886. str. 96.).

Córka, ofiara bezbożności swojego ojca.

Jeden z przywódzców nowszej filozofii, utrzymywał w domu dla najbliższych swych przyjaciół, szkołę ateizmu. Dzieci jego wzrastały wśród bezbożnych jego zasad i słyszały jak zawsze twierdził, że istnienie Boga jest prostą mrzonką. Najmłodsza córka, słuchając tych wykładów ojcowskich, wbijała sobie w pamięć owe zasady, które ustawicznie w domu głoszono. Młody jej wiek zdawał się ją zabezpieczać od wszelkich złych wpływów tego, co się jej o uszy obijało. Jednego razu przecież, słysząc, iż nie ma nic mędrszego nad pozbawienie się życia, skoro się nam stanie ciężarem, odeszła do swego pokoju cała wzburzona i zamyślona.

— Ledwiem się urodziła — mówiła do jednej ze służących — znienawidziłam istnienie swoje. Nie ma nic odważniejszego, nic stósowniejszego do zasad prawdziwej mądrości, jak przeciąć nić dni naszych, gdy nas zacznie życie męczyć. Ach, kochana przyjaciółko! gdybyś ty była słyszała, co mój ojciec mówił o tym przedmiocie! gdybyś była widziała, jak mu wszyscy dziękowali i winszowali, że tak pięknie mówi! Co do mnie, zrobiło to na mnie takie wrażenie, że gdybym tylko znalazła gdzie pistolet, odebrałabym sobie zaraz teraz życie!

Służąca skamieniała na te słowa.

— Zdajesz się lękać, moja droga — mówiła dalej mała filozofka. Gdybyś wiedziała wszystko co ja wiem, zabiłabyś się razem ze mną.

— O co do tego, to nie panienko; ja jestem znowu tak mądra, że wolę żyć, jak haniebnie się mordować.

Rodzice dowiedzieli się zaraz o tej dziwnej rozmowie; matka się przeraziła, ojciec podziwiał bohaterstwo córki. — Chciałbym widzieć do jakiego stopnia dojdzie siła tego rozumu!

Na jego rozkaz położono pistolet na stole obok pokoju córki; oczywiście nie było w nim ani kul, ani prochu.

Trzy dni nie upłynęły, gdy dziewczynka przechodząc spostrzegła pistolet; bierze go w rękę, przykłada do skroni i pada na ręce służących, które dostały rozkaz czuwania nad

każdym jej krokiem. Dziewczyna powtarzała ciągle z radością: Umarłam, ach przecie raz już umarłam!

Słowa te ziściły się niebawem. Obraz śmierci tak mocno wyrył się w jej umyśle, że wpadła w szaleństwo i nazajutrz umarła w objęciach zrozpaczonego ojca.

Gdyby zamiast obałamucać młodziuchny jej umysł przewrotnemi i bezbożnemi wykładami, ćwiczył ją był w cnocie i pobożności, byłby się doczekał pociechy, a teraz widzi się mordercą swego dziecka. O co za straszny wyrzut sumienia dla ojca, zabić własne swe ukochane dziecko!

Szczęśliwe dzieci które mają cnotliwych i pobożnych ojców! Biada zaś tym, których rodzice są wzorem bezbożności i niewiary! Lepiejby dla nich było, gdyby się były nigdy nie rodziły! (O. Migne, Dictionaire des anecdotes chretiennes str. 1100).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. M. Morawski T. J.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
Kraków 18 Lipca 1891.

† *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

VI^te i IX^te Przykazanie.

„Nie cudzołóż.“
„Nie pożądaj żony bliźniego twego.“

Wierność małżeńska.

Przed sądem przysięgłych w Berlinie stała kobieta licząca około 30 lat. Ubranie jej było całe i czyste, ale twarz blada i wynędzniała. Głód przezierał z całej jej postaci. Weszła chwiejnym krokiem do sali rozpraw, niosąc na ręku małe wychudłe dziecię. Z trudnością trzymała się na nogach, spoglądając trwożnym, błagalnym wzrokiem na sędziów.

— Możesz pani usiąść — odezwał się prezydent, a biedna obwiniona uczyniła to skwapliwie, wdzięczna za takie dobrodziejstwo.

Przewodniczący otworzył akta oskarżenia i tak zaczął:

— Czy pani jesteś Ludwika Elbers?

— Tak jest, panie prezydencie.

— Jesteś pani oskarżona, iż wieczór we środę w przeszłym tygodniu weszłaś do kawiarni Europejskiej i prosiłaś o jałmużnę pana Neumana, kapitalistę. Co pani możesz powiedzieć na swe usprawiedliwienie?

— Nie znałam tego pana.

— A więc przyznajesz się do żebrania?

— Tak jest.

— Czy masz pani powiedzieć co na swoją obronę?

Obwiniona spuściła głowę i płakała.

— Nic mi już nie pomoże — szepnęła.

— Nie trzeba tracić odwagi — odezwał się na to prezydent prawie dobrotliwie — opowiedz pani otwarcie sędziom, co cię spowodowało do przekroczenia prawa; może to pani wyjść jeszcze na dobre.

Obwiniona zaczęła nie podnosząc oczu:

— Mąż mój opuścił mię od pół roku a ja sama musiałam się starać o dwoje dzieci. Starsze umarło z głodu, a to nie będzie się już długo męczyło. Po całych dniach i tygodniach starałam się o robotę, ale naprożno! chciałam pozostać uczciwą, myśl o śmierci głodowej wcale mi straszną nie była; a gdy się kilka dni nie je, nic się nie czuje, i sądzę, że śmierć nie jest tak przykrą... Ale moje dziecko, biedne moje dziecko!... I znów szukałam zarobku. Wreszcie przyjęto mię w pewnym magazynie strojów damskich, do szy-

cia. Szyłam codzień od szóstej rano do dwunastej w nocy, a często do pierwszej lub drugiej.

— I ile też zarabiałaś tam pani na dzień? zapytał sędzia z żywem zajęciem.

— Jeżeli szło dobrze, to 60 fenigów, [1]) a zwykle tylko 50 lub nawet 25 fenigów. Dam panu adres tego magazynu, zresztą może to poświadczyć każda ze stu robotnic tam pracujących.

W przesłuchaniu nastała przerwa. Sędziowie spoglądali na siebie. Jeden z sędziów przysięgłych odezwał się z cicha do drugiego:

— Czy właściwie na tej ławie nie powinienby siedzieć sam właściciel, zamiast jego robotnicy?

Na znak dany przez prezydenta mówiła kobieta dalej:

— Z tych 50 do 60 fenigów, opłacałam codziennie jedzenie, mieszkanie, światło i ubranie; nadto do szycia musiałam sama kupować nici w magazynie, gdzie były trzy razy droższe niż gdzieindziej.

Zaczęła płakać. — Być może, żeby mi się było lepiej powodziło, gdybym — gdybym była poświęciła swoją uczciwość i dobre imię; panowie z tego magazynu czynili mi rozmaite obietnice, ale lepiej umrzeć z głodu z uczciwością, niż opływać w dostatki

[1]) 1 fenig tyle co pół centa.

lecz zarazem utracić poczciwość. — Po chwili mówiła dalej:

— Przed tygodniem wypowiedziano mi miejsce; na klęczkach prosiłam właściciela aby mi dał robotę choć za 30 fenigów, ale napróżno. Raz jeszcze poszłam do pana do biura — powiedziano mi, że wyjechał do nowej swej majętności.

— A więc od tygodnia nie masz pani żadnego zarobku? — zapytał prezydujący.

— Tak jest, a ponieważ nie mogłam patrzeć jak dziecko ginie mi z głodu, a mąż mój jest tak niesumienny, że nas opuścił — po raz pierwszy w życiu żebrałam — mówiła zdławionym od łez głosem — i gdyby mi ten pan był dał 20 fenigów, zamiast mię wydać policyi, byłabym ocaloną!

Pomiędzy sędziami przysięgłymi powstało poruszenie.

— To woła o pomstę do nieba! co za nieludzki, barbarzyński postępek! — choć niestety według ducha czasu!

Ale akt oskarżenia szedł dalej swoim trybem. Sędzia jako stróż prawa, nie mógł uniewinnić oskarżonej. Żebrała, a więc jest winną. Sędziowie naradzali się z przysięgłymi i ogłosili wyrok, skazujący panią Ludwikę Elbers na 3 marki grzywny lub jeden dzień aresztu.

— Jestto najłagodniejsza kara — dodał

przewodniczący — ale tak nam nakazuje prawo.

Kobieta rzekła z płaczem: — Dziękuję panom serdecznie — i chciała odejść. Ale prezydujący rzekł głośno:

— Żebranie jest prawem zakazane, ale dawanie nie. Proszę zbliżyć się pani Elbers.

Gdy kobieta stanęła przed nim, dał jej banknot na 10 marek i rzekł wzruszonym głosem:

Masz tu pani nieco grosza, zapłać karę sądową i kup sobie co do jedzenia.

Biedna kobieta nie wierzyła własnym oczom i uszom; wynędzniałe jej oblicze zajaśniało błogą radością.

Za przykładem prezydenta poszli i inni: sędzia, przysięgli, prokurator, a nawet pisarze obdarzyli ją czem mogli. Inne to były serca niż owego kapitalisty.

Uszczęśliwiona kobieta nic już przemówić nie mogła, płakała tylko i kłaniając się wyszła z sali powtarzając z cicha: Bóg zapłać! (Erbauungsstunden 1888. str. 116).

Palma i lilia.

Niedaleko włoskiego miasta Modeny leży wieś Formigine. Przed kilku miesiącami odprawiało się tam w kościele parafialnym czterdziesto-godzinne nabożeństwo. Pobożny lud

garnął się z wielkim zapałem do św. Sakramentów.

Klementyna Secchi, trzynastoletnia dziewczyna wiejska, taką miłością pałała ku Zbawicielowi utajonemu w N. Sakramencie, że nie znała większej rozkoszy nad połączenie się z Nim w Komunii św. Jakoż w największem skupieniu ducha przyjęła Boskiego Oblubieńca do serca swego i w długiej a gorącej modlitwie, polecała mu swą niewinność, by ją strzegł od wszelkiej zmazy grzechowej.

Następnie zbliżyła się do matki, która z powodu wielkiego natłoku nie mogła się jeszcze wyspowiadać i czekała końca nabożeństwa.

— Idź naprzód — rzekła matka — ja zaraz przyjdę.

Klementyna posłuszna matce, wracała skromnie i w skupieniu ducha do domu.

Zaledwie przestąpiła próg swej chaty, gdy tuż za nią wsunął się nieznany jej młodzieniec i chciał ją namówić do grzechu. Biedna dziewczyna była bezbronną wobec napastnika, chata zaś była tak od wsi oddalona, że wołania jej niktby nie mógł usłyszeć. Jednak nie oddała się rozpaczy; powzięła silne postanowienie raczej wszystko utracić niż niewinność!

Nędznik ów to pochlebiał, to groził, ale cnota Klementyny była nieugiętą. Chciała uciekać, lecz dwie kościste ręce trzymały ją mocno, mimo to nie traciła odwagi: Puść

mię wołała, ty bezwstydny człowiecze i idź sobie precz! Wiedz, że wolę umrzeć niż się skalać. Niewinność droższą mi jest nad wszystkie skarby świata.

Na te słowa, niegodziwy ów człowiek porywa za nóż i znęca się nad niewinną ofiarą w okropny sposób. Rana za raną pokrywa delikatne jej ciało; potoki krwi płyną z licznych ran! Siły ją opuszczają, ciało umiera, lecz czysta jej dusza wzbija się ku niebu, aby niepokalaną lilię świętej czystości ponieść przed tron Boga! Zamordowawszy w ten sposób czystą dziewicę, odcina jej jeszcze głowę, aby godnie dokończyć szatańskiego swego dzieła.

Przed kilku tygodniami toczyła się ta sprawa przed sądem w Modenie i przy tej sposobności zajaśniała najwyższym blaskiem dziewicza niewinność Klementyny, wywołując najwyższy podziw i uwielbienie pośród sędziów i licznie zebranej publiczności. Teraz zaś „Córki Maryi“ zbierają składki, aby tej bohaterskiej dziewicy wznieść pomnik, któryby świadczył o niezwykłej cnocie prostej dziewczyny. (Erbauungsst. 44 str. 1885).

Jeszcze czego nie stało!

Arcyksiążę Karol Ludwik, brat obecnie panującego cesarza, będąc namiestnikiem Tyrolu, chciał się dostać do wsi Lans. Ubrany był po

wojskowemu i miał ze sobą tylko adjutanta. Nie znając dobrze drogi, spytał się dziewczyny którą napotkał, kędy droga do Lans.

— Idź pan prosto, to pan zajdziesz, — odpowiedziała dziewczyna krótko i węzłowato.

— Chodź ze mną i pokaż mi drogę — rzekł arcyksiąże.

— Jeszcze czego nie stało, — odpowiedziała dziewczyna bez namysłu. — Cóż to! czy masz mię pan za taką, która się włóczy z żołnierzami? O, bardzo się pan mylisz!

I po tych słowach pobiegła szybko i znikła niebawem za górą.

Arcyksiąże przybył jednak szczęśliwie do wsi, stanął w gospodzie i został uroczyście powitany przez przedstawicieli urzędu gminnego. Wśród tego zjawia się w gospodzie owa dziewczyna i dowiaduje się, że ten żołnierz, do którego tak szorstko mówiła, to sam namiestnik. Idzie tedy do arcyksięcia drżąca i zawstydzona i przeprasza go. Ten zaś roześmiał się szczerze na wspomnienie zabawnego zajścia, jakie miał przed chwilą i rzekł:

— To nic nie szkodzi; dzielna z ciebie dziewczyna. Postępuj tylko nadal tak samo, i nie wdawaj się nigdy z żołnierzami!

Młoda ta dziewczyna tyrolska podoba się wam, nieprawdaż? Oby wszystkie nasze dziewczęta były jej podobne. (Erbauungsstunden 60. 1885).

Mężne dziewice.

Działo się to w Paryżu, podczas owej wielkiej rewolucyi, przy końcu zeszłego wieku. Dwa wozy pełne zakonnic, skazanych na śmierć przez zbuntowanych królobójców, przejeżdżały około jednego z publicznych placów, gdzie motłoch wszelkiego rodzaju radował się z odniesionego nad niewinnymi zwycięztwa i z tego powodu jadł i pił bez miary. Gdy spostrzegli owe dwa wozy, a na nich skromne, cnotliwe zakonnice, wyzywali je najplugawszemi wyrazami, rzucali na nie kości i brudne resztki z biesiady, śpiewając przy tem najbezbożniejsze pieśni, obrażające uszy i niewinność czystych oblubienic Chrystusowych. Lecz one pośród tego dzikiego wesela, nie utraciły ani na chwilę spokoju i pogody ducha i jechały odważnie na pewną, straszną śmierć, modląc się gorąco za swych morderców, za nieszczęśliwą obłąkaną ojczyznę, mając podobnie jak królowa ich Marya Antonina, ręce w tył związane, a oczy wzniesione ku niebu.

Pomiędzy temi zakonnicami znajdowała się jedna odznaczająca się i wiekiem i szlachetnem pochodzeniem, ale głównie cnotami. Była to ksieni Karmelitanek z Montmartre, dostojna pani de Laval-Montmorency. Razem z nią skazano szesnaście duchownych jej córek na śmierć, i te wierne służebnice Bo-

ga, które długie lata w zaciszu klasztornem wspólnie przeżyły, wspólnie się modliły, Boga chwaliły i miłowały, czuły się teraz szczęśliwemi na myśl, że także wspólnie na tem samem rusztowaniu położą swe życie za Boga i za święty Kościół Jego.

Wśród szyderstw i naigrawań, obelg i znęcania wszelkiego rodzaju rozszalałego winem i krwią motłochu, śpiewały z oczyma utkwionemi w niebo, jak gdyby były w swoim kościele, pieśń do Najświętszej Panny, Królowej dziewic.

Spokojna, majestatyczna postawa tych zakonnic, tak odważnych w obliczu śmierci, wprawiła pijanych biesiadników w istny szał wściekłości. Uzbrojeni w kije i widły rzucili się na zakonnice wrzeszcząc:

— Milczeć! wy obłudne mniszki! Nie jakieś tam Oremus, ale marsyliankę [1]) śpiewajcie. Tak, tak, marsyliankę! — krzyczeli inni.

— Opuszczają ten świat — wołali znów inni — powinne śpiewać pieśń pożegnania.

— Nie, nie! zakrzyczano ich zewsząd — marsyliankę, marsyliankę!

Wśród wściekłych okrzyków tłuszczy, śpiewały dalej Karmelitanki spokojnie i poważnie pieśń do N. M. Panny.

— Uparte mniszki! Trzeba je zmusić do posłuszeństwa! — wyje tłuszcza.

---

[1]) Marsylianka jest to pieśń rewolucyjna.

— Śpiewajcie marsyliankę! Natychmiast!

— Czyście zrozumiały? a więc zaczynać!

Lecz zakonnice śpiewały dalej spokojnie i niewzruszenie pieśń do Matki Boskiej, zdając się nie słyszeć wyuzdanych obelg, a obelg tak sprośnych i tak okropnych, iż powtórzyć ich niepodobna.

W świętym zachwycie, jak gdyby do tej ziemi nie należały, jechały odważnie męczennice i kończyły pieśń zaczętą.

Im wznioślejszą okazuje się cnota, tem więcej wścieka się występek. I pogańscy tyrani w tem straszliwszy gniew wpadali, im mężniej święci męczennicy Pańscy męczarnie znosili.

To też i teraz doszła do najwyższego stopnia wściekłość tych bezbożników. Zatrzymali przemocą wozy, na których jechały oblubienice Chrystusowe i zaczęli je bić tak niemiłosiernie, że aż woźnice musieli się w to wdać, krzycząc, aby nie zabijano skazanych, gdyż inaczej pozbawią się przyjemności podziwiania, jak głowy ich będą padały pod gilotyną.

Kilka sióstr ciężko pokaleczono, jedna miała na głowie głęboką ranę, z której krew lała się strumieniem.

Wtem przez zbity tłum napastników przeciska się młoda kobieta; nie dbając na groźby i łajania dzikiej tłuszczy, dostaje się z tru-

dem do wozów, upada na kolana i woła do ciężko rannej zakonnicy:

— O ty święta, która wstępujesz do nieba, pobłogosław mi!

— Umierająca pochylila się ku niej, wzięła swój różaniec, który był cały krwią przesiąkły i dała go nieznajomej, mówiąc: — Módl się za nas, kochana siostro!

W kwadrans później padły głowy siedmnastu Karmelitanek pod gilotyną, dusze zaś niewinnych ofiar pospieszyły do niebieskiego swego Oblubieńca, aby z rąk Jego odebrać koronę męczeńską. (Erbauungsstunden 1885 str. 39).

Jak wysoko cenić czystość?

W Neapolu żyła pewna matka z córką jedynaczką. Córka ta była niepospolitej urody, ale co ważniejsza wielkiej cnoty i pobożności. Utrzymywały się z trudem, ale uczciwie z pracy rąk swoich. Gdy jednak w mieście tem, jak w ogóle w całym kraju nastała drożyzna i głód, ujrzały się obie w bardzo smutnem położeniu. Praca ręczna nie wystarczała już na opędzenie najpierwszych potrzeb życia. Co tylko miały odzieży i sprzętów nie koniecznie potrzebnych, sprzedawały jedne po drugich, tak iż wkrótce w izdebce nie było nic prócz gołych ścian.

Głód zaczął im już dokuczać, a tu ani chleba, ani łyżki strawy!

Matka była w rozpaczy i straciła już ufność w Bogu. By dostać chleba, radziła córce wstąpić na drogę występku; lecz ta rzekła:

— Nie, matko, nie uczynię tego! czekajmy i ufajmy Opatrzności; czyż bowiem nie wiesz, że: „W najdotkliwszej przygodzie, stoi Pan Bóg w odwodzie“ — czyż mi tego dawniej sama nie powtarzałaś? A teraz posłuchaj: Przyszła mi szczęśliwa myśl do głowy; odkryłam środek uzyskania uczciwym sposobem nieco grosza i opędzimy nim parę dni. a może tymczasem ustanie drożyzna i łatwiej będzie o zarobek. Weź mój warkocz i przedaj go na mieście. Mówiąc to, odcięła piękny warkocz swych włosów i wręczyła go matce.

Ta zdumiona tym szlachetnym postępkiem i wzruszona cnotą swej córki, poszła na targ i szukała kupca na ów dziwny towar.

Właśnie przechodził tamtędy pewien znakomity pan (a raczej Bóg go tam przyprowadził) a widząc tak piękne włosy w ręce biednej kobiety i łzy w jej oczach, zatrzymał się i rzekł wzruszony:

— Do kogóż należy ten piękny warkocz matko? czyście może stracili ukochaną córkę?

Natenczas matka nabrała odwagi, opowiedziała mu w jak rozpaczliwem położeniu znaj-

duje się razem z córką, oraz jak szlachetnie postąpiła sobie cnotliwa ta dziewczyna.

Wtedy pan ów kupił włosy za bardzo wysoką cenę, a wywiedziawszy się dokładnie o ich położeniu, wyznaczył im stałą, hojną zapomogę, tak, iż nigdy już nie zaznały biedy. (Filotea XIX r.).

Koniec życia występnego.

(Historya jakich pełno).

Pani St., wdowa po rządcy, odprowadzała na kolej jedynego swego syna, który po raz pierwszy jechał do większego miasta, aby się wydoskonalić w zawodzie stolarskim. Serce biednej matki ściskało się z żalu i niepokoju na myśl, iż dobre, poczciwe swe dziecko puszcza w świat bez dozoru i opieki; chociaż sama nie była nigdy w większem mieście, wiedziała jednak od innych, na jakie niebezpieczeństwa pod względem moralnym i religijnym narażoną jest młodzież po wielkich miastach.

Oboje szli w głębokiem milczeniu, przejęci smutną myślą rozstania, gdy stacya kolei okazała się w pobliżu. Tedy matka zwalnia kroku i patrząc w oczy syna z miłością, ale i niezwykłą powagą, mówi:

— Karolu! drogie moje dziecię! pozostań zawsze tak dobrym i pobożnym, jak dotąd

byłeś i staraj się, abyś mi zawsze pociechę sprawiał. Wystrzegaj się złych towarzystw, lekkomyślnych kolegów i tych, którzy się z religii wyśmiewają, niechaj usta twoje nie splamią się nigdy brudnem słowem a serce myślą nieczystą! Wizerunek ten — tu wręczyła mu obrazek świętego Alojzego — miej zawsze przed oczyma!

Karol wzruszony do głębi serca, przyrzekł matce wypełniać wiernie jej polecenia i rozstał się z mocnem postanowieniem dotrzymania swych przyrzeczeń.

W mieście uczył się stolarstwa, był pilnym i uczciwym, a majster był z niego bardzo zadowolony, i po 3 latach nauki wyzwolił go na czeladnika. Co roku na święta Bożego Narodzenia, i na Wielkanoc przyjeżdżał na wieś do matki, która nie mogła się nacieszyć swem dzieckiem. Jak dawniej tak i teraz chodził z matką do kościoła na sumę i na nieszpory, a szczęśliwa matka dziękowała Bogu, iż syna jej ustrzegł od niebezpieczeństw wielkiego miasta. Ale w czwartym roku zaczęło się wszystko zmieniać na gorsze; na Wielkanoc nie przyjechał Karol, listy pisywał coraz rzadziej, a i ton ich był coraz chłodniejszy. W ostatnim liście pisał już wyraźnie, że dotąd w życiu nie zaznał nic innego tylko trud i pracę, że jednak nie potrzeba być bogatym człowiekiem, aby także użyć różnych przyjemności w życiu, a wresz-

cie, że wieś gdzie ludzie są jeszcze tak prostoduszni, iż się dają księżom wodzić na pasku, nie ma już dla niego żadnego powabu.

List ten przeraził biedną matkę; to też zaklinała syna listownie, aby porzucił podobne zasady, które nie mogą do niczego dobrego doprowadzić. Ale nie otrzymała na to odpowiedzi.

Karola wciągnięto w koła złożone z socyalistów i tym podobnych bezbożników. Z początku wstydził się gdy mówiono o „świętoszkach,“ „maminych synkach,“ którzy drżeli ze strachu przed osobą księdza proboszcza; potem sam się wyśmiewał z podobnych rzeczy, aby uchodzić za postępowego i wolnomyślnego, a żądza używania przyjemności życia paliła go coraz bardziej. Co zaczęły wyuzdane mowy i wyśmiewania kolegów, tego dokończyły śliskie powieści niemieckie, pisma ludowe, przesiąkłe niewiarą i bezbożnością. Do kościoła wcale już nie chodził, ale za to uczęszczał pilnie w niedziele i w święta do miejsc podejrzanych na tańce i pohulanki, które mu kieszeń wypróżniały, a głowę i serce jadem moralnym zatruwały. Obrazkiem św. Alojzego zapalił sobie fajkę, a niebawem zaczął wieść tak rozpustne życie, ze nawet towarzysze jego zdumiewali się nad nim.

W mroźny dzień zimowy, odebrała pani St. list pisany nieznaną jej kobiecą ręką, w którym Siostra Miłosierdzia Teresa donosiła jej, że Karol od kilku tygodni leży ciężko chory w miejskim szpitalu, i że może go odwiedzić, jeśli sobie życzy. — Pismo wypadło jej z rąk, a gorące łzy puściły jej się z oczu. Co się stało? Dlaczego syn nie doniósł jej nic o sobie? Czy poszedł może na bezdroża, przed któremi go tak ostrzegała?

Te i tym podobne myśli dręczyły biedną matkę, gdy szła na kolej, którą w kilka godzin zajechała do miasta, gdzie syn jej przebywał.

Nogi się pod nią trzęsły, w głowie szumiało, gdy wstępowała w progi szpitala. Siostra Miłosierdzia poprowadziła ją długim kurytarzem do sali chorych, do łóżka syna. Przerażona, odskoczyła matka i płacząc gorzkiemi łzami, załamała ręce z rozpaczy. Czyż ta trupia, wynędzniała postać z zagasłemi w głąb zapadłemi oczyma, to jej syn? Czy ten szkielet powleczony skórą to Karol, ów Karol, z którego niegdyś tryskało zdrowie i siła młodzieńcza?

— Boże mój, Boże, co się z tobą stało, Karolu! — zawołała głośno, lecz chory popatrzył na nią błędnym, zagasłym wzrokiem i wybełkotał kilka słów niezrozumiałych.

Lekarz był właśnie w sali, zajęty opatrywaniem chorych.

Ludzki ten człowiek, lecz surowy dla tych którzy się z własnej winy choroby nabawili, zbliżył się do łóżka Karola i zapytał pani St. czy to jej syn.

— Tak, panie; nie przeczuwałam że syn mój leży chory w szpitalu; co mu jest panie doktorze?

— Jeżeli pani chcesz wiedzieć, to posłuchaj: choroba jego jest skutkiem rozpustnego życia, owego szkaradnego występku, który te sale zawsze napełnia.

Karol jęknął i zakrył sobie twarz rękami.

— Posłuchaj co mówię do twej matki, a i inni chorzy mogą tego posłuchać, nic im to nie zaszkodzi. Pani jesteś prostą kobietą ze wsi i nie masz pojęcia o występkach wielkich miast! Młodzi chcieliby wszystkiego użyć, to też kosztują owoców z zakazanego drzewa, a zatruwszy się jadowitym ich sokiem, tracą zdrowie ciała i duszy i wreszcie marnie giną. Nie mogę uszu pani kalać bliższem objaśnieniem choroby jej syna; żal mi cię biedna matko, ale wiedz, że w sam czas przybyłaś, aby go jeszcze przy życiu obaczyć.

— Ratuj go drogi panie! ratuj — wołała biedna kobieta w strasznej rozpaczy — a może Bóg go ocali!

— I stu lekarzy nic mu już nie pomoże — odpowiedział lekarz kiwając smutnie głową, wobec takiej trucizny sztuka nasza jest bezsilną... Wstyd to i hańba, że tylu młodych

silnych ludzi ginie tak marnie przez swoją lekkomyślność i występne życie. Ileż to podobnych ofiar pochłania przedwcześnie zimna mogiła!

Doktór poszedł dalej, a biedna matka jakby gromem rażona, padła bez zmysłów przy łóżku syna.

Gdy przyszła do przytomności, ujrzała się w małym, miluchnym pokoiku, a obok siebie przy łóżku Siostrę Miłosierdzia, która starała się ją pocieszać.

— Jak się ma mój syn? — było pierwszem jej zapytaniem, lecz milczenie zakonnicy było wymowną odpowiedzią, iż syn jej Karol już nie żyje.

Nazajutrz nieszczęśliwa, złamana na siłach kobieta szła znów do cichej wioski. Było ostry, mroźny dzień zimowy. Lecz pani St. nie czuła tego, patrząc martwym wzrokiem na puchy śniegowe, zaścielające ziemię jednym białym całunem; myślała tylko o tem, że ten sam biały zimny śnieg pokrywa mogiłę jej syna.

Tą samą drogą szła niegdyś matka z Karolem, gdy wszystko się zieleniło i kwitło, gdy i syn jej kwitnął zdrowiem i młodością, i najpiękniejsze nadzieje rokował — a teraz... (Erbauungsstunden 1886. 16 str.).

Bezwstydny obraz.

W galeryi obrazów w Berlinie znajdował się piękny obraz mistrzowskiego pędzla, przedstawiający Chrystusa ukrzyżowanego. Obok niego zawieszono inny obraz, niemniej znakomitego mistrza, przedstawiający wyuzdaną i bezwstydną scenę wziętą z mitologii greckiej. Unoszono się nad jednem i drugim i tłumy widzów stały od rana do wieczora przed nimi. Dawniejszemu ministrowi oświaty panu von Mühler nie podobało się jednak zestawienie tak różnych obrazów, jako ubliżające Boskiemu Zbawicielowi, i kazał by je rozdzielono. Wszyscy wolnomyślni i liberałowie oburzyli się na „ciasnotę pojęć“ ministra; lecz przez to wsławił się ów obraz mitologiczny i niebawem znalazł kupca na siebie.

Bogaty bankier berliński kupił go za drogie pieniądze i umieścił w najkorzystniejszem miejscu w swoim salonie. Wielbiciele obrazu a przyjaciele pana domu przepędzili przy nim niejedną wesołą chwilę, i nie mogli się dość nacieszyć jego widokiem.

Wtem nadszedł krach i razem z wielu innymi spekulantami dotknął także i owego bankiera, który ogromną stratę na swym majątku poniósł, a wreszcie doszedł do wielkiej nędzy.

Utraciwszy to, co stanowiło całe szczęście

i treść jego życia, popadł w rozpacz, stronił od ludzi, a nawet od własnej rodziny, nie spał, nie jadł, wychudł i nigdzie nie wychodził, przeglądając tylko w swoim pokoju akcye i papiery, niegdyś milionowej wartości, teraz zaś nie warte szeląga.

Pewnego dnia, gdy mu przyniesiono śniadanie, znaleziono drzwi od jego pokoju zamknięte, a wszelkie wołania były nadaremne. Po wyłamaniu drzwi, straszny widok przedstawił się oczom biednej rodziny. Ujrzeli słynny ów obraz cały pokłuty, podziurawiony i pocięty. Pod strzępkami bezwstydnego obrazu leżał sam bankier, jako samobójca w kałuży skrzepłej swej krwi! Ręka jego ściskała jeszcze ostry nóż, którym zniszczył obraz i którym sobie gardło poderżnął! (Keller 298).

Bezwstydne mowy.

W rodzinnem mem mieście żył pewien rymarz, który miał szkaradny zwyczaj prowadzenia plugawych rozmów wszędzie, gdzie tylko przyszedł, bez najmniejszego względu na wiek i godność osób, z któremi rozmawiał. Godzinami całemi bluzgał najwyuzdańszemi wyrazami, ktoremi przeplatał bezwstydne swe powiastki. Zły duch podsuwał mu coraz to nowsze koncepta, jedne brudniejsze od drugich; zły duch napełniał mu wyobra-

żnię niespodziewanemi pomysłami i brudnemi obrazami, które opowiadający po mistrzowsku roztaczał przed swymi słuchaczami, kalając im uszy, zatruwając serce.

Dowiedział się o tem czcigodny jego proboszcz, kazał mu przyjść do siebie i spokojnie ale poważnie i stanowczo czynił mu wyrzuty za zgorszenie, jakie w mieście rozsiewa, a wreszcie dodał, że jeżeli nie zaprzestanie plugawych swych mów, spotka go niechybnie kara, jaką Pan wymierza tym, którzy sieją zgorszenie. Ale biedny zaślepieniec śmiał się tylko z tych przestróg kapłana mówiąc, że on lubi takie żarty, i że nikt mu tego zabronić nie może, a zresztą nie ma w tem nic złego, że się po pracy trochę pośmieje i pożartuje.

W jakiś czas potem, dobrze już po północy, wracał z karczmy pijany jak zwykle. Nazajutrz sąsiedzi wychodzący wczas rano na robotę, znaleźli go przed domem z głową zanurzoną w gnojówce. Wpadłszy do niej po pijanemu, nie mógł się podźwignąć i zapadając się coraz głębiej, zadusił się nieczystościami. Czyż to nie była stosowna kara Boża za mowy nieczyste? (Keller).

Mężny zwycięzca pokusy.

Święty Martynian urodził się w Cezarei w Palestynie i po odebraniu nader staran-

nego wychowania opuścił dom rodzicielski w ośmnastym roku życia, by osiąść na puszczy i wyrzekłszy się zaszczytów i przyjemności ziemskich, tem pewniej niebieską szczęśliwość uzyskać. Ciało swe umartwiał ustawicznie, rozważając gorżką mękę Jezusa Chrystusa, serce zaś jego pałało gorącą miłością Boga, które zagrzewał w sobie ciągłą modlitwą i śpiewaniem psalmów. Niebawem młody pustelnik zasłynął cnotami i łaskami, które Bóg wskutek modlitw jego ludziom udzielał.

Anioł ciemności czynił niejednokrotnie zamachy na wiernego tego sługę Pańskiego, by mu życie w samotności obrzydzić, lecz Martynian pobił go za każdym razem. Zapalony zazdrością i pragnąc zgubić świątobliwego tego samotnika, użył najniebezpieczniejszej broni, którą najczęściej wojował. Podszepnął tedy pewnej niewieście imieniem Zoe myśl, że wsławi się w Cezarei, jeżeli zdoła przywieść do upadku Martyniana. Zoe, słynna z piękności, ale i ze złych obyczajów, postanowiła bądź co bądź Martyniana do grzechu namówić i założyła się nawet, że go z pustyni wywabi i do Cezarei sprowadzi.

Przebiera się tedy za żebraczkę; zawija najpiękniejszą swą szatę i klejnoty w brudny łachman, wśród ulewnego deszczu idzie

w drogę i późnym już wieczorem przemokła do nitki, staje przed jaskinią Martyniana.

— O ty wielki sługo Boży! zaczyna żałośnym i płaczliwym głosem — zlituj się nademną! zabłąkałam się wśród burzy w pustyni i zginę, jeżli miłosierdzie twoje nie użyczy mi schronienia na tę jednę noc burzliwą; o święty mężu, który tak miłujesz Boga i ludzi, ulituj się nad nieszczęśliwą żebraczką!

Martynian wahał się długo, co zrobić; ostatecznie usłuchał głosu litości, wpuścił żebraczkę do pieczary, udzielił jej nieco leśnych jagód i owoców, któremi sam żył, rozniecił ogień, by się osuszyła i nic nie mówiąc, odszedł w głąb jaskini i modlił się dalej.

Zoe tymczasem, śmiejąc się w duchu, że go tak łatwo podeszła, ubrała się i wystroiła, a gdy dzień nastał, powitała pustelnika wychodzącego ze swej kryjówki z czarującą uprzejmością, olśniewając go swą pięknością, którą jeszcze bogaty i ozdobny strój wielce podnosił.

Martynian drżąc z bojaźni pyta:

— Ktoś jest? zkąd się tu wzięłaś? jak śmiesz zakłócać mi spokój?

Z udaną powagą odpowiedziała Zoe:

— Jestem ową niewiastą, której dzisiejszej nocy udzieliłeś przytułku; przychodzę z Cezarei, rodzinnego twego miasta, wzruszona wieścią, że na tej puszczy drogie swe ży-

cie przez zbytnią surowość skracasz! I w istocie, jak możesz usprawiedliwić nadmierne posty, odsuwanie się od świata i zagrzebanie tak świetnych talentów i najpiękniejszego wieku męskiego w tej pustyni? I gdzież to mówi Pismo święte, aby nie jeść, nie pić, nie żyć wesoło w towarzystwie innych ludzi, nie zawrzeć godziwego małżeństwa, jeżeli chcemy dostać się do nieba? Czy święty Paweł nie nazywa małżeństwa wielkim Sakramentem? Czyż nie żenili się Patryarchowie: Abraham, Izaak, Jakób, a nawet wielki prawodawca Mojżesz i wielki psalmista Dawid? — a czyż nie są w niebie? Jestem chrześcijanką, bogatą w dobra doczesne i kocham cnotę; pobożność twoja mogłaby mię uszczęśliwić i chciałabym zrobić cię panem mych majętności.

Martynian milcząc ciągle, wyszedł z jaskini, naznosił suchych drew, zapalił i włożył nogi w ogień. Z wielkiej boleści jęczał głośno. Zoe oczekując powrotu jego i odpowiedzi na swe oświadczyny, usłyszała te jęki i wybiegła na pole. Jakże się przeraziła, widząc Martyniana z nogami w okropny sposób popalonemi, tarzającego się po ziemi z boleści i rzewnie płaczącego. Zobaczywszy ją rzekł uroczyście:

— Nim ślub mój złamię i wybiorę się z tobą do piekła, chciałem spróbować, czy potrafię znieść męki piekielne. Ogień który tu

widzisz, można ugasić wodą, ale wiecznego ognia nie ugasi żadna woda. Oby Bóg przebaczył mi trwanie w grzesznej okazyi, a tobie złość twoją!

Okropny ten widok uczynił na kusicielce straszne wrażenie i za przyczyną Świętego, łaską Boską oświecona, czyniła ostrą pokutę i po dwunastu latach w klasztorze św. Pauli pod Betleem pobożnie umarła.

Martynian uczynił ślub, iż skoro wyleczy się z owych ran, porzuci samotne mieszkanie w pustyni, by jako pielgrzym chodzić z miejsca na miejsce, aby być wszędzie obcym i bezpiecznym od wszelakich złych pokus. Kilka lat dotrzymywał tego niezmiernie trudnego ślubu, aż wreszcie zaszedł do greckiego miasta Aten i tu wyczerpany na siłach oddał świętego ducha Bogu, roku Pańskiego 487.

Biskup tego miasta, oświecony od Boga, znalazł Świętego umierającego w kącie kościoła; a dowiedziawszy się od niego o kolejach jakie przechodził, opatrzył go św. Sakramentami i — strudzony pielgrzym poszedł zażyć wiecznego spoczynku u Pana swego. Grób świętego Martyniana zasłynął cudami. (Żywoty świętych).

VII^me^ i X^te^ Przykazanie.

„Nie kradnij.“
„Nie pożądaj... żadnej rzeczy która jego jest.“

Prawdziwy bohater.

Następująca historya, która się wydarzyła w pewnem miasteczku francuzkiem, podczas wojny Napoleona I. z książętami sprzymierzonymi, jest pięknym przykładem, zachęcającym nas do zachowania siódmego przykazania.

Dwaj bogaci bracia, zatrwożeni grożącem niebezpieczeństwem rabunku, o którym dawno już mówiono, przemyśliwali nad ukryciem pieniędzy i różnych kosztowności. Gdy się więc raz zciemniło, udali się jeden z latarnią i motyką, drugi z ciężkim garnkiem w obu rękach do ogrodu poza domem, by tam zakopać mienie swoje. Przypadkowo znajdował się sąsiad ich, biedny wyrobnik,

ojciec kilkorga dzieci w ogródku swoim położonym obok. Bieda i zmartwienie wygnały go z domu, chciał nieco orzeźwić się chłodem nocnym. Wtem uderza go blask latarni, dziwi go to niezmiernie, i skrada się aż do płotu odgraniczającego oba ogrody, nadsłuchuje i patrzy ciekawie, by się dowiedzieć, co to ma znaczyć i co się dzieje po drugiej stronie płotu. Latarnia rzuca cień na niego i dozwala mu widzieć dokładnie obu sąsiadów, nie narażając go na niebezpieczeństwo odkrycia. Na pierwszy rzut oka odgadł zaraz co to ma znaczyć; na myśl o pieniądzach, które się muszą znajdować w garnku, dostawał zawrotu głowy i ciężko oddychał. Widział jak starszy brat, gdy stanęli tuż przed nim za płotem, wskazuje na miejsce przy płocie mówiąc z cicha do drugiego: A więc tu? — Ten skinął głową w milczeniu, poczem zabrali się z cicha do roboty, wykopali w ziemi wielki dół, wstawili weń garnek z największą ostrożnością, udeptali ziemię mocno nogami i starali się wszelkie ślady, któreby mogły zdradzić skarb ten drogocenny, zatrzeć. Potem oglądnąwszy się wpierw trwożnie i niespokojnie, odeszli do domu.

Teraz podniósł się także biedny wyrobnik za płotem. Gorączkowe wzruszenie opanowało go, niewidzialna siła zdawała się opanować go i pchać na drugą stronę płotu.

Już, już położył rękę na nim by go przeskoczyć, gdy nagle zatrzymał się, *„nie kradnij“* powiedział półgłosem sam do siebie, zerwał się spiesznie i co tchu pobiegł do nędznej swej lepianki. —

Żona jego zauważyła zaraz, że jest bardzo wzruszony i niespokojny, pyta się go więc, co mu jest.

— Wyglądasz, jak gdybyś w ogrodzie stracha zobaczył!

— Ej, co tam strach! — odpowie mąż — chcę się położyć, bo już bardzo późno, a jestem bardzo zmęczony.

Odmówiwszy wspólną modlitwę wieczorną i poleciwszy dziatki swe opiece Boga, Maryi i św. Aniołów udali się na spoczynek. Lecz wyrobnik nie znalazł spokoju ni wytchnienia na swem posłaniu. Czy oczy przymknął lub otworzył, czy się odwrócił na prawy lub lewy bok, ciągle stał mu przed oczyma wielki garnek z pieniądzmi.

— I cóżby było — mówił kusiciel, — gdybyś wziął nieco pieniędzy, nie potrzebujesz przecie brać wszystkiego, iluż innych zabrałoby wszystko odrazu! A chociażbyś nawet wziął wszystko co jest w garnku, obaj są tak bogaci, mają tyle wsi, pola, łąk, posiadają też pewnie jeszcze i kapitał jaki, zostanie im w każdym razie więcej jak im potrzeba; — ale, upominał go znów lepszy głos, czy to nie będzie kradzionem? Niech

mię Bóg zachowa od kradzieży! I z cicha odmówił jeszcze kilka Ojcze nasz...

Wtem jedno z jego dzieci zawołało:

— Ojcze! ojcze!

Zerwał się z posłania, nadsłuchiwał, uciszyło się, wołało tylko przez sen. — Ach, myślał sobie, wy dobre dziatki spicie tak spokojnie, nie znacie jeszcze trudów i trosk żywota. Choćbyśmy się najwięcej trudzili i najoszczędniej żyli, to i tak zdołamy ledwie zapracować na najnędzniejsze utrzymanie. Niech nas tylko małe nieszczęście spotka, niech jedno z nas obojga zachoruje, a nie będziemy mogli okryć was i wyżywić, musimy was posłać po żebranym chlebie. Ha! żebrać? nie, nigdy, przenigdy, raczej już wolę... Oni są przecie bezżenni, nie potrzebują troszczyć się o dzieci! I cóż oni zrobią z tylu pieniądzmi? Czy wykopać?... Boże, Boże, nie wwódź mię na pokuszenie!

Nikt tego nie zobaczy — szeptało mu znów dalej — możesz przecie przejść na drugą stronę płotu, potem biegnąć jeszcze w przeciwnym kierunku przez pola i odwrócić przez to wszelki cień podejrzenia od siebie. A chociażby nawet i domyślali się czego, to nie odważyliby się mówić o tem z obawy, by ich ludzie nie wyśmiali i nie wyszydzili, nie grozi mi zatem żadne niebezpieczeństwo. Oto bije pierwsza godzina. Wszędzie cicho i spokojnie; za dziesięć minut skarb może być

w mojem posiadaniu, wtedy będę miał dosyć by dzieci *uczciwie* wyżywić. Co mówię? *Uczciwie?* Czyżby to było uczciwie? Chociażby mnie żaden człowiek nie widział, czy nie będzie tego widział Bóg, przyszły mój sędzia? Nie, nie! — powiedział z mocnem postanowieniem — nie uczynię tego! nieboszczyk mój ojciec powtarzał mi nieraz w młodości: Lepsza cnota w błocie, niż niecnota w złocie, a Bóg nie opuszcza swoich, On i mnie teraz nie opuści!

Tak walczył z okropną pokusą zacny ten człowiek, tarzając się niespokojnie po twardem swem posłaniu, a gdy już na dworze świtać poczęło, on jeszcze nie zmrużył oka. W tem wpadła mu nagle pewna myśl do głowy, i wykonał ją czemprędzej. Wyskoczył z łóżka, ubrał się prędko, wymknął się z domu cichaczem do mieszkania owych braci i zaczął się silnie dobijać do ich drzwi. Ci także nie spali tak spokojnie, jak zwykle. Otworzyli mu zatem natychmiast i zdziwieni temi niezwykłemi, tak wczesnemi odwiedzinami, zapytali go czego sobie życzy. Ten zaś odpowiedział krótko i węzłowato:

— Wczoraj wieczór, zakopaliście w swoim ogrodzie garnek z pieniądzmi; widziałem to i z tego powodu nie mogłem zasnąć przez całą noc. Wkrótce mógłbym się stać złodziejem. A więc proszę was: wykopcie ztamtąd owe pieniądze i ukryjcie je w innem nie-

znanem mi miejscu, bym nie doznawał więcej tego udręczenia, i odzyskał znów dawny sen i spokój!

Czy to nie piękny, chrześcijański przykład pokonania pokusy i stanowczego uniknienia okazyi do grzechu? (Erb. stund.).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
L. 3005. *X. Łaszczyk T. J.*

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.
Kraków 31 Lipca 1891.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

VII^me^ i X^te^ Przykazanie.

(Ciąg dalszy i dokończenie).

Oddaj, coś winien.

Jeden z wieśniaków Prowancyi winien był drugiemu pewną sumę pieniężną którą miał spłacać ratami po 8 franków[1]) rocznie. Upłynęło już przeszło trzydzieści lat, jak dłużnik nie słyszał nic o swym wierzycielu; ten bowiem umarł oddawna. Syn tego wierzyciela, będący w posiadaniu rewersu dłużnego, zmuszonym był przyjechać właśnie w tę okolicę, gdzie mieszkał jego dłużnik. Kazał sobie pokazać jego mieszkanie, ale ociągał się wejść do chaty, gdyż według prawa nastąpiło już przedawnienie; nie mógł więc żadną miarą żądać zapłacenia długu. Rozmyślając nad tem, stanął tuż przed miesz-

[1]) 1 frank wynosi 48 centów.

kaniem wieśniaka, a wreszcie wszedł. Oczom jego przedstawił się widok patryarchalny: na środku izby siedział 80-letni starzec otoczony liczną gromadką dzieci i wnuków, których nauczał prawd wiary świętej, a którzy słuchali go z wielką czcią i uwagą. Nieznajomy wzruszony tem co widział, wymienia swoje nazwisko. Na to zrywa się starzec z miejsca, ściska go ze łzami w oczach i mówi:

— Ach! to pan jesteś synem zacnego pana N., mogę więc powtórzyć z Symeonem: „Teraz puszczasz sługę twego Panie w pokoju,“ albowiem będę mógł spłacić mój dług, pierwej jednak musisz pan zasiąść do skromnego naszego stołu.

Młodemu N. niewypadało odmówić. Obiad był rzeczywiście skromny, ale jakże się zdziwił gość, gdy przy końcu obiadu, gospodarz wypiwszy jego zdrowie, wstał, wyciągnął z pod kominka spory worek skórzany, i zapytał się go, jak dawno jest już jego dłużnikiem.

— Nie wiem — odpowiedział młody N.

— I ja też niepamiętam — odrzekł dłużnik — ale zdaje mi się, że będzie może ze czterdzieści lat. Regularnie co roku, w dniu wypłaty weksla, wkładałem do worka ośm franków srebrem. Niech pan przeliczy, a zobaczymy ile będzie lat.

I w samej rzeczy było w worku trzysta dwadzieścia franków.

„Najlepszą rękojmią uczciwości człowieka jest religia, powiedział Montesquieu, a wiedział dobrze, co mówi. Najlepszym dowodem prawdziwości tego twierdzenia jest fakt wyżej opisany. (Erbauungsstunden 1886).

Chrześcijańska uczciwość.

— Przed czterdziestu mniej więcej laty — opowiadał pewien księgarz — było ze mną bardzo krucho. Księgarnia mało mi przynosiła, musiałem zaciągnąć dług na 1200 marek. Boże mój! co mię trudu kosztowało, by zebrać tyle pieniędzy na termin który już nadchodził! Nareszcie zebrałem je, i weksel też nadszedł do wypłaty, ale zamiast na 1200, opiewał na 600 marek! Bogata firma księgarska w N. omyliła się o 600 marek. Lecz nie przeszło mi przez myśl skorzystać z tej pomyłki i zatrzymać sobie kwotę, o której wierzyciel zapomniał. Dałoby się to łatwo zrobić, bo na wekslu stało wyraźnie czarno na białem: skwitowane. Pieniędzy pocztą nie chciałem posłać, bo za kilka dni miałem sam być w N.

Gdym przybył, udałem się do księgarni, zobaczyłem się najpierw z buchalterem, który mię bardzo źle przyjął. Powiedziałem mu:

— Mój panie! w wekslu, który pan do mnie przysłałeś, zaszła pewna pomyłka.

— Co? pomyłka! — odparł tenże z gnie-

wem — pomyłka! W firmie naszej pomyłki się nie zdarzają. A zresztą, zapóźno już na reklamowanie.

Zażądałem widzieć się z samym panem domu, który mię przyjął jeszcze gorzej.

Przez kilka minut prześladowała mię myśl odejść i zatrzymać sobie 600 marek; suknię sprawić żonie, zabawki dzieciom, sobie nowe ubranie zamiast przenicowanego, jakie miałem na sobie, a któremu według wszelkiego prawdopodobieństwa zawdzięczałem tak złe przyjęcie w księgarni, wszystko to mógłbym sobie kupić, gdybym chciał skorzystać z pomyłki.

Myśl, że jestem chrześcijaninem, powstrzymała mię od tej kradzieży, a tak po ciężkiej walce stoczonej z samym sobą, odzywam się:

— Mój panie! omylono się na tym wekslu o 600 marek, a to na szkodę pańską.

Po tych słowach stał się o tyle uprzejmym, o ile był pierwej niegrzecznym.

— Proszę siadać — przemówił słodziutko przysuwając mi stołek — proszę siadać z łaski swojej: a co do tej pomyłki, przejrzymy zaraz książki. Mylić się jest ludzką rzeczą.

Przyniesiono zaraz książki rachunkowe i dzięki moim wskazówkom, wykryto niebawem pomyłkę. Bogata firma księgarska pomyliła się w samej rzeczy o 600 marek. Zapłaciłem całą należytość, a szef firmy od-

prowadził mię aż do drzwi z głową odkrytą, żegnając mię serdecznie.

Dziesięcioro Bożego przykazania jest niezaprzeczenie świętą rzeczą, ale aby te były wiernie wypełniane, muszą mieć *wiarę* za podstawę. (Erbauungsstunden 1886).

Oddaj co znajdziesz.

Gościńcem Kolońskim w Prusach Nadreńskich szedł biedny, bardzo biedny posłaniec wiejski niosąc paczki i listy. Z głębi serca modlił się: „Ojcze nasz... chleba naszego daj nam dzisiaj...“ — A to co? — zawołał nagle, schylił się i podniósł z ziemi małą paczkę w niebieskiej kopercie niezapieczętowanej, na której stało napisane: „Sto talarów w asygnatach kasowych“ to jest w pieniądzach papierowych, które jednak tyle znaczą co twarde, bite talary.

W pierwszej chwili nieposiadał się biedak z radości i myślał: „W najdotkliwszej przygodzie, stoi Pan Bóg w odwodzie“. Ale zaraz opamiętał się, złożył ręce i modlił się na głos: „I nie wódź nas na pokuszenie“. Potem zatrzymał się i myślał:

— Ten który te pieniądze zgubił, potrzebuje ich pewnie; chciałbym bardzo oddać mu je.

Podobne myśli przychodzą zawsze takiemu do głowy, który się boi Boga i przykazania Jego wypełnia; szczęśliwy, który idzie

za niemi i nie przytłumia ich przewrotnem rozumowaniem!...

Posłaniec rozgląda się na wszystkie strony, ale kogóż się tu pytać, czy czego nie zgubił, kiedy na gościńcu nie było nikogo! Uszedł już dość wielki kawałek drogi, gdy usłyszy, że ktoś nadchodzi i to tak prędko jak gdyby go chciał dopędzić. Odwraca się i widzi przyzwoicie ubranego pana, który zbliża się ku niemu i uchyliwszy grzecznie kapelusza, mówi:

— Dzień dobry! czyś pan czego nie znalazł?

— A cóżeś pan zgubił? pyta biedak, aby się upewnić, czy to jest tej sumy istotny właściciel.

— Paczkę w niebieskiej kopercie, niezapieczętowaną, na której było napisane: Sto talarów w asygnatach kasowych — odpowiedział obcy.

— Zobacz pan, czy to ta — odzywa się na to posłaniec i daje obcemu całą, nietkniętą paczkę.

Z radosnem zdziwieniem patrzy pan to na odzyskaną paczkę, to na biednego listonosza, poczem wyjmuje banknot pięciotalarowy i wręcza mu. Ten nie chce go przyjąć z początku, ale na usilne nalegania przyjmuje z serdecznem podziękowaniem. W końcu pan zapytał się jeszcze posłańca o nazwisko jego i wsi gdzie mieszkał, zapisał je sobie,

poczem uścisnął mu serdecznie rękę i odszedł.

— Co znajdziesz oddaj zaraz! mawiała zawsze nieboszczka matka moja — mówił do siebie uszczęśliwiony biedak — i miała słuszność, jeżeli co znajdziesz a nie oddasz, to tak jak gdybyś ukradł. Owe sto talarów ciężyły mi kamieniem na duszy, ale te pięć które mi szlachetny ów pan podarował, spadły mi tak, jak z nieba i z czystem sumieniem mogę ich użyć na potrzeby domowe. Bóg, który mnie teraz tak cudownie opatrzył, będzie o mnie i nadal pamiętał.

Uniesiony radością, nie wiedział sam, kiedy zaszedł do miasta, a i powrót był nie mniej radosny, bo otrzymał sutą zapłatę za drogę, a prócz tego w małym, zwykle pustym woreczku banknot pięciotalarowy. Doszedłszy do Solingen, wsi w której mieszkał, kupił w piekarni dwa świeże bochenki smacznego chleba i spieszył z niemi do domu. Toż się radowały dzieci i rzuciły się na chleb, który rzadko pojawiał się na ubogim ich stole, a teraz z powodu panującego powszechnie głodu, należał do zbytkownych przysmaków. Ale ojciec zawołał:

— Najprzód Bogu podziękować, potem jeść! I gdy się wspólnie pomodlili, wziął się ojciec do krajania, a dzieci smacznie zajadały. Ojciec zaś opowiedział im całą hi-

storyę o znalezionych pieniądzach, i napominał je, by zawsze były uczciwemi. Wreszcie pokazał im banknot pięciotalarowy i dodał śmiejąc się:

— Patrzcie, pożyczyłem panu sto talarów, a on mi wypłacił procent za cały rok z góry.

Pobożna matka złożyła ręce, wyszeptała cicho modlitwę i powiedziała głośno:

— Tak moje dzieci, uczciwość jest kapitałem, który nam przynosi procenta, tak na ziemi, jakoteż i w niebie!

Obfite żniwa tegoroczne zakończyły straszne dni głodu, a wychudłe policzki biednego ludu zakwitły znowu rumieńcem zdrowia i szczęścia. I nasz biedny posłaniec odżył przy ogólnym dobrobycie i dziękował Panu Bogu za ów niespodziewany dar pięciu talarów, ktore go bardzo — jak się to mówi, na nogi postawiły. Ale z czasem wywietrzała mu ta historya z głowy.

Nadeszło Boże Narodzenie. Rano w pierwsze święto, gdy rodzina wróciła z kościoła, a dzieci skakały koło choinki obwieszonej jabłkami, orzechami i piernikami — nadszedł listonosz.

— Ten się pewnie pomylił — powiedziała matka — do nas nikt nie pisuje!

Ale listonosz się nie pomylił. List był wyraźnie adresowany do naszego posłańca, był opłacony i zawierał w sobie pięć talarów.

Zrazu wszyscy spoglądali po sobie zdzi-

wieni, nie wierząc własnym oczom, ale wreszcie oprzytomniał ojciec, mówiąc:

— Ha! skoro tu czarne na białem wypisane jest moje imię i nazwisko, to chyba list ten do mnie pisany i czytał drżącym ze wzruszenia głosem: „Ponieważ wtedy a wtedy, na gościńcu Kolońskim pożyczyłeś mi pan sto talarów, — to jest: ja je zgubiłem, pan je znalazłeś i oddałeś mi — przeto z wdzięcznością posyłam panu należący się słusznie od tej sumy procent w kwocie pięciu talarów. Użyj ich pan dobrze i ucz swoje dzieci, by były uczciwe jak pan, a nie braknie nigdy procentów od kapitału tak miłego Bogu. Bóg z wami! Wesołych Świąt!“

Tak opiewał ów liścik, a zresztą ani słowa więcej, ani miejsca, ani daty, ani podpisu.

Ojciec rozrzewniony do łez, podziękował gorąco Bogu i dołożył te pięć talarów do czynszu za mieszkanie, matka zaś z błogim uśmiechem szczęścia przemówiła do dziatwy:

— Widzicie! Uczciwość jest kapitałem, a Pan Bóg daje od niego zawsze procent, bądź to błogosławiąc na zewnątrz, oczywiście i dotykalnie jak teraz, bądź też wewnętrznie, w sercu, albo i w ten i tamten sposób; dlatego drogie dzieci zapiszcie sobie głęboko w duszy ten wierszyk, którego mię moi rodzice nauczyli:

„Jeżli chcesz być miłym Bogu
Od kolebki aż do grobu,
Trwajże zawsze w pobożności,
Zacności i uczciwości!

Odtąd na każde Święta Bożego Narodzenia nadchodził regularnie tajemniczy liścik z pięcioma talarami, które się zawsze dokładały do czynszu; uszczęśliwiona rodzina nie zapomniała nigdy podziękować Dawcy wszech rzeczy i tajemniczemu dobroczyńcy, któremu procent ten szlachetny przynosi zapewne obfity procent i w sercu i w interesach, gdyż tego rodzaju kapitały i procenta zapisuje sam Bóg w księdze wieczności! (Erbauungsstunden 1886, 4).

VIII^me^ Przykazanie.

„Nie mów przeciw bliźniemu twemu fałszywego świadectwa.“

Oszczerstwo.

Marya była córką pobożnych wieśniaków w Brabancyi. Już od dzieciństwa odznaczała się naśladowaniem Chrystusa i miłością Najśw. Panny Maryi patronki swojej.

Widząc na jakie niebezpieczeństwa narażoną jest na świecie młoda, piękna dziewczyna, a pragnąc żyć tylko dla Jezusa i Maryi, złożyła ślub czystości i prosiła rodziców, by jej pozwolili mieszkać na osobności, w pobliżu kościoła Najśw. Panny. Rodzice nie chcieli odmówić pobożnej tej prośbie, a Marya opuściła skwapliwie dom rodzicielski i udała się na miejsce ustronne, żyjąc nędznie, częścią z pracy rąk, częścią z jałmużny i modląc się nieustannie we dnie i

w nocy. Pomimo, iż troskliwie ukrywała się przed ludźmi, jednak niezwykła jej piękność zwróciła uwagę pewnego rozpustnego młodzieńca. Życie jej święte, bez skazy, zamiast go odstraszyć, zdawało się go jeszcze więcej pociągać i uzuchwalać. Używając rozmaitych sztuczek pochlebstwa, gróźb i obietnic, wyznał jej swoje uwielbienie i niezmierną miłość.

Marya odprawiła go ze wstrętem i unikała starannie, ale napróżno; namiętność jego spotęgowała się właśnie przez tę jej obojętność jeszcze więcej i kusiciel stał się jeszcze śmielszym i natarczywszym, spodziewając się, że piękny ten anioł jest ostatecznie także córką Ewy, wrażliwą na objawy zmysłowej miłości i że z czasem osłabnie w ciężkiej tej walce — jak tyle innych dziewcząt — że porzuci wrodzoną nieśmiałość i stanie się łupem jego namiętności.

Marya jednak kochała się w czystości nie z wrodzonej sobie skromności, nieśmiałości i wstydliwości, lecz z nadprzyrodzonej wdzięczności dla Jezusa Chrystusa, który duszę jej Krwią swoją świętą oczyścił i dlatego drżąc przed własną swą słabością, oddała się w opiekę Boskiego swego oblubieńca.

Tymczasem napastnikowi przebrała się miara cierpliwości. Czego nie mógł osiągnąć prośbą, postanowił zdobyć groźbą. Wiedział, że Marya co tydzień odnosiła robotę do do-

mu pewnego znakomitego pana. Wszedł więc potajemnie do owego domu, skradł puhar bardzo kosztowny i podrzucił go podstępnie w mieszkanie Maryi. Niebawem rozgłosiło się, że owemu panu skradziono drogi puhar, i że ten kto sprawcę tej kradzieży odkryje, otrzyma sowitą nagrodę.

Tedy przychodzi ów niegodziwiec do Maryi i mówi:

— Ej ty pobożnisio! jakże mię olśniewa blask cnót twoich! Pięknie odwdzięczyłaś się dobroczyńcy swemu, a przytem zdradziłaś się, ty świętoszko, że nie jesteś tak świętą jak udajesz. Na nieszczęście widziałem na własne oczy, jakeś skradła puhar swemu dobrodziejowi i jakeś go schowała w twem mieszkaniu. Mogę cię zaskarżyć przed sądem i życia cię pozbawić; jeden masz tylko sposób ocalenia: miłość, którą ku tobie palam, przyjąć i odwzajemnić.

— Nigdy, przenigdy! — odpowie na to Marya. Jak nie ukradłam puharu tak i twoją miłością pogardzam!

Podły oszczerca chwyta niewinną dziewczynę za rękę, wlecze do miejsca gdzie ukrył ów przedmiot, pokazuje jej i zgrzytając zębami mówi:

— A więc wybieraj co wolisz, czy być moją i szczęśliwą, czy też stanąć przed sądem i narazić się na śmierć i hańbę?

Marya uznając okropność swego położenia, spojrzała w niebo, mówiąc:

— Ty, który wszystkie skrytości przenikasz, bądź mi świadkiem, że puharu tego nie ukradłam, bądź obrońcą mnie niewinnej, gdyż wolę raczej umrzeć najhaniebniejszą śmiercią, niż życie sobie grzechem przedłużyć!

Widząc, iż próba się nie udała, pospieszył złoczyńca do sędziego, oskarżył Maryę o kradzież, pokazując odebrany jej puhar.

Sędzia, nie wnikając w głąb rzeczy i poprzestając na świadectwie owego znanego sobie młodzieńca, uznał Maryę winną kradzieży i czarów, i skazał ją na śmierć, pomimo iż się Bogiem świadczyła, że jest niewinną. Nie chcąc jednak szkodzić owemu prześladowcy, nic nie wspominała o haniebnych jego zamysłach.

Wśród wielkiego zbiegowiska ludu, prowadzono ją na miejsce stracenia. Droga wiodła około domu rodziców i kościoła Najświętszej Panny, co boleść jej i smutek jeszcze więcej spotęgowało. Na usilną prośbę, pozwolił jej sędzia wstąpić do kościółka, gdzie w gorących słowach dziękowała Trójcy świętej za wszystkie łaski otrzymane od Najśw. Panny, polecała duszę swą Miłosierdziu Bożemu i modliła się o przebaczenie dla wszystkich, którzy byli sprawcami jej śmierci.

Wszyscy obecni temu czuli, że tylko niewinność tak się modlić może, ale wyrok

śmierci spełniono co do joty. Kat związał jej ręce i nogi, zawiązał oczy, położył żywcem do grobu, zasypał ziemią, poczem ostro zakończonym palem przebił ziemię i pierś jej. Stało się to w r. 1290.

Wszyscy widzowie żałowali ją płacząc i narzekając, zabójca jej tylko cieszył się skrycie i tryumfował. Wtem twarz zaczęła mu się najokropniej krzywić, szalał i pienił się, widać zły duch go opętał. Musiano go skrępować żelaznemi łańcuchami, zamknąć do żelaznej klatki i tak obwożono go po rozmaitych kościołach i miejscach cudami słynących, ale napróżno. Nareszcie po siedmiu latach wyznał zły duch, gdy go w kościele zaklinano, że opuści go tylko przy grobie Maryi.

Zawieziono więc tam opętanego, ale gdy się już zbliżył do grobu, wóz stał się tak ciężki, że musiano wzywać ludzi by go ruszyli. Nad grobem modlono się za nieszczęśliwego i oto wyszedł z niego szatan z strasznym hałasem, łańcuchy same opadły z niego, a uwolniony od niego chory wielbił głośno sprawiedliwość Boską, wyznał swą winę i oddał się sam w ręce sprawiedliwości ludzkiej.

Odtąd grób Maryi zasłynął cudami i odbywano do niego liczne a skuteczne pielgrzymki. (Żywoty Świętych 465).

Skutki potwarzy.

W jednem z większych miast niemieckich zmuszony byłem udać się w ważnej sprawie do komisarza policyi. Po załatwieniu mego interesu, rozmawialiśmy o rozmaitych piekących kwestyach tegoczesnych, i przy tej sposobności opowiedział mi komisarz co następuje:

— Nikt nie może lepiej wiedzieć, jaka bieda panuje na świecie, jak my komisarze policyi; nietylko że z każdym dniem zwiększa się liczba włóczęgów i złodziei, ale i ludzie uczciwi popadają w nędzę, ponieważ nie mogą znaleść zarobku. Naprzykład dziś rano znaleziono na wpół zmarzłą dziewczynę i przywieziono ją do aresztu policyjnego. Nie przesłuchałem jej jeszcze bo spi, ale jestem przekonany, że w tym kryje się coś więcej niż zwykłe żebractwo. Czy pan chcesz widzieć te dziewczynę? bardzo interesujące dziecko.

Komisarz zaprowadził mię do aresztu; przez małe zakratowane okienko wpadał słaby promień listopadowego słońca na biedne stworzenie, które śmiertelnie znużone leżało na posłaniu ze słomy; szlachetne rysy twarzy boleśnie wykrzywione, objawiały całą historyę cierpienia. Ubranie jej niegdyś bardzo porządne i eleganckie, nosiło ślady wielkiego zniszczenia; obok niej leżało zawiniątko

a u stóp pies, który ciałem swem usiłował ogrzać małą żebraczkę.

— Co za straszny widok! — powiedziałem z cicha, by nie zbudzić małej żebraczki. Ale pies poczuł nas i zerwał się warcząc groźnie.

Dziewczyna obudziła się i na rozkaz komisarza poszła za nami do ciepłej izby, a ponieważ mię to bardzo zajmowało dowiedzieć się historyi biednej dziewczyny, więc byłem obecny przesłuchaniu jej, które tu powtórzę:

— Ojciec mój był zarządcą magazynu kolei żelaznej w N.; pensya była bardzo szczupła, ale mogliśmy z niej wyżyć nie robiąc długów. Ja byłam najstarszą z pięciorga dzieci, a że matka była słabowita i często chorowała, musiałam więc wyręczać ją w gospodarstwie.

Ojciec mający ciężką pracę, zachodził od czasu do czasu do pewnej piwiarni, by się mógł pokrzepić szklaneczką piwa i raz, przy pewnej sposobności wypowiedział tamże osobiste swoje zapatrywanie tyczące zarządu kolei. Słowa te przekręcone doniósł natychmiast jeden z gości zarządowi kolejowemu i dopatrzono się w nich obrazy księcia B. Potwarcą był pewien podły człowiek, który spekulował na miejsce zarządcy. Ojca oddalono z urzędu, bo kolej należała do króla — stawiono przed sądem i skazano na 3 miesiące więzienia. Zdrajca otrzymał pożądaną

posadę! Matka strasznie cierpiała, nie mogliśmy nigdy złożyć pieniędzy, a teraz gdy ojca uwięziono, zaczęła się u nas okropna bieda. Nikt nam nie chciał pożyczyć pieniędzy i musieliśmy sprzedawać sprzęt po sprzęcie, aby z głodu nie umrzeć. Nie na tem koniec. Ojciec tak sobie wziął do serca oddalenie z posady i karę więzienną, i tak się o nas martwił, że zachorował w więzieniu i umarł, nim owe trzy miesiące upłynęły.

Okropny ten cios dobił także i matkę, w przeciągu dwóch tygodni utraciliśmy oboje rodziców; młodsze rodzeństwo przyjęto do domu sierot, mnie zaś jako najstarszej, kazano szukać służby. Wszystkie nasze ruchomości sprzedano, ale niewielka suma jaką zebrano, zaledwie wystarczyła na opędzenie kosztów leczenia i pogrzebowych; dla mnie pozostało tylko to, co miałam na sobie i pies który mnie nie chciał odstąpić. Mieliśmy krewnych mieszkających daleko od nas, wybrałam się więc do nich, myśląc, że mi nie odmówią przytułku. Ale ciotka wręcz oświadczyła, że jedna osoba więcej do łyżki i miski byłaby dla niej zbyt wielkim ciężarem a usług moich wcale też nie potrzebuje. Złamana na duchu, z sercem pełnem goryczy, poszłam dalej w świat; dokąd? sama niewiedziałam; prosiłam Boga, by mi umrzeć dozwolił. Głód zmusił mię do żebrania; naj-

częściej odprawiano mię po grubijańsku z niczem, kostniałam od zimna, od dwóch dni nic już w ustach nie miałam — nareszcie z głodu i umęczenia upadłam jak martwa na gościniec... i oto tu się obudziłam.

Proste to, a tak straszne opowiadanie nieszczęśliwego dziewczęcia, do łez nas wzruszyło. Postaraliśmy się dla niej o dobry, i wzmacniający posiłek, potem prosiłem komisarza, by mi pozwolił zająć się losem biednej sieroty, na co tenże tem skwapliwiej przystał, że policya nie posiada osobnego przytułku dla młodych takich nieszczęśliwych ale nie zepsutych istot.

Zaprowadziłem biedaczkę do klasztoru Sióstr Miłosierdzia, które oprócz innych uczynków miłosiernych opiekują się także sierotami i starają się o jak najlepsze wychowanie tak ciała jak i duszy. Niewielką opłatę miesięczną opędzałem z własnej kieszeni; wiernego psa zabrałem do siebie. W kilka miesięcy wyjechałem z tego miasta unosząc to miłe przekonanie, że Matylda -- tak było na imię sierocie — wyrasta na dobrą i cnotliwą dziewicę.

Niestety! pruski tak zwany „Kulturkampf“ przerwał tę piękną działalność zakonnic; jak inne zakony żeńskie w Prusach, musiały i nasze Siostry Miłosierdzia wynieść się z ojczyzny. Czytałem w gazetach, że po największej części poumieszczały swoje wycho-

wanki w domach prywatnych, lub wystarały się dla nich o stósowne zajęcie.

Co się stało z Matyldą nie wiem, nic o niej nie słyszałem; wierny pies, gdy się go pytam: „Gdzie Matylda?“ skomli żałośnie i patrzy mi w oczy niespokojnie.

Oto historya biednej dziewczyny, która została żebraczką — oto straszny los rodziny zrujnowanej na zawsze przez niegodziwość podłego potwarcy. (Erbauungsstunden 1886. 194).

Bohaterski miłośnik prawdy.

Było to w czasie rewolucyi francuskiej, gdy gilotyna coraz większe spustoszenia robiła między przyjaciółmi królewskimi, a liczne rodziny znane z przywiązania swego do monarchii, w dalekiej obczyznie szukały przytułku, aby ujść żądnym krwi bratobójcom, którzy całą Francyę kirem żałoby okryli.

Ojciec młodego Alfonsa P... wszczepiał w niego od dziecka niezłomną miłość prawdy, której źródłem była żywa wiara i głębokie uczucie religijne, a która ma to do siebie, że pośród największych niebezpieczeństw i przykrości wszelkiego rodzaju, użycza siły do otwartego i śmiałego wyznania zasad wiary i moralności.

Hrabia P... zapisany był na liście proskryp-

cyjnej, nie mógł jednakże jak tylu innych opuścić Francyi i musiał się ukrywać. Wiedziano o tem, ale niepodobna było odkryć jego kryjówki; nieprzyjaciele hrabiego użyli szkaradnego środka, aby ją znaleść. Opatrzeni w upoważnienie tyrańskich przywódzców rewolucyi, wpadli raz niespodzianie ajenci policyjni do domu hrabiego P.., aby w jego nieobecności dostać w swe ręce syna. Młodego Alfonsa wsadzono pod strażą do więzienia, aby go nazajutrz stawić przed sąd rewolucyjny.

Alfons wcale się nie opierał, i nietylko nie okazywał żadnej bojaźni, ale odchodząc pod eskortą, w rzewnych słowach pocieszał sługi i przyjaciół domu, którzy nad nim płakali, jakby szedł na stracenie, wiedząc dobrze, że taki Robespierre, Marat i Danton [1]) z równą skwapliwością rozlewali krew dzieci, jak i starszych.

W więzieniu upadł Alfons na kolana i prosił Boga gorąco, by mu użyczył siły, której tak bardzo potrzebował.

— Boże mój — modlił się — gotów jestem znieść wszystko, co mię spotkać może, dla miłości Twojej świętej; ale błagam Cię, zachowaj mię od tego, bym żadnem zeznaniem nie zaszkodził biednemu memu ojcu i

[1]) Osławiona trójka tyranów stojąca na czele rewolucyi.

oświeć mię, bym zwycięzko wyszedł z tych opałów, nie uległ podstępnym zasadzkom i ust mych kłamstwem nie splamił!

Po tej modlitwie uczuł się spokojniejszym, rozglądnął się po swem więzieniu i myślał o tem, że i młody Delfin (następca tronu we Francyi) jęczy również w okropnem więzieniu.

— I czegóż się mam skarżyć? Królewicz, młodszy przecie odemnie, cierpi jeszcze więcej i znosi to mężnie i cierpliwie.

Pierwszą noc przespał Alfons spokojnie i spał mocno, póki go rano nie obudzono, aby go zaprowadzić przed sąd rewolucyjny. Spokojnie i odważnie stanął przed sędziami. Wszystkich spojrzenia skierowały się na niego.

— Jak się nazywasz? — zapytał prezydujący.

— Alfons P.

— Ile masz lat?

— Trzynaście.

— Na te słowa szmer współczucia rozszedł się po sali.

— Czy jesteś synem byłego hrabiego P.?

— Tak, jestem jego synem.

— To niepodobna — zauważył jeden z sędziów, który wzruszony młodością i stanowczością chłopca, chciał go ocalić — mylisz się lub kłamiesz; dlaczego chcesz nas w błąd wprowadzić? niebezpiecznie to dla ciebie pogorszać sprawę swoją mylnem zeznaniem.

— Wiem, że to jest dla mnie niebezpieczeństwem — odparł na to Alfons — i dziękuję panu za współczucie; — ale jestem synem hrabiego P.... Nauczył on mnie nienawidzieć kłamstwa i podłości, kocham go bardzo i zbyt mu wiele zawdzięczam, bym tu przed tym krwawym trybunałem nie wyznał głośno, że dumny jestem z tego, iż mam takiego ojca.

— W takim razie — wtrącił prezydent — musisz wiedzieć, gdzie się teraz ukrywa i musisz nam to powiedzieć, jestto nawet twoim obowiązkiem.

— Obowiązkiem moim jest mówić prawdę, choćbym życie miał narazić — zawołał Alfons z zapałem — i tak też uczyniłem. Teraz zaś, sumienie i serce moje nakazuje mi nie zdradzać ojca, i nie dowiecie się odemnie o nim ani słówka.

— A czy wiesz ty, przemądry chłopcze — mówił dalej prezydent — że idzie tu o twoją głowę i że zamiast niego, możemy ciebie na śmierć zasądzić?

— Możecie ze mną zrobić, co się wam podoba — zawołało bohaterskie dziecko — choćbym miał umrzeć, nie mam się czego obawiać, bo *nie skłamałem*, Bogu dzięki!

Od początku tego przesłuchania objawiło się współczucie wszystkich obecnych w sali i wzrastało z każdą chwilą na jego korzyść. Doszło do najwyższego stopnia, gdy ujrzano,

jak przez tłum publiczności przebijał się z trudnością ubogo ubrany człowiek, a przebiwszy się wziął dzielnego chłopca w swoje objęcia, który zarzucił mu ręce na szyję i płakał głośno z radości. Był to sam hrabia P... ojciec bohaterskiego chłopczyny.

Dowiedziawszy się o uwięzieniu syna, nie mógł przenieść na sobie, by go pozostawić w ręku nieprzyjaciół, przebrał się do niepoznania, opuścił swoją kryjówkę i wmięszał się niepostrzeżenie w tłum publiczności tłoczącej się do sali rozpraw. Był na całem przesłuchaniu od początku i nigdy może — mimo okropnego położenia w jakiem obecnie zostawał — nie doznał w życiu tak wielkiej radości i pociechy jak teraz.

— Chwała i cześć Bogu najwyższemu! — zawołał trzymając Alfonsa w objęciu — tak, chwała Mu i dziękczynienie, iż mię takim synem obdarzył! Teraz oddam się chętnie w ręce tych, którzy śmierci mojej pragną. Teraz nie żal mi już życia, skorom się przekonał, że dziecko moje posiada cnoty, które wystarczają, aby je i bezemnie przeprowadzić cało i szczęśliwie przez skały i niebezpieczeństwa doczesnego tego żywota.

Męztwo małego Alfonsa, którego nie zachwiało ani wzruszenie ani obawa niebezpieczeństwa, na jakie był narażony, zachwiało się teraz obecnością ojca i na myśl o tem, co mu grozi; z twarzą ukrytą na piersiach

ojca płakał rzewnie, myśląc, iż to ostatnie ich widzenie, iż go utraci za chwilę.

Widok ten wywołał w sali ogólne wzruszenie, gdyż i między tymi ludźmi, oszołomionymi i zdziczałymi krwią, którą codzień widzieli płynącą, było wielu takich, którzy mieli jeszcze coś ludzkiego w sercu. Nawet między najdzikszymi, najwięcej krwi spragnionymi Jakobinami [1]) panowała taka zmienność usposobienia, że nieraz nieznaczne jakie zajście, niespodziany wypadek lub szczęśliwie i w porę użyte słowo, było wystarczającem by ich skłonić do litości i przebaczenia. Ludzie zaślepieni namiętnością, wpadają łatwo z jednej ostateczności w drugą.

Zrazu powstał na sali cichy szmer, który wzmagając się coraz bardziej, przeszedł wreszcie w głośne, nieustające okrzyki.

— Uwolnić ich! Wypuścić! Ocalić natychmiast! — wołano zewsząd.

Kilku ze sędziów było tak mocno wzruszonych, że starali się zmiękczyć tych, którzy byli twardszego serca i tak powiodło się, że hrabia P... otrzymał wolność, razem ze swym dzielnym, szlachetnym i ogólnie podziwianym synem.

Wyszedłszy z więzienia wśród gorących okrzyków ludu, opuścili bezzwłocznie Fran-

[1]) Najzagorzalsza partya rewolucyjna.

cyę i aż do końca rewolucyjnych przewrotów pozostawali w obczyźnie, poczem znów z nastaniem cesarstwa powrócili na ziemię ojczystą, by długie lata przeżyć w zdrowiu i powodzeniu.

KONIEC TOMU III.

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
L. 3215. *X. Wład. Długołęcki T. J.*

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski*
Książę-Biskup.
Kraków 14 Sierpnia 1891.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego, T. J.

Spis rzeczy tomu trzeciego.

O przykazaniach Boskich.

	Str.
Co stanowi prawdziwą wartość człowieka? . .	3
Czy to rzecz trudna lub niepodobna, zachować przykazania?	5
Przygotowania do przyjęcia przykazań . . .	8
Obietnice i groźby Boga dla zachowujących i przekraczających przykazania Jego	10
Najpiękniejszy przykład w przestrzeganiu przykazań	11
Najpiękniejsza modlitwa o zachowanie dziesięciorga przykazań Boskich	13
Gorliwy obrońca zakonu Bożego	14
Wierni wykonawcy przykazań Boskich w Starym Testamencie	16
Rodzina prawdziwie bohaterska	18
Wszystkie przykazania zachować należy . . .	19

Pierwsze przykazanie.

Młody chrześcijanin	22
Ochozyasz	24
Kukułka	25
Sposób odkrywania skarbów	26
Lekarstwo na czary	27
Kosztowny klejnot	29
Czarnoksięskie słowa	30
Zabobonna gospodyni	31
Pod bukiem poświęconym Maryi	34
Rewolucyonista	39
Skutki niegodnej Komunii św.	40
Samobójczyni	43

Str.

Wiara największem jest dobrodziejstwem i szczęściem człowieka.

Urzędnik przy łożu umierającej swej córki . . 45
Odpowiedź młodemu niedowiarkowi 48
Źródła niedowiarstwa 49
Śmierć młodej bogini 50
Młody czytelnik pism bezecnych i anti-religijnych 51
Lekarstwo na wątpliwości przeciw wierze . . 53
Obojętność w wierze ukarana 56
Partya bardzo ponętna, ale dla wiary niebezpieczna 57
Los szyderców 58
To wszystko głupstwo 59
Na kolei żelaznej 61
Pisząca ręka 63

O czci Świętych.

Dzielna odpowiedź 65
Bóg karze zniewagę Świętych 66
Cześć Maryi 67
Marya i dziki 70
Protestantka nawrócona 73
Zdrowaś Marya 76

Cześć obrazów.

Potęga obrazu 81
Opat Stefan 82
Zniewaga krzyża św. 84

Cześć relikwii.

Relikwie ŚŚ. Gerwazego i Protazego 86

Drugie przykazanie.

Straszliwa kara za krzywoprzysięztwo . . . 88
Jak kończy krzywoprzysięzca 90
„Niech mnie piorun trzaśnie!“ 94
„Niech mnie Bóg potępi!“ 94

Trzecie przykazanie.

	Str.
Katolicki robotnik	97
Święta dziewica Anyzia	104
Kupiec i rzemieślnik	105
Chrześcijański golarz	106
Jak pierwsi chrześcijanie święcili niedzielę	109
Gorliwość we wspólnem nabożeństwie	110
Niedzielna jałmużna	112
Piękna niedziela	113
Już pod dachem	116
Nagła śmierć	117
„Nadal będę się strzegł“	118
Takich jak najwięcej!	120
Ze Szwajcaryi	122
Lekcya z nieba	124
Przykra odmowa	126

Czwarte przykazanie.

Trzej bracia japońscy	129
Wdzięczność synowska	131
Zadośćuczynienie	132
Kosztowny włos	134
„Oto jest mój ojciec“	136
Dobra córka	139
Miłość i odwaga dziecięca	141
„To nie twoi synowie“	143
Nie wstydź się rodziców	145
Wdzięczny syn	147
Modlitwa dzieci	149
Zawstydzający przykład	151
Święty Piotr Damiani	152
Ojciec nawrócony	153
Z miłości ku matce	156
Co za miłość dziecięca!	158
Modlitwa matki	159
Ojciec i syn	161
Kogo więcej miłować?	167
Jak się zachować przy śmierci syna?	169

Str.

Najlepiej uczyć przykładem 170
Jak poprawiać błędy dzieci? 175
Pierwsza Komunia 179
Los jedynaka 185
Skutki bezwyznaniowej szkoły 188
Ofiara z dzieci 193
Misyonarz 195
Powołanie 196
Niewdzięczny syn 200
Syn marnotrawny 202
Kogo raczej słuchać? 204
Ona mnie karmiła 205
Dla żołnierzy i ich rodziców 206
Jak żołnierz pociesza swą matkę 207
Pięć „Ojcze nasz“ 208
Roztropna kara 210
Prośba o karę 212
Nowożytne wychowanie córki 213
Wychowanie bez kary 214
Przekleństwo matki 216
Wielki uczony o wychowaniu 218
„On już nie kocha Boga“ 220
„Bóg jest dobry“ 222

O sługach.

Św. Franciszek Salezy o sługach 225
Chrześcijańska sługa 227
Irlandka 228
Zacna służąca 231
Ludwika Démousseaux 232
Wierna sługa na stosie 234
Wierna aż do śmierci 235
Antoni, wierny sługa 236
Cnotliwy sługa 238
Niewolnica z St. Domingo 241
Dwie niewolnice 242
Eufemia 244
Róża 246

Str.
Jan Ludwik 248
Wdzięczny sługa 249
Niewierna sługa 251
Jak w domu, tak na służbie 253

Przykłady dobrych panów.

Święty Franciszek Salezy 257
Dobry gospodarz 259
Łagodny pan 260
Żal za sługą 263
Zaopatrzona służba 264
Słowa św. Jana Jałmużnika 265

Cześć władzy duchownej.

Papież Leon X. i król Franciszek I. 267
Cesarz Konstantyn W. 268
Słowa św. Jana Chryzostoma 270
Szacunek dla Ojca duchownego 273
Kara za zdradę kapłana 275
Nie naruszajcie moich pomazańców 277
Wyszydzony kapłan 278

Cześć władzy świeckiej.

Pierwsi chrześcijanie 280
Św. Franciszek Salezy 281
Legion tebański 284
Władca jest sługą prawa, nie samowoli . . . 287

Piąte przykazanie.

Co nam po księżach? 289
Smutny koniec zabójcy parysk. arcybisk. d'Affre 290
Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada . 291
Kara zabójcy i łaska dla pokutującego . . . 293
Śmierć komunisty 294
Zapalczywy ojciec 298
Śmierć niewinnego i śmierć zabójcy 301
Przebaczenie 303
Zgorszenie 310

Str.

Chrześcijanin dla dobrej sprawy mężnie śmierć ponosi 315
Dobry pojedynek 317
Córka, ofiara bezbożności swojego ojca . . . 318

Szóste i dziewiąte przykazanie.

Wierność małżeńska 321
Palma i lilia 325
Jeszcze czego nie stało! 327
Mężne dziewice 329
Jak wysoko cenić czystość 332
Koniec życia występnego. (Hist. jakich pełno) 334
Bezwstydny obraz 340
Bezwstydne mowy 341
Mężny zwycięzca pokusy 342

Siódme i dziesiąte przykazanie.

Prawdziwy bohater 347
Oddaj coś winien 353
Chrześcijańska uczciwość 355
Oddaj co znajdziesz 357

Ósme przykazanie.

Oszczerstwo 363
Skutki potwarzy 368
Bohaterski miłośnik prawdy 372